

POMERANIA[®] 5

Miesięcznik społeczno-kulturalny Maj 1999

Cena 3,50 zł



Indeks 371939 PL ISSN 0238-9045

Sopot – miasto u stóp nieba

Ołtarz dla Jana Pawła II

Ramultowe liczenie Kaszubów



Pisząc o Sopocie wypada zacząć od kogoś, kogo można nazwać odkrywcą tej miejscowości. Nie znamy jego imienia ani nazwiska. Możemy się domyślać, że był zamożnym patrycjuszem z Gdańska, człowiekiem ukształtowanym duchowo przez renesans.

POMERANIA

Nr 5 (314) Rok zał. 1963

Môj 1999



Ryszarda Socha	Przedwojenni sopocianie	2
E.K.	Doktor Jadwiga	10
Jan Lipuski	Doktor Żaczek	11
Ryszarda Socha	Kto był w Sopocie	14
Aleksandra Oksiuta-Borowska	Mój Sopot	15
Zbigniew Jankowski	Wiersze	34
Teresa Ferenc	Wiersze	35
	Program wizyty Jana Pawła II na Pomorzu Nadwiślańskim	36
Marcin Dybuk	Óltarz dla Jana Pawła II	36
Stanisław Janke	Spotkanie na szczycie	42
Hieronim Jarosz Derdowski	Wojkasin ze Słwówszęża (Dr Florian Ceynowa)	43
Jan Mordawski	Statystyka Stefana Ramuła	44
Jerzy Treder	Rosjanin Hilferding a Ceynowa i Kaszuby	50
Elżbieta Szalewska	Obrazkowa mapa Hardowa	52
Marian Jeliński	Stądka do wieczności	55
Bożena Szymańska	90 lat Klubu Studentów Kaszubów	56
Józef Borzyszkowski	Kaszubolodzy	58
Jan Karnowski	Pogląd historyczny na pracę badawczą w latach 1908-1910	60
Józef Borzyszkowski	Polski Tydzień w Nowej Zelandii	62
Czesław Skonka	Wiatr od morza	63
Józef Borzyszkowski	„Czasopis”	65
Czesław Skonka	Posel Lechistanu jeszcze nie przybył	66
	Recenzje	68
Paweł Dzanisz	Regał regionalny	71
	Listy	72
	Kłeka	72
Kow.	Informacje regionalne	81

Numer wydano dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Urzędu Miasta Sopotu

Na okładkach 1 i 2 fotografie Władysława Żuchowskiego jr.

Wydawca: Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Adres redakcji: Straganiarska 20-22, 80-837 Gdańsk, tel. 301-90-16, 346-27-23, fax 346-26-13
Konto: BIG BG IV Oddz. Gdańsk 11601322-664390-132
e-mail: zk-p@free.ngo.pl

Redakcja: Stanisław Janke, Cezary Obracht-Prondzyński (redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Jan Misiak (opracowanie graficzne), Ewa Judycka (korekta), Elżbieta Wasiluk (tamanie)

Kolegium: Józef Borzyszkowski, Stanisław Pestka, Dariusz Piasek, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak, Donald Tusk, Tomasz Wicherkiewicz

Druk: Drukarnia „Triada”, Gdańsk ul. Cieszyńskiego 1

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów. Prosimy o przekazywanie materiałów na dyskietkach

To Marianna Zielonka (Selonke), Kaszubka, rocznik 1781, zwana żartobliwie pocztą sopocką albo sopockim ekspresem pocztowym. W latach 1823-1865 pracowała jako sezonowy posłaniec pocztowy. Przez ponad 40 lat wędrowała latem z Sopotu do Gdańska i z powrotem. Każdego ranka zabierała w owym wielkim koszu przesyłki urzędowe, listy kuracjuszy oraz mieszkańców Sopotu.

Przedwojenni sopocianie, s. 2

Sopot – to dla Anny Smolany bardzo osobiście kojarzący się ciąg wyrazów na literę „m”: miasto twórczej aktywności, miejsce jej młodości, miłości i dwudziestoletniego małżeństwa z Adamem Smolaną, miejsce, gdzie mieszka przy ulicy Westerplatte.

Miasto artystów, s. 16

Na temat „biznesu na butach” nie chce mówić, bo robi to bardziej dla podtrzymania tradycji, i w trosce o prawidłowe ustawienie stóp społeczności sopockiej, niż dla pieniędzy. – W końcu, poznać pana po cholewach, a sopocianina po prawidłowo stawianej stopie, co wymusza usztywniona pięta butów.

Buty ... z ojca na syna, s. 18

Dużo poważniejszy jest problem podwórek i komórek. Trudno zmienić mentalność pewnej części mieszkańców, którzy grodzą ogródki drutem kolczastym czy zabudowują podwórka garażami, komórkami, szalerkami, w których hodują drób. To wszystko dzieje się w środku miasta!

Sopot prezydenta, s. 20

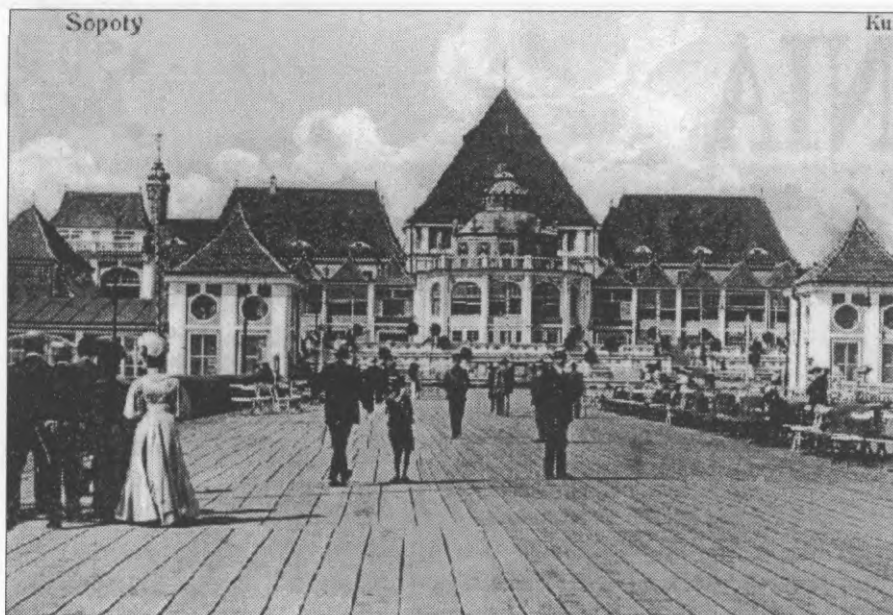
Miejsce, w którym dobrze się myśli i dobrze się pisze. Tutaj powstała większość moich wierszy. Miejsce, w którym realizuje się marzenia. Moim było pismo literackie. I jest „Topos”.

Miejsce..., s. 23

Okazało się, że postawiono go dla uczczenia pamięci zasłużonego mieszkańca Sopotu – Niemca, – Otto Gerickego. W latach 1924-1931 pełnił on m.in. funkcję prezesa Towarzystwa Upiększania Sopotu, był także członkiem zarządu miasta i radnym, a przede wszystkim osobą, która wielce zażyła się dla tzw. wizerunku miasta.

Poznać, pokochać i... opisać, s. 28

Prenumerata „Pomeranii” w kraju w II półroczu 1999 wynosi: 24 zł (1 egz. 4 zł); za granicę: 72 zł; kwartalnie w kraju: 12 zł; za granicę: 36 zł



Pocztówka z początku XX w. wydana „Nakładem Macierzy Kaszubskiej w Sopotach”

Ryszarda Socha

PRZEDWOJENNI SOPOCIANIE

Pisząc o dawnych mieszkańcach Sopotu wypada zacząć od kogoś, kogo można by nazwać odkrywcą tej miejscowości. Nie znamy jego imienia ani nazwiska. Możemy się domyślać, że był człowiekiem ukształtowanym duchowo przez renesans, który przyniósł modę na sielskość, powrót do natury. Ludzie tamtej epoki na nowo odczytywali poetów rzymskich, próbując po swojemu zrealizować lansowane w ich utworach wzorce życia. Nasz anonim był niewątpliwie zamożnym patrycjuszem z Gdańska. Zauroczony Sopotem uznał, że warto tu stworzyć wiejską rezydencję, letnisko przybliżające do natury, pozwalające odpocząć od miasta. I jako pierwszy wydzierzał od opata oliwskiego jedną z chałup wraz ze sporym kawałkiem ziemi. Rychło chałupę zastąpił dworem. Dodatkowo upiększył otoczenie, zakładając park, ogród, budując na potoku stawy.

Za nim poszli inni przedstawiciele gdańskiego patrycjatu, przekształcając wieś w miejscowość rekreacyjną. W księgach klasztornych są nazwiska kolejnych dzierżawców dworów. One same otrzymały numerację od I do XV. Jednakże numeracja ta nie była zgodna z chronologią ich powstania. Za najstarszy uchodzi Dwór XI, nazywany później Francuskim lub Szwedzkim. Pierwszym znanym jego właścicielem (1551 r.) był gdański rajca Gotfryd Rohland. Czy to on właśnie zainicjował rozwój miejscowości w nowym kierunku? W każdym razie ten, kto to zrobił, właściwie odczytał predyspozycje miejsca, bo nawet wojna o sukcesję tronu polskiego i spalenie osady przez oddziały kozackie feldmarszałka Münnicha w 1734 roku spowodowały tylko chwilowy regres. A potem znów powoli zaczęły odradzać się dwory, tyle że w wersji magnacko-szlacheckiej.

Patrycjat gdański, przeważnie niemieckojęzyczny, zastąpiło bowiem ziemiaństwo związane z Pomorzem. Długotrwałe oblężenie, a potem wysokie kontrybucje zaszkodziły interesom gospodarczym Gdańska. Tutejsi mieszczaństwo zrezygnowali z odbudowy dzierżawionych letnisk, zwracając je oliwskim cystersom. Przez dwadzieścia lat po spaleniu Sopot nie mógł się podźwignąć z upadku. Około połowy XVIII wieku zainteresowanie zakupem owych majątności od klasztoru zaczęła wykazywać pomorska szlachta.

Letnisko Przebendowskich i Sierakowskich

Niektórzy świeżo upieczeni nabywcy już wkrótce (w latach 1756-1765) odsprzedali sopockie włości miejscowemu magnatowi generałowi Józefowi Przebendowskiemu. Ogółem skupił on w swych rękach 10 sopockich dworów. Przekazał je żonie Bernardzie von Kleist, która po jego śmierci dokupiła w 1786 roku jeszcze jeden dwór.

Sam Przebendowski rezydował w pobliskich Kolibkach, we dworze należącym niegdyś do Jana III Sobieskiego. Dopiero w latach 1773-1775 wybudował w Sopocie okazałą rezy-

dencję. Po śmierci Bernardy von Kleist (ok. 1795 r.) obiekt ten przez nowego właściciela został przeznaczony na gospodę, znaną pod nazwą Sanssouci.

Przebendowscy wywodzili się ze średniej szlachty. Przybyli na Pomorze Gdańskie z ziemi lęborskiej. Magnackiej fortuny dorobili się w XVIII wieku. Awans rodu zapoczątkował Jan Jerzy Przebendowski, od 1693 roku kasztelan chełmiński, od 1697 wojewoda malborski. Przyczynił się on w znacznym stopniu do elekcji Augusta II na króla Polski. Dzięki względem władcy oraz małżeństwu z córką jego ministra Flemminga, otrzymał m.in. godność podskarbiego koronnego. Od królewicza Jakuba Sobieskiego odkupił dobra rzucewsko-wejherowskie.

Przebendowscy, podobnie jak drugi związany z Sopotem magnacki ród Sierakowskich, zapisali się troską o polskość Pomorza. W 1757 roku syn Jana Jerzego – Ignacy, wtedy starosta pucki i mirachowski, później ostatni wojewoda pomorski, ustanowił fundację dla młodzieży szlacheckiej, mieszczańskiej i chłopskiej zamieszkałej w wejherowskich dobrach rodziny. Miała ona wypłacać stypendia osobom doskonalącym się w „poznaniu praw ojczystych”. Podobne stypendia ufundowali Przebendowscy dla dwóch synów mieszczańskich i dwóch chłopskich z Pucka i okolic. Mimo że ród Przebendowskich wygasł, ich stypendium było wypłacane aż do 1939 roku.

Po I rozbiórze Ignacy Przebendowski sprzedał dobra rodowe i osiadł w Małopolsce. W II połowie XVIII wieku właścicielem jednego z sopockich folwarków był jego krewny Józef Przebendowski.

Sierakowscy trafili do Sopotu dopiero w dobie upadku Pierwszej Rzeczypospolitej. Zaczęło się od tego, że Kajetan Sierakowski, kasztelan słoński, kawaler Orderu Orła Białego, senator Rzeczypospolitej, dziedzic na Waplewie i innych pomorskich dobrach, 18 lutego 1793 roku kupił od Anny Killer, wdowy po sołtysie, za 250 talarów dwór sołecki wraz z jedną włóką gruntu (włoka chełmińska – ok. 16, 7 ha). Z kolei poprzez zamianę z wdową Ficht, właścicielką

Dworu XI, w 1897 roku wszedł w posiadanie parceli o powierzchni 1,2 morgi na terenie należącym wcześniej do Dworu Francuskiego.

Podczas Sejmu Czteroletniego Kajetan Sierakowski jako poseł należał do zwolenników Konstytucji 3 maja. Później był senatorem i wojewodą Królestwa Polskiego. Gniazdo rodowe Sierakowskich, Waplewo, zasłynęło pod zaborem niemieckim jako znaczący ośrodek polskiej kultury. Wkrótce po zakupie parceli sopockiej Sierakowski zbudował na niej dworek w stylu klasycystycznym. Dookoła założył ogród, który jeszcze na początku XX wieku należał do atrakcji uzdrowiska. Posiadłość ta służyła rodzinie jako nadmorskie letnisko. Mimo że użytkowali obiekt stosunkowo niedługo, przylgnęła do niego nazwa Dworek Sierakowskich. Zapewne nie bez znaczenia było tu uznanie, jakim ród ten cieszył się na Pomorzu.

Syn Kajetana Antoni, z zamiłowania skrzypek i kompozytor, w młodości spędzał w Sopocie letnie wakacje. Jest bardzo prawdopodobne, że w 1827 roku, kiedy wraz z przyjaciółmi odwiedził Gdańsk, przywiózł do Sopotu również uczestniczącego w tej eskapadzie 17-letniego Fryderyka Chopina. Dworek wtedy już nie był własnością rodziny. W 1805 roku Kajetan Sierakowski przekazał posiadłość swojej drugiej żonie Helenie z Dzieduszyckich, córce cześnika koronnego, która w 1814 roku odsprzedała ją Danielowi Gottheffowi Frantziusowi.

Był to przejaw powszechniejszej tendencji, która ujawniła się po pierwszym rozbiórze Polski. W miejsce polskiego ziemiaństwa weszli do Sopotu bogaci mieszczaństwo gdańscy narodowości niemieckiej, którzy przebudowali letniska na całoroczne rezydencje. Spośród polskich właścicieli, właśnie Przebendowscy i Sierakowscy najdłużej utrzymali swoje tutejsze dobra, pierwsi do 1804 roku, drudzy do 1814.

Antoni Sierakowski w 1817 roku w Waplewie założył towarzystwo szkolne, ufundował szkołę dla miejscowej ludności polskiej, zapewniając stałą pensję nauczycielowi. Gromadził też polskie pamiątki. Za jego sprawą miejsce to stopniowo zaczęło się stawać

jednym z centrów polskości na ziemiach zajętych przez Prusy.

Działalność, zapoczątkowaną przez Antoniego, kontynuował jego syn Alfons Sierakowski (1816-1886), wspierający finansowo i organizacyjnie powstałe w 1848 roku Towarzystwo Pomocy Naukowej dla Młodzieży Prus Zachodnich w Chełmie, biorący udział w tworzeniu i finansowaniu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (zał. 1857 r.) oraz jego wnuk Adam (1846-1912), doktor nauk prawnych, miłośnik archeologii i historii, współzałożyciel Towarzystwa Naukowego w Toruniu (1875 r.). Jeden z najaktywniejszych działaczy polskich na Pomorzu. Podobne zaangażowanie wykazywała jego żona Maria z Potockich. Waplewo odwiedzała w tamtym okresie luminarze polskiej kultury, między innymi profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisław Tarnowski (1881 r.), który w książce „Z wakacji (Prusy Królewskie)” dał obszerny opis Pomorza, w tym również Gdańska i Sopotu.

Pracę dziadów i ojca Adama, kontynuował syn Stanisław (ur. 1891 lub 1894). Po pierwszej wojnie światowej działał on na rzecz przyłączenia Powiśla do Polski. Po przegranym plebiscycie, uczestniczył w tworzeniu Związku Polaków w Prusach Wschodnich oraz Związku Polaków w Niemczech. Jego żona Helena z Lubomirskich włożyła dużo wysiłku w organizację polskich szkół i przedszkół na Powiślu. W 1939 roku oboje Sierakowscy zostali rozstrzelani przez Niemców, a ich majątek skonfiskowano.

Syn Stanisława Andrzej Sierakowski był architektem, absolwentem Politechniki Gdańskiej. Z żoną Zofią i córką Izabellą mieszkał w Sopocie. Stąd wyemigrował do Montrealu, gdzie zmarł w 1995 roku. Izabella Sierakowska-Tomaszewska, żona znanego dziennikarza sportowego, mieszka w stolicy. Jesienią 1997 była honorowym gościem obchodów 200-lecia dworku, który zbudował jej przodek.

Przebendowskim i Sierakowskim przypisuje się zainicjowanie w Sopocie kąpieli morskich. Może wzięło się to stąd, że folwark Przebendowskich w 1804 roku nabył Carl Chri-



Jan Georges Haffner

stoph Wegner, kupiec gdański, który w 1819 roku wybudował w Sopocie pierwszy, bardzo prymitywny pawilon kąpielowy. „Zakład kąpielowy” Wegnera krytykowano nie tylko ze względu na ów prymitywizm. Ponieważ z wchodzących w jego skład budek-rozbieralni korzystali na przemian kobiety i mężczyźni, kuracjusze zarzucali Wegnerowi obrazę moralności i ślali skargi do władz pruskich.

Kąpielisko Haffnera i Böttchera

W pobliskim Gdańsku, od czasu utworzonego tu przez Napoleona Wolnego Miasta, mieszkał Jean Georges Haffner, Alzatzczyk z Colmaru. Nie ma chyba postaci bardziej dla Sopotu zasłużonej aniżeli właśnie ten cudzoziemiec, ożeniony z gdańszczanką, starszą od siebie wdową Reginą Karoliną de domo Bruhns, primo voto Böttcher, matką siedmiorga dzieci. Haffnera, lekarza wojskowego w randze majora, wezwał do Gdańska w 1808 roku Jean Rapp, kolega szkolny z alzackiego Colmaru, wówczas sprawujący władzę w mieście gubernator francuski. Haffner interesował się balneologią, modnym wówczas w Anglii i Francji wykorzystaniem kąpeli morskich w leczeniu różnych chorób. Rapp zaś wpadł na pomysł zorganizowania w obecnym Brzeźnie kąpieliska dla załogi stacjonującego w Gdańsku francuskiego garnizonu.

I to zadanie powierzył swemu koledze. Kąpeli morskich zażywali początkowo tylko Francuzi. Gdańszczanie najpierw uważali je za szkodliwe, tudzież gorszące. Dopiero z czasem zmienili zdanie.

Doktor już w lipcu 1808 roku poślubił Reginę Karolinę w małym kościółku ewangelickim w Orłowie. Uzyskawszy obywatelstwo gdańskie, Haffner otworzył gabinet lekarski, łaźnię przy ul. Kotwiczników, a następnie przy ul. Żabi Kruk. Stosował szczepienia przeciwko ospie. Ze swą wybranką miał czworo dzieci. Najmłodsze – Emilia i Wiktor – zmarły w dzieciństwie. Najstarsza Józefina (1809-1887) wyszła za mąż za pastora G. Feyerabendta. Jej potomkowie żyją w Niemczech. Syn Oskar (1811-1892) wybrał zawód ojca, był lekarzem w Bisztynku, zaś jego prawnuk pracował w sopockim kasynie gry jako kierownik techniczny.

Właśnie do francuskiego doktora, po skargach na zakład kąpielowy Wegnera, zwrócili się władze regencji gdańskiej, obiecując wesprzeć przedsięwzięcie finansowo. Haffner miał uruchomić w Sopocie uzdrowisko z prawdziwego zdarzenia, na wzór Hawru, Trouville, Dieppe czy Dobranu. Legenda jednak głosi, że Sopot zauroczył Haffnera już wczesną wiosną 1808 roku, kiedy, zdążając na wezwanie gubernatora Rappa do Gdańska, zatrzymał się na nocleg w za-

grodzie Friedricha Polenza, sopockiego sołtysa. Podobno rozejrzawszy się po wsi, po plaży, zachwycony doktor już wtedy stwierdził, że miejsce nadaje się doskonale na uzdrowisko morskie.

Tak czy siak, kontraktem z maja 1823 roku Haffner wydzierżawił od władz, a następnie zakupił dwie morgi wydmorego terenu, na którym obecnie znajduje się Państwowa Galeria Sztuki, Zakład Balneologiczny, budynek szpitalny oraz półkolista, kryta galeria spacerowa. Już w dniu zawarcia kontraktu położony został kamień węgielny pod budynek zakładu kąpielowego. Został on wzniesiony i wyposażony w urządzenia kąpielowe w ciągu 40 dni, tak że już od przełomu czerwca i lipca mógł przyjmować kuracjuszy. W następnym roku, obok zakładu kąpielowego, gdzie obecnie bar rozrywkowy Fantom, wznosił Haffner Dom Zdrojowy. Jego też dziełem był park, ścieżki spacerowe, pierwsze molo, punkt widokowy na Wzgórzu Stiewego. Opracował regulamin kąpieliska oraz wskazówki lekarskie dla kuracjuszy. Zostały one opublikowane w broszurze „Die Seebadeanstalt zu Zoppot bei Danzig” (1823 r.).

Władze pruskie nie dały przyrzeczonej subwencji. Aby zarobić na utrzymanie licznej rodziny i rozwój sopockiego uzdrowiska, Haffner musiał nadal prowadzić wspomnianą już



Ulica Morska, 1835 r.

praktykę w Gdańsku przy ul. Żabi Kruk. Do Sopotu dojeżdżał z Gdańska żurnalierą (tramwaj konny). Wyśięk osłabił jego organizm. Wiosną 1830 roku zapadł na przewlekłą gorączkę czy febrę. Zmarł 20 kwietnia 1830 roku. Pogrzeb odbył się 26 kwietnia. w Starych Szkotach, według Franciszka Mamuszki, na starym cmentarzu katolickim, w sąsiedztwie pojezuickiego kościoła św. Ignacego. Ponieważ nie wystawiono trwałego nagrobka, po mogile nie pozostał ślad. Sopot natomiast w 1885 roku upamiętnił założyciela uzdrowiska nadaniem jego imienia jednej z ulic (dzisiejsza ul. Sobieskiego). W Parku Północnym ustawiono jego popiersie.

W obchodach 100-lecia powstania kąpieliska (1923 r.) uczestniczyła Małgorzata Reutener, wnuczka Haffnera, córka Józefiny Feyerabendt. Ofiarowała ona Sopotowi portret swego dziadka. Po 1945 roku dowody pamięci i wdzięczności miasta dla Haffnera zostały usunięte przez nowe władze. Dopiero w 1989 roku na fasadzie Zakładu Balneologicznego umieszczono poświęconą mu tablicę. Jego imieniem nazwano potok i park przy magistracie. Uczyniono go także patronem ulicy Bieruta (niegdyś Łąkowej, potem Wilhelma II).

Po śmierci Haffnera przedsiębiorstwo kąpielowe odziedziczyła jego żona Regina Karolina. Przeżyła ona

jednak męża tylko o rok. Zmarła podczas epidemii cholery w sierpniu 1831 roku. Prowadzenie uzdrowiska przypadło wówczas w udziale jej najstarszej córce ze związku z Haffnerem – Józefinie. Zadanie okazało się za trudne dla 21-letniej dziewczyny. Nie radząc sobie z problemami, w 1834 roku Józefina przekazała zarząd nad przedsiębiorstwem swemu przyrodniemu bratu Ernestowi Adolfowi Böttcherowi, który, porzuciwszy dotychczasowe zajęcie kupca zbożowego, bardzo sprawnie kontynuował dzieło ojczyma. Powiększył teren zakładu, przeprowadził remont budynków, pomnożył liczbę rozbieralni na plaży, nadając im estetyczny wygląd. Rozbudował również Dom Zdrojowy. Dodał jedną kondygnację, uzyskując w ten sposób miejsce na kilkanaście pokoi hotelowych.

W 1843 roku zakład przeciągnięto, na drewnianych rolkach, o kilkadziesiąt kroków na południowy wschód – na miejsce lub w pobliże zajmowanego obecnie przez Zakład Balneologiczny. Na przygotowanym w ten sposób placu, Böttcher wybudował tzw. teatr, obiekt w stylu klasycystycznym, z kolumnadą od strony morza. Odbywały się tam przedstawienia teatralne, spotkania towarzyskie i zabawy taneczne. W 1858 roku pasierb Haffnera zmodernizował wnętrze Domu Zdrojowego. Ściany i sufit wielkiej sali restauracyjnej zo-



Marianna Selonke (Zielonka)

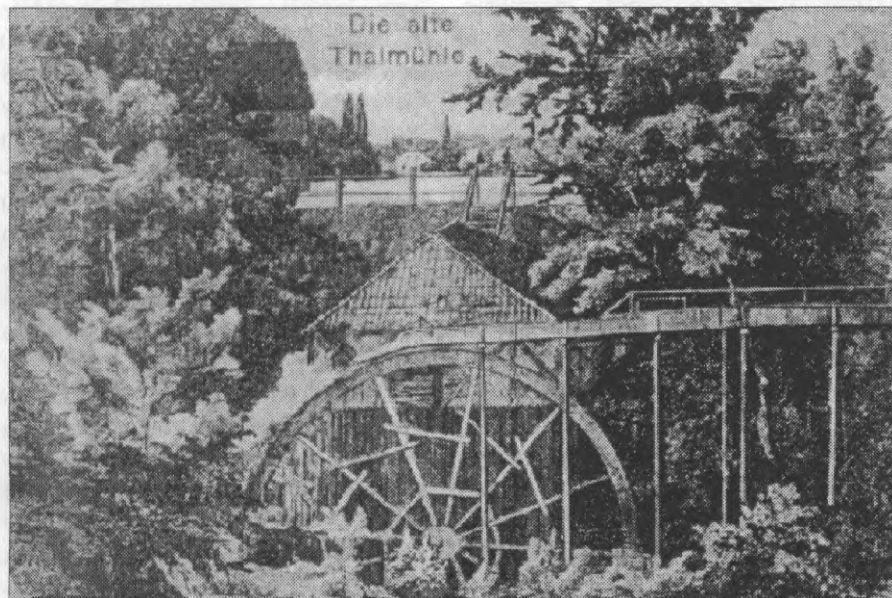
stały ozdobione sztukateriami. Odnowiono także rozbieralnie na plaży. Nieopodal Domu Zdrojowego urządzono plac postojowy dla powozów i żurnaliery. Obok prowadziły działalność kramy z różnymi towarami. Ponadto wzniesiono w pobliżu estradę, gdzie w niedziele i niektóre dni tygodnia grała orkiestra. Na moło ustawiono ławki dla kuracjuszy, zaś na jego końcu zbudowano platformę, przy której cumowały łodzie wiosłowe, wynajmowane na wycieczki po wodach zatoki. Właściwie można powiedzieć, że od czasu Böttchera nie wymyślono już specjalnie nic nowego, aby zaspokoić potrzeby gości.

Niewątpliwą zasługą Böttchera jest więc utrwalenie Haffnerowego dzieła. Po śmierci Böttchera (1861 r.) zakład kąpielowy przez kilka lat przeżywał okres stagnacji. Rozwijała się jednak miejscowość.

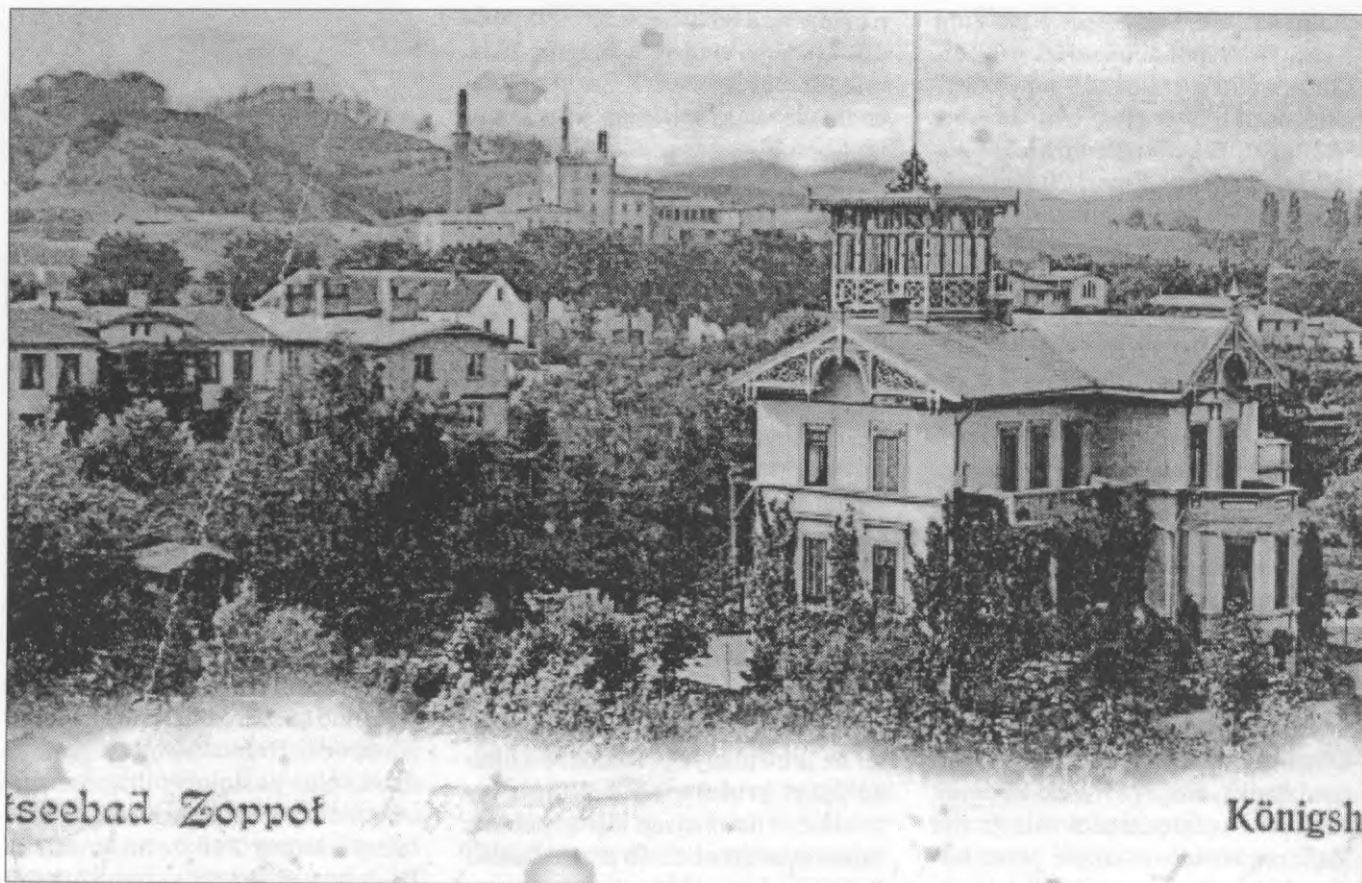
Pierwszym urzędowym lekarzem Polakiem w sopockim uzdrowisku był Jan Franciszek Żaczek (1841-1889), wywodzący się ze Sławoszy na, ożeniony z gdańszczanką o niemieckich korzeniach.

Pocziarka Zielonka

W związku z narodzinami uzdrowiska wspomnieć należy jeszcze jedną sopocką postać, nie tyle zasłużoną, ile wielce popularną, o czym świadczą liczne wzmianki w ówczesnej prasie oraz w opracowaniach późniejszych,



Stary młyn



Wzgórze Królewskie, 1890 r.

a także widokówki z jej podobizną. Przedstawiają one przysadziłą chłopkę z wielkim wiklinowym koszem na plecach. To Marianna Zielonka (Selonke), Kaszubka, rocznik 1781, zwana żartobliwie pocztą sopocką albo sopockim ekspresem pocztowym. W latach 1823-1865 pracowała jako sezonowy posłaniec pocztowy. Przez ponad 40 lat wędrowała latem z Sopotu do Gdańska i z powrotem. Każdego ranka zabierała w owym wielkim koszu przesyłki urzędowe, listy kuracjuszy oraz mieszkańców Sopotu. W gdańskich bankach pobierała pieniądze na wynagrodzenia dla zatrudnionych w Sopocie pracowników. Zaopatrywała też miejscowych i gości w potrzebne artykuły – czasopisma, kosmetyki, wyroby tytoniowe. Wprawdzie między Gdańskiem a Sopotem kursowała żurnaliera, jednak jej użycie znacznie podrażało koszty przesyłek. Toteż do przewozu listów wykorzystywano ją raczej rzadko, częściej zdając się na nogi i grzbiet Marianny.

Istnieją dwie wersje śmierci pocziarki, znane z przedwojennej prasy.

Według jednej, Marianna odwiedziła Postolin koło Sztumu, gdzie odbywały się dożynki. Podczas festynu tańczyła z jakimś miejscowym, niemłodym już chłopem, który podczas tańca zmarł. Tamtejsi ludzie uznali ją za czarownicę i chcieli zabić. Miejscowy proboszcz udzielił jej na noc schronienia w plebanii. Rano, kiedy kobieta wracała do Sopotu, zaczął się na nią i zamordował z zemsty syn zmarłego.

Jednak bardziej prawdopodobna jest wersja druga, według której Marianna Zielonka 7 lipca 1865 została napadnięta, obrabowana i zamordowana w lesie, w Strzyży koło Wrzeszcza, w drodze powrotnej z Gdańska.

Sąsiedztwo

Rozwój Sopotu jako kąpieliska i miejscowości zaowocował nadaniem praw miejskich. Z inicjatywą, aby podjąć starania w tym kierunku wystąpił na posiedzeniu rady gminnej 31 grudnia 1899 dr Wagner. Cesarz Wilhelm II odniósł się do tego wniosku przychylnie (dekret z 8 października 1901).

Pierwszym burmistrzem został Volkmarm von Wurmb, który nie był sopocianinem, ale miał pewne doświadczenie w zarządzaniu miastem jako wiceburmistrz Gery. Sopoccy rajcy wybrali go (dwóch nawet było zdecydowanie przeciw) pod presją władz w Berlinie.

W Sopocie przez długi czas Niemcy sąsiedowali z Polakami. Jak podaje historyk Andrzej Romanow, w 1900 roku Niemców było tu 8265, 91,3 procent ogółu mieszkańców (Polacy 8,6 proc). Dominowali oni zarówno liczebnie, jak też politycznie i ekonomicznie. Na początku XX wieku niewątpliwie głównie oni wpływali na kierunek rozwoju miasta i uzdrowiska. Warto wspomnieć chociażby Paula Walther-Schaeffera, kapelmistrza gdańskiego Teatru Miejskiego przy Targu Węglowym. Jemu to Sopot zawdzięcza pomysł prezentowania na wolnym powietrzu przedstawień operowych. On też, podobno po długich poszukiwaniach, w pobliżu Doliny Prątki, wśród porośniętych lasem wzgórz odkrył ową kotlinkę o znakomitej akustyce. Jednak niewiele by



Kurgarten, 1899 r.

działał, gdyby nie pozyskał dla swego planu ówczesnego burmistrza Sopotu Maxa Woldmanna. Rada Miejska bowiem sprzeciwiała się zamierzeniu. Nic dziwnego, była wiosna 1909 roku i radni podjęli właśnie uchwałę dotyczącą budowy nowego domu zdrojowego, według projektu prof. Augusta Wagnera z Królewskiej Wyższej Szkoły Technicznej w Gdańsku. Wiązały się z tym duże wydatki. Burmistrzowi jednak udało się pokonać opór i otrzymał zgodę na budowę leśnego teatru. Jednak pieniądze, jakie rajcy zdecydowali się wyasygnować z nadwyżek budżetowych, były co najwyżej symboliczne.

W tej sytuacji Max Woldmann zaciągnął pożyczkę. Po czterech miesiącach obiekt był gotowy. Bilety z trzech pierwszych przedstawień nie tylko wystarczyły na honoraria artystów, ale zwróciły koszty urządzenia teatru. Następca Woldmanna, nadburmistrz Erich Laue postanowił nie tylko leśną scenę utrzymać, ale jeszcze znacznie rozbudować. Za Ericha Laue nastąpił rozkwit uzdrowiska. Uruchomiono kasyno, wzniesio-

no Kasino Hotel (dzisiejszy Grand Hotel). Budowie tego obiektu towarzyszyły pogłoski o nadużyciach. W 1933 byłego już wtedy nadburmistrza aresztowano. W więzieniu popełnił samobójstwo.

W 1910 roku Polacy stanowili 11,4 procent mieszkańców Sopotu. W rękach polskich znajdowało się w tym okresie 12 pensjonatów. Inteligencja stanowiła stosunkowo niewielką grupę. Było w tym gronie kilku lekarzy, inżynierów i publicystów, paru zamożnych kupców, właścicieli pensjonatów, trochę nauczycieli, urzędników. Przeważali jednak skromni rzemieślnicy, robotnicy i drobni kupcy. Od końca XIX wieku, kiedy ujawniły się tendencje nacjonalistyczne, przybierające z upływem czasu na sile, władze pruskie nie ułatwiały społeczno-kulturowej aktywności sopockim środowiskom polonijnym. Przybywający do kurortu goście z innych zaborów, tudzież polskie imprezy były przedmiotem stałej obserwacji, zdarzały się rozmaite utrudnienia i szykany. Na przykład, w lipcu 1909 roku nie pozwolono wynająć

sali w Domu Zdrojowym na występ polskiej śpiewaczki Marii Rogalińskiej, której koncert władze rejencji gdańskiej uznały za działalność polityczną. Innym razem wytoczono proces pewnemu czeladnikowi za to, że manifestował uczucia narodowe, nosząc czapkę krakuską.

Odpowiedzią na presję germanizacyjną był rozwój polonijnych organizacji, szkół, ochronek dla dzieci, stowarzyszeń. Na przykład, już w 1892 roku powstało tu Polsko-Katolickie Towarzystwo Ludowe pod wezwaniem św. Bernarda. Antoni Abraham w 1908 roku założył Zjednoczenie Zawodowe Polskie. Ten budzieł polskość wśród Kaszubów, mieszkał w Sopocie przez 18 lat (1891-1909). Dorobił się tu żwirowni, parceli i czterech koni. Wybudował piętrową kamieniczkę (dziś Karlikowska 15) oraz stajnię. W 1908 roku wszystko to stracił, ponieważ żyrował weksel znajomemu Niemcowi, który okazał się niewypłacalny. Przeniósł się wtedy do Oliwy.

Osiedlający się w Sopocie zamożniejsi Polacy otwierali pensjonaty na



Dziś nie zobaczymy cumujących przy moło jachtów, pocz. XX w.

stawione na kuracjuszy rodaków. W latach 1890-1904 wielkim wzięciem cieszył się pensjonat Wiktora Kulerskiego. Znajdował się on przy ul. Południowej (obecnie Grunwaldzka, w pobliżu posesji nr 11). Kulerski był nauczycielem szkoły katolickiej w Sopocie. Za ujawnienie patriotycznej postawy groziło mu przeniesienie do pracy w głębi Niemiec. Wtedy to uruchomił pensjonat Dom Polski, który po rozbudowie mógł przyjąć 100 kuracjuszy. Nazwa Dom Polski naraziła go na niemieckie szykany, ale wśród Polaków przysporzyła klienteli. Kuchnia tutejsza serwowała polskie potrawy, a w jednym z pomieszczeń istniała czytelnia polskich czasopism z wszystkich trzech zaborów.

W 1904 roku Kulerski sprzedał pensjonat Aleksandrowi Peto ze Starogardu. Był on także Polakiem, aczkolwiek nie zaangażowanym w działalność narodową. Dotychczasową rolę Domu Polskiego przejęła nabyta przez Alfonsa Chmielewskiego willa Quo Vadis (przy ul. Północnej 5, dziś Powstańców Warszawy, nie istniejąca), nazwana tak w 1905 ro-

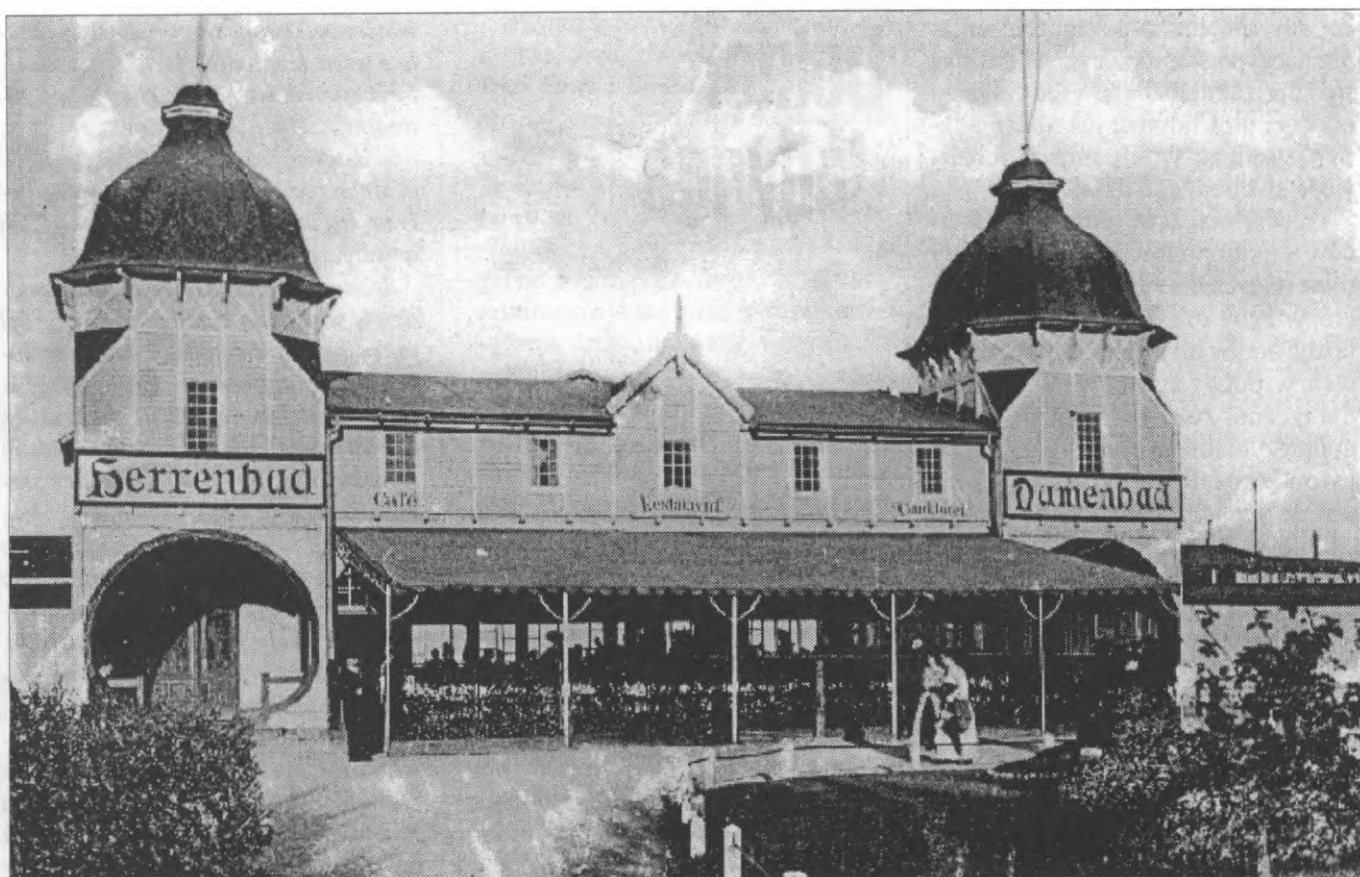
ku, w związku z przyznaniem Sienkiewiczowi Nagrody Nobla. Przez wiele lat pensjonat ten, dysponujący salą imprez w pawilonie ogrodowym, udzielał gościny niemal wszystkim towarzystwom polskim, jakie działały w Sopocie.

Sam Chmielewski był bardzo mocno zaangażowany w różnego rodzaju przedsięwzięcia, mające na celu ochronę polskości. W 1909 roku utworzył Towarzystwo Śpiewackie Lutnia oraz Towarzystwo Ludowe. Pięć lat później skupiało ono ponad 360 członków. Jego aktywność miała głównie charakter kulturalno-oświatowy. Wydał m.in. przewodnik po Gdańsku i Sopocie autorstwa Leona Wasilewskiego, ojca Wandy Wasilewskiej. Brał też Chmielewski udział w organizowaniu spółdzielczości („Konsum-Kupiec” – 1911 r. i „Macierz Kaszubska” – 1909 r.). „Macierz” handlowała wyrobami pamiątkarskimi, książkami, mapami, prowadziła wypożyczalnię książek. W 1912 roku właściciel willi zainicjował powołanie, mającego swą siedzibę w Sopocie Towarzystwa Przyja-

ciół Kaszub. W jego willi mieścił się też początkowo polski Bank Ludowy (założony 1908/1909).

Prowadzoną w Quo Vadis działalność pilnie obserwowała pruska policja. Raporty na ten temat wysyłane były do Berlina. Regencja gdańska zabroniła nawet Chmielewskiemu urządzania prób chóru, kwalifikując je do tajnego nauczania. Społecznik nie zastosował się do zakazu, co skutkowało interwencją policji, procesami i grzywną.

W 1913 roku świeżo osiadły w Sopocie lekarz, pisarz i społecznik Aleksander Majkowski zorganizował przy współpracy z innymi przedstawicielami tutejszej Polonii Muzeum Kaszubsko-Pomorskie, wyposażone także w bibliotekę z czytelnią. Mieściło się ono przy dawnej ul. Morskiej (dziś Bohaterów Monte Cassino 28). Majkowski zaś starał się zebrać fundusze na zakup dworku Sierakowskich, aby w przyszłości tam przenieść muzeum. Wspierającemu tę ideę gronu założycieli Towarzystwa Muzeum Kaszubsko-Pomorskiego przewodniczył Roman Teodor Janta Polczyński,



Lazienki, koniec XIX w. Widokówki ze zbiorów Edmunda Puzdrowskiego

ziemianin, poseł z Kaszub do Reichstagu (1890-1911), kolekcjoner dzieł sztuki, uczestnik ruchu młodokaszubskiego. Janta Polczyński w 1903 roku kupił dom w Sopocie. Po II wojnie światowej osiadł w nim jego syn Roman Mieczysław z uratowanym zbiorem obrazów i biblioteką.

Plany związane z Muzeum Kaszubsko-Pomorskim zburzyła I wojna światowa. Muzeum przestało istnieć, podobnie jak większość polskich organizacji. Z powodu braku polskich gości, zbankrutował pensjonat Quo vadis. Chmielewski musiał go sprzedać. Sam przeniósł się do Wejherowa, gdzie już w dobie II Rzeczypospolitej został pierwszym polskim burmistrzem.

Przetrwiał wojenną zawieruchę Bank Ludowy i Biblioteka Macierzy Kaszubskiej, działająca w mieszkaniu Chmielewskiego. Po wojnie zaś życie polonijne zaczęło się błyskawicznie odradzać. W marcu 1919 wznowiło działalność wspomniane już Towarzystwo Ludowe. Wkrótce powstała w Sopocie Rada Ludowa, ekspozytura Naczelnej Rady Ludowej w

Poznaniu. Kierował nią najpierw Aleksander Majkowski, potem zaś Stanisław Kuhnert, były dziennikarz, potem sopocki radny i poseł do Konstytuanty Gdańskiej, czyli pierwszego sejmu Wolnego Miasta Gdańska, mającego uchwalić konstytucję. Zarówno owa rada jak i Towarzystwo Ludowe podjęły najpierw starania o wprowadzenie polskiej reprezentacji do Rady Miejskiej (uzyskano 3 mandaty), jak i do Konstytuanty (1). Wybory do Rady Miejskiej w Sopocie w 1919 roku wykazały, że Polakami czuło się wówczas około 3 tysięcy osób.

Panie reaktywowały utworzone w 1908 roku Towarzystwo Polek. Ponownie zaczęła działać Lutnia oraz założone w 1912 roku Towarzystwo Gimnastyczne Sokół. Powstały także nowe organizacje: Liga Żeglugi Polskiej, Polski Biały Krzyż, PCK, Narodowe Stronnictwo Robotników, Koło Demokratyczne, Związek Handlowców.

Niegdyśjszy Dom Polski Kulerskiego odkupił przybyły do Sopotu wraz z rodziną Antoni Chołoniew-

ski, autor publikacji „Nad morzem polskim”, publicysta, który w 1909 roku w cyklu artykułów drukowanych w warszawskim „Świecie” ukazał los Polaków pod zaborem pruskim. W 1919 roku spod jego pióra wyszła broszurka „Gdańsk i Pomorze Gdańskie”, przełożona na język francuski i kolportowana w Paryżu jako jeden z dodatków do dyplomatycznych zmagających o odzyskanie tych ziem. Władze Wolnego Miasta Gdańska nie zapomniały mu tego. Skorzystały z okazji i w 1921 roku wydały mu nakaz opuszczenia tego obszaru. Żona pozostała wraz z dziećmi w Sopocie, prowadząc pensjonat. Chołoniewski zaś zamieszkał w Bydgoszczy, gdzie zmarł w 1924 roku.

Po utworzeniu Wolnego Miasta Gdańska Rady Ludowe zostały przekształcone w Gminę Polską, organizację nadrzędną w stosunku do pozostałych. Jej sopocka filia rozpoczęła swój żywot 22 kwietnia 1923 roku podczas wiecu w hotelu Eden przy Südbadstrasse (obecnie ul. Kordeczkiego) i rychło osiągnęła status najpoważniejszej, najprężniej działają-

cej siły społeczno-politycznej organizującej polską społeczność. Na swą siedzibę zakupiła hotel Victoria (przy obecnej ul. Chopina, już nieistniejący), zyskując w ten sposób możliwość swobodnego działania.

Trzecią znaczącą grupę mieszkańców Sopotu stanowili Żydzi. W 1869 roku mieszkało ich tu zaledwie pięciu, w 1909 roku – 96. Otwierali zajazdy, budowali pensjonaty dla bogatych współwyznawców. W każdym był rzeźnik zwany szajhetem, dokonujący rytualnego uboju zwierząt. Po I wojnie światowej żydowską społeczność Sopotu zasilili uchodźcy z Rosji, głównie z Odessy. W 1929 roku w Sopocie mieszkało już 4311 Żydów. Ci osiedli od dawna czuli się raczej Niemcami wyznania mojżeszowego. Przybysze ze Wschodu na ogół zachowywali odrębność narodową i kulturową.

Przełomowym momentem w dość zgodnym wcześniej współżyciu tych trzech społeczności było dojście Hitlera do władzy. Pierwsze antysemickie wystąpienia hitlerowskich bojówek przypadają na rok 1935. W 1938 została spalona synagoga i nastąpił masowy exodus Żydów. Od 1937 roku niektórzy Niemcy w ramach – jak to określają badacze – wywiadu społecznego zaczęli sporządzać listy z nazwiskami Polaków, z wyszczególnieniem powiązań rodzinnych itp. Po wybuchu II wojny światowej najwięcej, bo 22 osoby z tego typu list zamordowano w Stutthofie, 10 w Lasach Piaśnickich, 7 w Oświęcimiu. Ich martyrologię upamiętnia pomnik w sąsiedztwie sopockiego ratusza. Na tablicy umieszczono 74 nazwiska polskich mieszkańców przedwojennego Sopotu. Tylko jeden poległ w walce jako żołnierz, reszta straciła życie w miejscach kaźni i obozach koncentracyjnych.

W 1945 roku część Niemców uciekała przed zbliżającym się frontem. Resztę wysiedlono na mocy międzynarodowych porozumień. Świadectwem dawnej koegzystencji pozostały miejscowe cmentarze – komunalny, czyli dawny ewangelicki, gdzie spoczywa m.in. Friedrich Lorentz, niemiecki znawca dialektów kaszubskich, katolicki i żydowski. ■

Doktor Jadwiga

Doktor Jadwiga Titz-Kosko (1902-1989) pozostaje w pamięci społeczności Wybrzeża jako lekarz reumatolog, inicjator i twórca Spółdzielni Mieszkaniowej Za Falochronem oraz zasłużony dyrektor Szpitala Reumatologicznego w Sopocie. Urodziła się w Mandżurii w mieście Dolnyj, jako córka inżyniera, jednego z budowniczych kolei transsyberyjskiej. Studia medyczne, rozpoczęte w Kijowie, ukończyła w 1936 r. w Warszawie. Specjalizowała się w reumatologii. Wybuch wojny zastał dr Titz-Kosko w Warszawie, gdzie pracowała w szkole pielęgniarek, w której podczas oblężenia powstał szpital kliniczny. Po włączeniu go do Szpitala św. Ducha, została jego wicedyrektorem, a później dyrektorem. W szpitalu wniosła pomoc rannym podczas powstania warszawskiego. Po powstaniu wywiozła będące pod jej opieką pielęgniarki do Czarnego Dunajca, a w 1945 r., do Akademii Medycznej w Gdańsku. W 1956 r. dr Jadwiga Titz-Kosko zorganizowała w Sopocie Szpital Reumatologiczny. Dzięki jej stanowczości posługę pielęgniarską mogły tam pełnić przez cały czas siostry zakonne zakonu sióstr serafinek. 17 lutego 1967 r., z inicjatywy dr Titz-Kosko powstała Spółdzielnia Mieszkaniowa Za Falochronem. Nowatorski statut spółdzielni, której zadaniem było niesienie pomocy niepełnosprawnym, stał się pierwowzorem dla podobnych instytucji w kraju i za granicą.

Szczególną pamięć i wdzięczność winne jest jej Muzeum Narodowe w Gdańsku za przyjaźń i żywe zainteresowanie, jakie okazywała tej instytucji, a szczególnie za wielkoduszne przekazanie obrazów, grafik, ceramiki pochodzących z przesyconego osobowością

właścicielki sopockiego domu, ocalałe z gdyńskiego domu jej i męża, kapitana Stanisława Kosko. Owe cenne pamiątki, związane z historią rodziny, przedstawiały wartość dalece wykraczającą poza ramy sentymentalne. Były to przedmioty o znacznych walorach artystycznych.

Jednym z najcenniejszych przedmiotów w sopockim domu pani doktor był porcelanowy dzbanek do kawy, wykonany w manufakturze królewskiej w Miśni około połowy XVIII wieku. Jego kształt i reliefowa dekoracja w sposób wyraźny nawiązują do dzbanka z serwisu Łabędziowego, wykonanego wg projektu J. J. Kändlera dla dyrektora wytwórni hrabiego Heinricha Brühla w latach 1737-1741. Dzbanek jest wyjątkowej urody, jest wielką rzadkością, gdyż podobne pojedyncze przykłady znane są jedynie poza Polską.

Klimat sopockiego domu dr Titz-Kosko oddaje kontynuatorka jej idei, dr Danuta Zarówny, dyrektor Szpitala Reumatologicznego w Sopocie: „Obok olbrzymiej aktywności zawodowej, dr Titz-Kosko przejawiała niezwykłą aktywność kulturalną i towarzyską. Dom Jej był domem otwartym, w którym przyjmowała przyjaciół i znajomych ze świata kultury i nauki i zwykłych, prostych ludzi obdarzonych Jej przyjaźnią. Nigdy nie zapomniane pozostaną w pamięci uczestników wieczory towarzyskie, które doktor Jadwiga organizowała w swoim domu. Wieczory pełne humoru, wspomnień, przepojone urokiem Gospodyni, która potrafiła zawsze wyczarować niezrównaną atmosferę bliskiego, ludzkiego kontaktu”.

Stanisław Kosko (1898-1939), kapitan żeglugi wielkiej, od 1937 r. był dyrektorem Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Jako oficer nawigacyjny uczestniczył w rejsie „Daru Pomorza” dookoła świata. Wrażenia z podróży opisał w książce „Przez trzy oceany” wydanej w 1936 r. Jego decyzja o wysłaniu „Daru Pomorza” w przededniu wybuchu wojny do Szwecji uratowała żaglowiec przed zagarnięciem przez Niemców. Zmobilizowany, jako dowódca ORP „Gdynia”, został ciężko ranny. Zmarł 8 września 1939 r. Jego imię nosił zbudowany w Polsce dziesięcioletniczek, którego matką chrestną była doktor Jadwiga Titz-Kosko. E. K.

Doktor Żaczek

W marcu bieżącego roku minęła 110 rocznica śmierci przyjaciela Floriana Ceynowy Jana Franciszka Żaczka, lekarza zdrojowego i członka dyrekcji uzdrowiska w Sopotcie. Lech Bądkowski, który na początku lat pięćdziesiątych zamierzał pisać pracę doktorską o Ceynowie, jego współpracownika Żaczka określił jako „zupełnie nie znaną dotąd postać kaszubską”. Choć za od napisania tych słów minęło prawie pół wieku i ukazało się kilka szkiców biograficznych o Janie Żaczku, postać ta nadal pozostaje mało poznana.

Żaczek urodził się 2 kwietnia 1841 roku, podobnie jak Ceynowa w rodzinie chłopskiej, w Sławoszynie. Niewiele wiadomo o rodzicach Żaczka – Józefie i Karolinie z domu Kužel. W „Gazecie Gdańskiej” w nie podpisanej notatce, która ukazała się sześć lat po śmierci doktora, napisano z mało wiarygodnym patriotycznym entuzjazmem, że jego ojciec „kochał nad życie ziemię polską i język polski, pielegnował go w domu i za domem, nigdy nie wstydił się swej narodowości, lecz owszem, chlubił się tym, że był Kaszubą-Polakiem”.

Żaczek był co prawda o 24 lata młodszy od budziela Kaszubów, ale szedł niemal taką samą drogą – od miejsc nauki do zawodu lekarza. Po ukończeniu sławoszyńskiej szkoły powszechnej rozpoczął naukę w gimnazjum klasycznym w Chojnicach. Gdy w 1861 przeniósł się do pełnego gimnazjum, przeniósł się właśnie do tej szkoły, położonej bliżej wsi rodzinnej, i dwa lata później, wraz z pięcioma innymi abiturientami, zdał maturę. Na świadectwie maturalnym jego nazwisko zapisano jako Johannes Żaczek.

W latach 1863–1868 studiował medycynę – najpierw w Gryfii, a potem we Wrocławiu i Berlinie. Przez całe studia pobierał stypendium polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Chelmnie. We Wrocławiu należał, jak Ceynowa, do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, które skupiało dość liczne grono młodzieży z Europy Środkowej, zainteresowane ideą panslawizmu – zjednoczenia narodów słowiańskich.

Według jego siostrzenicy Matyldy Jagalskiej, z którą Lech Bądkowski rozmawiał na początku lat 50., młody Żaczek prowadził dziennik, w którym m.in. zapisywał rodzime pieśni i wiersze poetów polskich. Jeszcze podczas studiów, w okresie wrocławskim, Jan Żaczek nawiązał bliską współpracę z rodakiem ze Sławoszyna. Florian Ceynowa, który w tym czasie był lekarzem domowym hrabiego Stanisława Hutten-Czapskiego w Bukowcu pod Świeciem, zamierzał założyć wraz z Bernardem Selinem z Jastarni i Janem Żaczkiem Towarzystwo Rzemjesnyczo-Przemysłowe.

Jak napisano w statucie organizacji: „Towarzystwo Rzemjesnyczo-Przemysłowe kaszebsko-słowjnského narodu mó za cěl, vskazovac zdatnim knópóm drogi do jakéhokòlvjek rzemjesla, abé z njeho pòzdní swój chléb mjelé é krajovj sé prěsłużelé; a městrovje é fabrikancé dostalé dobréh lédzi do svojích varsztatów é fabrik”. W statucie zaznaczono m.in., że językiem posiedzeń towarzystwa będzie kaszubski, a organem prasowym kwartalnik o nazwie „Wòrèdownjk Rzemjesnyczo-Przemysłového Tovarészstva”. Zebranie założycielskie zaplanowano u „góscinného Koeljpna” w Oliwie, a kolejne posiedzenia (zebrania ogólne) w Brusach, Świeciu, Smołdzinie i Sztumie. Szczególne cele towarzystwa zakończyły się na deklaracjach; na zebranie założycielskie przybył tylko sam Ceynowa.

Pracę doktorską „Die Trichinose” (trychinoza – choroba wywołana spożyciem mięsa skażonego włośnicą) obronił Jan Żaczek w Berlinie 15 sierpnia 1868 roku. Zadeedykował ją „ukochanemu przyjacielowi i protektorowi” Florianowi Ceynowie. Jednak już po studiach, gdy podjął pracę w szpitalu w Gdańsku, a od 1872 roku prywatną praktykę w Oliwie i ożenił się z Niemką wyznania protestanckiego, ich wspól-

praca urwała się. Ceynowa pod koniec życia (w 1880 r.) skarżył się w liście do krakowskiego językoznawcy Stefana Ramultha: „Dr Žôczk je lékarzë w Wòlëwje, wòżenjl sé z wuczóną Njemką é wuszë wòpuscil”. O żonie doktora wiadomo jedynie, że znała rosyjski i interesowała się zagadnieniami lingwistycznymi Słowiańszczyzny. Żaczkowie mieli dzieci, ale prawdopodobnie tylko córki. Najmłodsza z nich po ostatniej wojnie przysłała do krewnych list ze wschodniej Fryzji. Zamierzała osiedlić się w Polsce, ale tych planów nie zrealizowała.

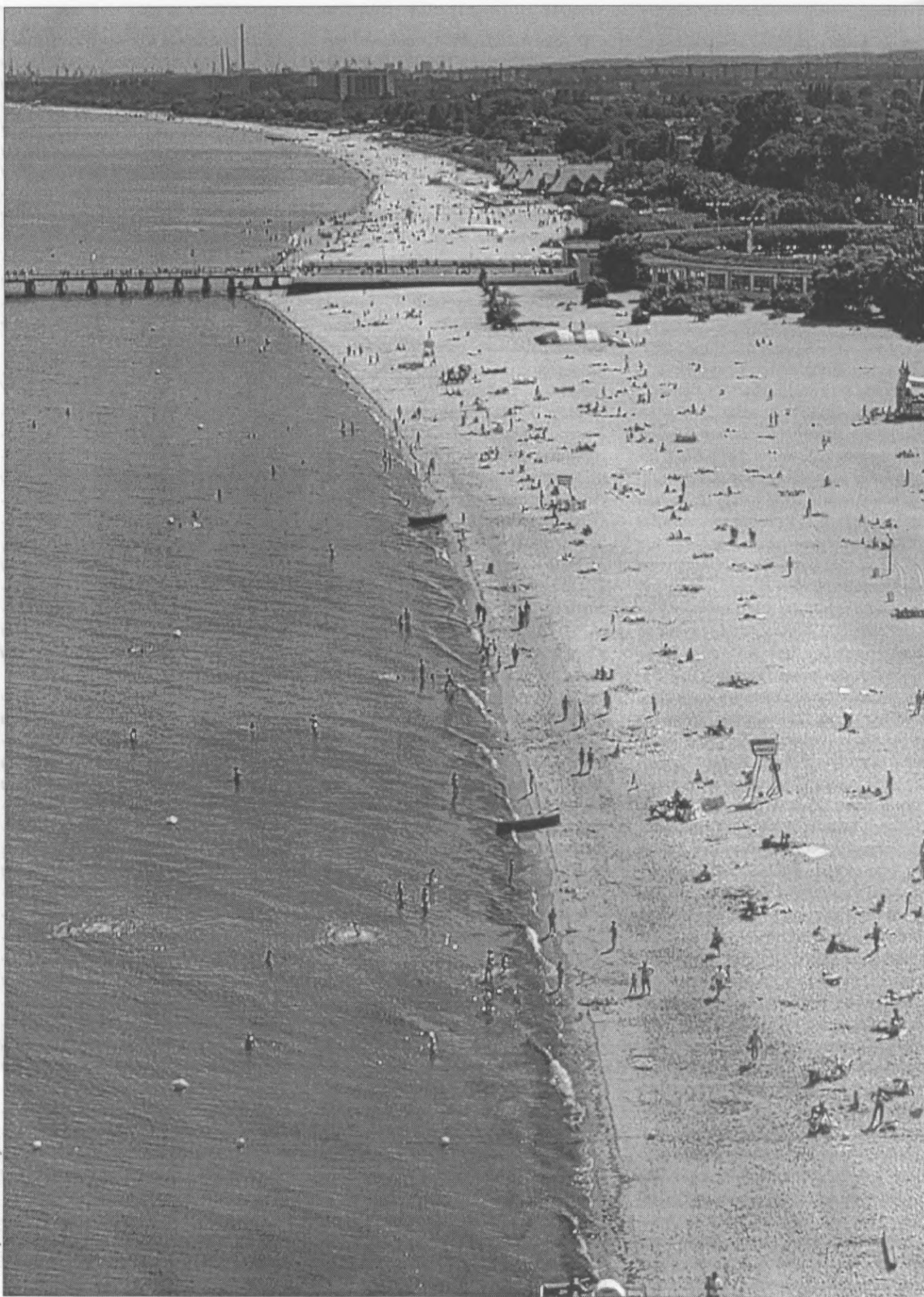
W 1882 roku, po śmierci Ceynowy, Jan Żaczek przeniósł się do Sopotu. W sopockim kurorcie praktykował balneoterapię u naczelnego lekarza kąpieliska dr Benzlera. Jako lekarz zdrojowy zdobył uznanie wśród kuracjuszy nie tylko z powodu umiejętności medycznych, ale także za pracowitość i serdeczność. W jego gabinecie lekarskim, mieszczącym się w pobliżu obecnej Monte Cassino, zawsze było sporo pacjentów. Rodzinna legenda głosiła nawet, że wzywano go też na konsylium lekarskie na dwór cesarza Fryderyka III w Berlinie.

Doktor był słabego zdrowia, zmarł w wieku 48 lat na na serce – 8 marca 1889 roku. Żona, prawdopodobnie spełniając jego życzenie, pochowała go na przykościelnym cmentarzu katolickim w Żarnowcu, chociaż krewni utrzymywali, że był osobą niewierzącą. Na tylnej stronie jego nagrobka znalazły się wyryte po niemiecku wiele mówiące słowa: „Wypelnianie obowiazków bylo jego religia, a czlowieczestwo ewangelia”. W 1983 roku członkowie oddziału puckiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego odnowili zniszczoną przez czas płytę nagrobną na mogile.

Lech Bądkowski twierdził, że Jan Żaczek nie tylko oparł się wszechobecnemu procesowi germanizacji, ale także był człowiekiem „niemałych możliwości oddziaływania na zwolna powstające środowisko inteligencji kaszubskiej”. Niestety, zachowane źródła są zbyt skromne, by można było w pełni potwierdzić tę opinię.

Należy mieć nadzieję, że rodak Floriana Ceynowy doczeka się biografy, któremu uda się odsłonić wiele nadal istniejących tajemnic jego życia.

Jan Lipuski





Fot. Marek Sperski

Kto bywał w Sopocie

Ryszarda Socha

Fot. Władysław Zuchowski jr



Fragment portalu kamienicy przy Monte Cassino

Pierwsi kuracjusze pojawili się w Sopocie jeszcze zanim doktor Haffner pobrał zakład kąpielowy. Należała do nich hrabina Waleria Tarnowska z Dzikowa pod Tarnobrzegiem, skierowana w 1817 roku nad morze przez pewnego gdańskiego lekarza. Jej opis Sopotu jako wioski rybackiej przywołał wnuk Stanisław Tarnowski, historyk literatury polskiej, profesor, a potem rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, goszczący tu w 1881 roku. Zastał on już miejscowość letniskową, z wsią rybacką niewiele mającą wspólnego. Z małymi czystym domkami w ogródkach. „Ani cienia, ani przecucia tej wykwinności, którą się szczycą morskie kąpiele we Francji i w Belgii. Kąpiele to dla ludzi spokojnych i dla średnich, uboższych kieszeni. Kobiety chodzą zawsze w tych samych perkalikowych lub wełnianych sukniach, nikt się nie stroi, pięknych elegantek i młodych fircyków ani

na lekarstwo, życia towarzyskiego żadnego, chyba żeby kto za takie chciał uważać liche koncerty i od czasu do czasu lichsze jeszcze fajerwerki przed »Kurhausem« albo odbywające się regularnie co soboty tańczące rejuniony, na których rejdą pruscy oficerowie z pobliskich garnizonów. Ludzi dość dużo, Niemców, Polaków z Wielkiej Polski i z Warszawy (...) Ale ta dziura ma swój wdzięk i polubić ją łatwo”.

Lista artystów i ludzi pióra, którzy odwiedzali powstający dopiero kurort, jest dość obszerna. Gościł tu sławny aktor Alojzy Żółkowski (syn, 1839, 1840), Narcyza Żmichowska, autorka „Pogańki”, która we wrześniu 1859 w nadmorskiej willi nie tylko wypoczywała, ale także konspirowała. Zajrzeli tu przelotnie goszczący w Waplewie Fryderyk Chopin (1827) i Józef Ignacy Krasiński (1867). Latem zaś 1875 – gość rodziny Donimirskich, wybitny ówczesny etnograf Oskar Kolberg. Ten

ostatni zabawił dłużej, dokumentując przy okazji miejscowy folklor. W listach odnotował między innymi, że pospólstwo kąpało się na wysokości dzisiejszej przystani rybackiej, bez rozdziału na płcie.

Młoda Maria Skłodowska, przyszła odkrywczyni radu i polonu, była tu latem 1889 jako nauczycielka domowa dzieci pewnych państwa Warszawy. Rok wcześniej spędziła tu wakacje wraz z dziećmi Henryk Sienkiewicz, bywalec znanych kurortów europejskich. Ale Sopotu nie polubił. Po dwóch tygodniach zostawił dzieci pod opieką teściowej, a sam udał się do Ostendy. Mściłowski Godlewskiemu, redaktorowi warszawskiego „Słowa” doniósł: „Zoppot jest straszną dziurą. Czarno, mokro, nudno, słowem obrzydliwie”.

Zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie 23-letni austriacki poeta Rainer Maria Rilke, zakochany w starszej o kilkanaście lat Lou Andreas-

Salome, mającej opinię kobiety fatalnej, byłej narzeczonej Fryderyka Nietzschego, obdarzonej dużą urodą i takimż intelektem. Przyjechali do Sopotu oboje w lipcu 1898 roku, ponieważ Lou chciała odwiedzić swą gdańską przyjaciółkę. W „Dzienniku florenckim”, który wtedy pisał Rilke, na temat Sopotu nie ma ani słowa. Za to cięty, właściwy swemu temperamentowi opis dał Adolf Nowaczyński, satyryk, publicysta i dramaturg, który gościł tu w 1910 roku. W jego opublikowanych w 1934 roku w „Wiadomościach Literackich” zapisków wyłania się obraz Sopotu znacznie odbiegający od kreślonych wcześniej przez Kraszewskiego czy Sienkiewicza: „Sezon kąpielowy w Zoppotach na cztery lata przed wojną europejską wyjątkowo był gwarny i huczny, »ogromnie nasz«, jak się mówiło po sienkiewiczowsku, po prostu polski. Ostseebadowi tonu i szyku nadawała Warszawa, a w listach kurgastów przeważali Polacy. W lokalach wszyscy ślicznie starali się mówić choćby kilkanaście zdań po polsku. U szynkownego Werminghoffa bywały nawet w menu polskie dania. (...) Szampana przy stołach stawiała sobie przeważnie polska noblessa. Na kortach tenisowych towarzystwo polskie. W psich konkursach nagrody brały psy polskie. Najładniejsze kostiumy kąpielowe, oczywiście warszawianki (...). Weltbad Zoppot za hałaśliwy, pstry i karnawalski, stawał się po prostu przedłużoną nad Bałtyk Warszawą, dependance Warszawy czy raczej Warszawki (...)”. Widać, że w latach 1890-1910 nastąpił przełom w rozwoju miejscowości. W okresie międzywojennym gościli tu m.in.: Julian Tuwim, Andrzej Strug, Wojciech Kossak z córkami Marią Pawlikowską i Magdaleną Samozwaniec, Jan Lechoń, Kornel Matuszyński, Ludwik Solski. Kazimierz Twardowski, filozof, twórca szkoły lwowsko-warszawskiej w „Dziennikach” pod datą 27 lipca 1926 roku zanotował: „Rano mały spacer z Gebertem – jak zwykle w Sopocie z Żoną i Leną na tzw. Waldoper, tj. na przedstawieniu Lohengrina pod gołym niebem w lesie.

Wrażenie niezapomniane”.

Fot. Władysław Zuchowski jr



MÓJ Sopot

Nazywany Perłą Bałtyku ma już niemal stuletnią historię. Jego sława jako jednego z najpiękniejszych kurortów nad Bałtykiem przetrwała do dziś. I choć współczesny wizerunek miasta różni się od tamtego sprzed wojny, nadal zachwyca. Na jego bogatą historię składają się zabytki architektury i sędziwy drzewostan, ale głównie pamięć jego mieszkańców. To oni, opowiadając mi o swoim Sopocie, ułożyli barwną mozaikę rzeczywistego obrazu miasta. Bo Sopot to nie tylko najbardziej wydeptany trakt, kończący się drewnianym mołem, ale także to, czego być może nie dostrzegamy, a więc dolne i górne miasto, okolice sopockiej skarpy, torów kolejowych, zapomniane i po sobie – mu piękne podwórka, a także las na Brodwinie...

O swoim Sopocie mówią przesiedleńcy, jego rodowici mieszkańcy i nowo zamieszkali. Odkrywając niewidoczne dla innych piękno swojej ulicy, dzielnicy, a czasem wspomnienie, dają do zrozumienia, że miasto, mimo swoich niedoskonałości, ma w sobie wyjątkowy, magnetyczny urok. Trudno mu się oprzeć i tak pięknie o nim marzyć.

Aleksandra Oksiuta-Borowska

Miasto artystów

Anna Smolana – architekt wnętrz, lalkarka, poetka

Sopot – to dla Anny Smolany bardzo osobiście kojarzący się ciąg wyrazów na literę „m”: miasto twórczej aktywności, miejsce jej młodości, miłości i dwudziestoletniego małżeństwa z Adamem Smolaną, miejsce, gdzie mieszka przy ulicy Westerplatte. I jeszcze morze i molo. Sopot to też bliski jej sercu Mateusz, syn Adama z drugiego małżeństwa, sąsiad zza ściany... to też liczne grono zaprzyjaźnionych artystów.

Przyjechała tu ze Lwowa w 1946 roku. Zamieszkali początkowo w tak zwanym domu profesorskim pod numerem 25, a później przy ulicy Wybickiego, po drugiej stronie torów kolejowych, pod lasem. Właśnie las był ich stałą trasą spacerową i rowerową. Grzyby rosły przy samej drodze, borsuki i lisy podchodziły pod dom. Ulubionym ścieżkom nadawali wymyślone przez siebie nazwy, jak „Ścieżka komarowa”, „Ścieżka taplania dzikich świń”, czy „Ścieżka grzybowa”. Pamięta też „Dolinę miedzianego drutu”, skąd pozyskiwali ten cenny, pozostawiony przez Niemców materiał, którym usztywniali gipsowe rzeźby. Doskonały ze względu na trwałość i nie dający rdzawych zacieków... Pamięta, jak na stadionie położonym blisko ich domu, obserwowali treningi Elżbiety Krzesińskiej i Janusza Sidły. Kiedy zaczęto zrównywać stok leśny przy stadionie, z przeznaczeniem na skocznię igielitową, udało im się uratować czarną sosnę, którą zasadzili w ogrodzie. Kiedy po latach zmarniała, Adam zrobił z niej ławę i stół... Stoją do dzisiaj. Jej ulicę, na którą wrócili po niemal dwudziestu latach, nadal zamieszkują artyści malarze i rzeźbiarze, którzy właśnie tu stworzyli dzisiejszą gdańską Akademię Sztuk Plastycznych. Pod numerem 25 mieszka prof. Zygmunt Karolak, który mimo przekroczonej dziewięć-

Fot. A. Koleccki

Zakład Balneologiczny

dziesiątki ciągle maluje. W tym samym domu tworzą też Andrzej Przemycki z żoną Joanną, Daria Krzyżyńska i wdowa po architekcie Stefanie Listowskim. Nadal maluje jej sąsiadka z góry prof. Józefa Wnukowa, swoją pracownię ma tu Maciej Świeszewski, Jerzy Ostrogórski i architekt Adam Haupt – współtwórca pomnika na Westerplatte. Za ścianą rzeźbi Izabella Berwertz-Smolana. Tworzy też cała plastyczna rodzina Strzeleckich, mieszkająca po przeciwnej stronie ulicy. Anna Smolana przypomina sobie pionierskie czasy uczelni, kiedy mieściła się ona jeszcze w willi pod nr. 24. Obecnie mieszka tam prof. Alfred Wiśniewski z żoną i synem oraz Adam Haras z Haliną Cichoń-Haras, pianistką. – Wykładowcy i studenci – wspomina – spali na siennikach we wspólnych pomieszczeniach, które w dzień opierało się o ścianę, żeby znowu mogły pełnić rolę sal wykładowych Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Janusz Strzałek – pierwszy rektor uczelni, Marian Wnuk, drugi rektor, rzeźbiarz i jego żona Józefa, malarka, potem byli Żuławscy: Jacek i Hanna... a po nich Juliusz Studnicki i Krystyna Łada-Studnicka – wylicza – to było tych siedem osób, które faktycznie założyły szkołę.

Anna Smolana nie wyobraża sobie mieszkać gdziekolwiek indziej, jak właśnie tu, przy tej ulicy, która po raz kolejny, w czerwcu tego roku obchodzić będzie uroczyste swoje święto. Już teraz przygotowują się do niego wszyscy mieszkający przy Westerplatte artyści. Anna Smolana lubi ten odcinek za mostkiem, gdzie w domu zajmowanym kiedyś przez nieżyjącego już prof. Satriusza Horno-Popławskiego słycać, widać i czuć jego ducha... W ogrodzie stoją jego rzeźby, a muzyka dochodząca z mieszczącej się w tym domu Szkoły Muzycznej przypomina nazwisko jego córki – Jolanty Popławskiej-Ronczewskiej, dyrektorki szkoły. Do dziś w szkole muzycznej mieszka jej pierwszy woźny, pan Jabłoński, żołnierz spod Monte Cassino.

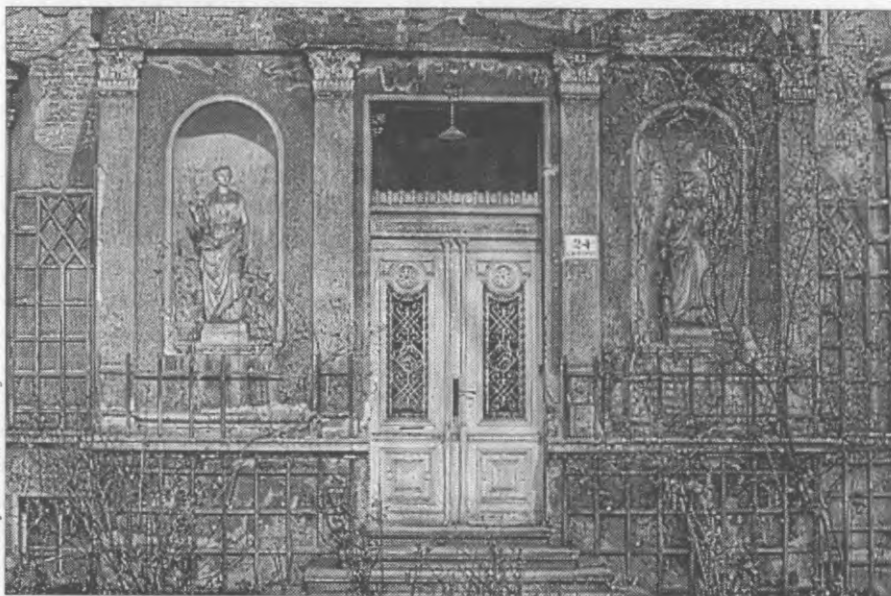
Anna Smolana nie żyje tylko wspomnieniami. Przygotowuje się do kolejnej wystawy, planowanej w Pałacu Opatów, gdzie prezentować się będą artyści współpracujący z Cepelią. Jej lalki już siedzą i czekają, popracować trzeba jeszcze tylko nad tkaninami...

Fot. Marek Sperski



Willa Bergera zbudowana w 1871 r., w latach 1947-1951 siedziba Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych

Fot. Władysław Zuchowski jr



Detale rzeźbiarskie willi Bergera

Fot. Władysław Zuchowski jr



Chwila samotności

Sopot – to moja rodzina, morze i praca

Maciej Chimiak – lekarz medycyny, wieloletni zastępca ordynatora Szpitala Przeciwgruźliczego w Sopocie, inicjator i współtwórca hospicjum im. Błogosławionej Siostry Faustyny Kowalskiej

Do Sopotu przyjechałem z rodzicami w 1945 roku ze Lwowa, gdzie dorałem i rozpocząłem studia medyczne, które w Gdańsku kontynuowałem – wspomina. – Pamiętam, jak przyjechalibyśmy tu z całym dobytkiem, z inicjatywy mojego wujka, który miał możliwość zakwaterowania nas właśnie w Sopocie. Pociąg, a był to wagon towarowy, zatrzymał się na wysokości dzisiejszej stacji Wyścigi, gdzie czekaliśmy chyba ze dwa dni. Pilnował nas uzbrojony żołnierz polski z orzełkiem na czapce. To były niebezpieczne czasy, mogliśmy z powodu grasujących tu czerwonoarmieńców stracić wszystko, co przywieźliśmy ze sobą. Kiedy dojeżdżaliśmy do Oliwy, zachwyciłem się skrawkiem morza, które zobaczyłem na mgnienie oka przez okno pociągu... O spacerach brzegiem morza, takich jak dziś, można było wtedy tylko pomarzyć. Pamiętam, jak plaże, w obawie przez imperialistycznym wrogiem, były bronowane i obserwowane przez Straż Graniczną ze specjalnych wieżyczek umieszczonych w koronach drzew. Każdy spacerujący był podejrzany i można go było wylegitymować. Mnie się zdarzyła taka przygoda podczas romantycznego spaceru z dziewczyną – uśmiecha się do tych wspomnień.

– Moje związki z Sopotem są silne choćby poprzez miejsca zamieszkania, trzykrotnie zmieniane. Najpierw była

to ulica Niepodległości (dawniej Stalina), potem Puławskiego i obecnie Mickiewicza – wylicza. – Moje życie zawodowe również związane było z tym miastem, długie lata pracowałem w Szpitalu Przeciwgruźliczym, mieszczącym się na granicy Sopotu z Oliwą. Teraz także, kiedy jestem na emeryturze i działam w hospicjum, mam do czynienia z najstarszymi sopocianami... Niezwykle jest to, czego doświadczam na co dzień patrząc na gasnące w ludziach życie. – Dzięki hospicjum, które założył ks. Stanisław Jarzembski, nasi chorzy nie „odchodzą” samotnie pośród szpitalnych odgłosów, ale otoczeni ciepłem i miłością swoich najbliższych. – Cieszę się, że fundusze z Kasy Chorych pomogą nam przetrwać trudny okres oczekiwania na nowych, młodszych wolontariuszy, bo prawie wszyscy, niezwykle oddani chorym, lekarze i pielęgniarki w hospicjum, to emeryci.

Zapytany o ulubione miejsca spacerów wymienia sopockie lasy, ale także ulicę Monte Cassino. Zresztą, mówi, są to rodzinne fascynacje, bo z tych spacerów uliczkami Sopotu zrodził się pomysł pracy dyplomowej córki Zofii, która ukończyła architekturę na Politechnice Gdańskiej. Tematem pracy było „Studium analizy wartości i metody rewaloryzacji ulicy Bohaterów Monte Cassino” – przypomina sobie – a dokładniej, chodziło o pomysł na teatr ze sceną na świeżym powietrzu, usytuowany na jednym z podwórek przylegających do deptaka – wskazu-

je na plansze z projektami. – Na ulicę, jak powtarza moja córka, trzeba patrzeć całościowo, czyli też na przylegające do niej podwórka. Staram się tak patrzeć, i niektóre z tych podwórek zachwycają mnie, tak jak Zofię, bo... tu też jest mój Sopot.

Buty ... z ojca na syna

Bogumiła Tomasińska – rzemieślnik, właścicielka warsztatu i sklepu szewskiego ze zdrowotnym obuwiem dziecięcym przy al. Niepodległości
Bogdan Tomasiński – elektryk, podtrzymuje wraz z matką i rodzeństwem tradycje rodzinne, współwłaściciel sklepu i warsztatu szewskiego

Sopockie wspomnienia Bogumiły Tomasińskiej sięgają 13 maja 1945 roku, kiedy to przyjechała z Warszawy i tak jej się tu spodobało, że została, mieszka i pracuje do dziś, niezmiennie w tym samym miejscu.



Fot. Władysław Zuchowski jr

Sopockie podwórko

– A w tym mieszkaniu przyszło na świat pięcioro moich dzieci: Hanka, Baśka, Bogdan, Elżbieta i Mirosław – wylicza. – Odbierała je położna z ul. Powstańców, pani Kumerowa. Pierwsze wrażenie najlepiej się pamięta, a takim była czystość Sopotu – mówi. – Ulice były myte codziennie, tę świeżość czuło się w powietrzu. Zresztą mieszkaliśmy w samym centrum miasta, skąd równie blisko było do lasu, jak i do morza.

– Dziś z tego lasu pozostały tylko mizerne resztki, odkąd w jego pobliżu pobudowano osiedla mieszkaniowe – wzdycha Bogdan Tomasiński. – Pamiętam, jak w miejscu, gdzie dziś jest schronisko dla zwierząt, był piękny park ze stawkiem, do którego mama chodziła z nami na spacer.

– Tych miejsc spacerowych, z oczkami wodnymi, gdzie można było bezpiecznie z dziećmi posiedzieć i pobawić się, było bardzo dużo – dodaje matka. – W lesie były alejki oznakowane szlakami, a przede wszystkim wspaniałe i rzadkie gatunki drzew. Ja w ogóle wołałam las od morza.

Bogumiłę Tomasińską wyjątkowo denerwuje hałas i brud uliczny, który, wznoszony przez pędzące samochody, osiada na odnowionych elewacjach kamienic oraz wciska się w każdy kąt sklepiku i mieszkania. Trudno jej zrozumieć, dlaczego miasto utrzymuje tytuł bezrobotnych pijaków, którzy wiadomo co robią z okolicznych bram i podwórek, a mogliby przecież zająć się chociażby zmiataniem ulic...

– Zmartwieniem o dużo większym zasięgu – mówi syn – jest fakt, iż miasto nie jest przystosowane do potrzeb większości jego mieszkańców, czyli tych „wcześnie urodzonych”. Przeważnie są to ludzie niepełnosprawni, których trzeba podwieźć na przykład na pocztę główną, a tam nie ma normalnych miejsc postojowych, tylko płatne i do tego najczęściej zajęte, bo jest ich tak niewiele.

Na temat „biznesu na butach” nie chce mówić, bo robi to bardziej dla podtrzymania tradycji, i w trosce o prawidłowe ustawienie stóp społeczności sopockiej, niż dla pieniędzy. – W końcu, poznać pana po cholewach, a sopocianina po prawidłowo stawianej stopie, co wymusza usztywniona pięta butów. Trudno się spodziewać, żeby były z tego duże pieniądze, skoro bez



Fot. Władysław Zuchowski jr

Odsłonięcie rzeźby „Rybaka”

względem na rozmiar butów, cena ich jest stosunkowo niska i niezmienna. W przeciwieństwie do modnego systemu dorabiania się typu: „kupię – sprzedam – zarobię” – napracować się trzeba bardzo dużo, i w dodatku tylko na cztery ręce.

Bogdan Tomasiński, zapytany o szczególną cechę odróżniającą sopocianina od mieszkańców innych miast, mówi z udawaną (albo i nie) powagą, że jest ona dość wyraźna: sopocianie nigdy nie wstydzą się miejsca swego urodzenia.

Kapelusze i pijawki

Ewa Mróz – członkini Towarzystwa Przyjaciół Sopotu, modystka, od trzydziestu lat prowadzi pracownię kapeluszy damskich

Pierwszy lokal przy al. Niepodległości, gdzie mieściła się jej pracownia i sklepik, znają niemal wszyscy mieszkańcy Trójmiasta. Ewa Mróz z rozbawieniem wspomina to miejsce z czasów dzieciństwa. Pamięta, że zatrzymywała się przed „swoim” oknem wystawowym,

żeby popatrzeć na ...pijawki, pływające w wielkich słojach, które można było kupić albo przystawić sobie na poczekaniu u pana Dziergowskiego, prowadzącego tu punkt PCK. Nie przypuszczała wówczas, że właśnie tu, w miejscu owych słoików, wystawiać będzie kiedyś eleganckie kapelusze. Nie, nie zliczy, ile kobiet zamawiało u niej, ale z tej ogromnej liczby pamięta kilka charakterystycznych postaci. Choćby Danutę Wałęsową, wybierającą u niej jeden z pierwszych swoich kapeluszy, czy Krystynę Łubieńską, bo nie jeden tu kupiła, a także kuzynkę królowej Elżbiety... Ewa Mróz kocha Sopot całym sercem, i ten z dzieciństwa, i z okresu swojej młodości, i ten obecny, w końcu legitymuje się „dobrym urodzeniem w Sopocie”, jak czytam w dokumencie stwierdzającym przynależność do TPS. A dosłownie, urodziła się na okrągłym stole w pokoju bawialnym przy ul. Mierosławskiego, gdzie do dziś mieszka. A na świat pomogła jej przyjść znana sopocka akuszerka pani Kumer, która niejednego sopocianina przyjęła, zanim urządzono porodówkę przy Abrahama, czy potem przy Westerplatte. Ewa Mróz ze wzruszeniem wspomina miejsca, których już dawno nie ma. Choćby ogrodnictwo u zbiegu ulic 3 Maja i Grunwaldzkiej, czy piękny park ze stawem i młyn przy obecnej Szkole Podstawowej nr 8. Tęskni za zapachem słodyczy w sklepiku Liliput przy Rokossowskiego (dzisiejsza Monte Cassino), gdzie teraz jest antykwariat. Pamięta, jak czekały z mamą zziębnięte w dłu-

giej kolejce po wymianę pieniędzy w banku, który stał w miejscu dzisiejszego sklepu Rossmann. Śmieje się, że niewielu rodowitych sopocian wie, gdzie naprawdę był pierwszy Non Stop, założony przez Franciszka Walickiego. – Wszyscy mówią, że przy kolejce, koło Wyścigów, a to nieprawda, tam był ten trzeci, większy, a zimowy w podziemiach Grand Hotelu. – Bo pierwsze miejsce, gdzie szalała tańcząc w rytm big-beatu, było koło molo, tuż przy dzisiejszym Fantomie. Pamięta, jak jej biedny tatuś, na pół ogłuszony głośną muzyką, czekał na nią pod siatką ogradzającą tę oazę młodzieżowej wolności, żeby odprowadzić ją bezpiecznie do domu. Żał jej dawnego Ermitażu, gdzie do dansingów przygrywała orkiestra niewidomych – dziś jest tam pizzeria. Żał Złotego Uła ze stałym bywalcem Georgem Kanadą, który podobno błaka się teraz między SPATIF-em a Kameralną.

Obecnie Ewa Mróz cieszy się bardzo prężną działalnością Towarzystwa Przyjaciół Sopotu i postanawia czynnie włączyć się do walki o istniejące jeszcze, jak mówi, żywe i piękne pamiątki z przeszłości. No, choćby młyn przy 3 Maja, któremu grozi zrównanie z ziemią.

Czy nosi kapelusz? – Oczywiście! W końcu nie inaczej, jak w tym powiedzonku, że pana poznać po cholewach, a damę po kapeluszu.

Sopot prezydenta

Jacek Karnowski – prezydent miasta

O ósmej rano w sekretariacie prezydenta dzwonią telefony, do gabinetu wchodzi i wychodzą ludzie... Trudno znaleźć chwilę na refleksję o mieście.

– Urodziłem się w Gdańsku, a w Sopocie zamieszkałem wraz z rodzicami,

kiedy miałem pięć lat. Tu chodziłem do szkoły podstawowej, stowarzyszonej, jednej z trzech w Polsce, w UNESCO. Dobrze pamiętam ten okres końca lat sześćdziesiątych i początek siedemdziesiątych. Mieszkaliśmy w dolnym Sopocie blisko plaży, tak więc biegło się do morza tylko w kąpielówkach. A na plaży zawsze można było spotkać znaną z telewizji twarz, Sopot był przecież taką letnią stolicą Polski. Chociaż ja bym go nazwał miastem kieszonkowym – uśmiecha się na wspomnienie dzieciństwa – bo jako chłopak znałem tu większość podwórek i piwnic. Wiedziałem, którądy wejść, żeby znaleźć się w zupełnie innym, dokładnie określonym miejscu. Wówczas Sopot przeżywał okres rozkwitu, w który wpisywały się międzynarodowe festiwale piosenki. Przyjeżdżały z daleka wielkie sławy, zbierało się autografy... Sopot, w tych obrazkach, jest miastem ciekawych zderzeń ludzi przyjeżdżających na wakacje z mieszkającymi tu „od zawsze”, a także dziwaków, takich jak Parasolnik. Pamiętam, jak bardzo przeżywało się wszystkie imprezy sportowe, szczególnie tenisowe. Dużym wydarzeniem było spotkanie na kortach Olbrychskiego czy Fibaka... Potem nastąpił upadek Sopotu, były to lata 1981-1990. Zamknięto plażę, zabrano festiwale, stan wojenny spowodował, że część ludzi pociąkała, przestali do nas przyjeżdżać. Pozamykano hotele, choćby Wandę, przestano chodzić na lody do Grand Hotelu, miasto wyglądało coraz gorzej. W Parku Północnym z drzew zniknęły tabliczki informujące o ich wieku, pochodzeniu... Nastąpiło załamanie. Ja wówczas studiowałem. Powolne dźwiganie miasta, żeby to dziwnie nie zabrzmiało – zastrzega – zbiegło się z początkami mojej pracy. Sopot jest mi bardzo bliski poprzez ulubione miejsca – są to dla mnie molo poza sezonem, wydmy, las – oraz ludzie. Znam tu bardzo wielu ludzi, i tych bogatych, i tych biednych, a nawet z tak zwanego marginesu społecznego – wlicza. – Miasto jest mi też bliskie przez problemy, z którymi się borykam. Jednym z nich jest estetyka i nie myślę tu o odnowionych elewacjach czy wymianie dachówek, bo, jak się okazuje, dużo poważniejszy jest problem podwórek i komórek. Trudno zmienić mentalność pewnej części mieszkańców, którzy grodzą ogródki drutem kolca-

stym czy zabudowują podwórka garażami, komórkami, szalerkami, w których hodują drób. To wszystko dzieje się w środku miasta! A jeszcze nie tak dawno wzdłuż torów kolejki SKM, w tych komórkach hodowali świnie. Ale widocznych, pozytywnych zmian jest dużo – dodaje. – Choćby inwestycje budowlane oraz większe zatrudnienie. W stosunku do lat osiemdziesiątych pracę w handlu i usługach znalazło trzykrotnie więcej mieszkańców – przytacza z dumą dane statystyczne.

– Jestem mocno związany z tym miastem. I choć mieszkam obecnie w Kamiennym Potoku, to nadal jest tu cała moja rodzina, moja mama i... Urząd Miasta z pięknym widokiem na park.

Sopot wiceprezydenta

Wojciech Fulek – wiceprezydent Sopotu, poeta

Nazywa siebie sopocianinem z urodzenia, zamieszkania i wykształcenia – od przedszkolnego po uniwersyteckie. Należy do „klubu dobrze urodzonych w Sopocie”, jako radny służył miastu przez dwie kadencje, a w trzeciej został wiceprezydentem. Jego wcześniejsza działalność związana była z miastem m.in. poprzez Bałtycką Agencję Artystyczną, gdzie jako współorganizator odpowiedzialny był za międzynarodowe festiwale piosenki oraz większe koncerty. Pracował także w sopockiej firmie ubezpieczeniowej Hestia na stanowisku dyrektora ds. public relations. Mimo iż zdołał poznać Sopot z różnych stron, miasto zadziwia go nadal, ma niezmiennie magnetyczny urok.

– Coś w tym mieście musi być niezwykłego – mówi – skoro ludzie, ujrzawszy je pierwszy raz, zakochują się w nim na zawsze. Ostatnio takim przykładem może być Szwed Per Oscar

Dahlberg, jeszcze jeden artysta plastyk, który osiedlił się na stałe w Sopocie. Zresztą, nie wyobrażam sobie miasta bez artystów, właśnie oni nadają mu ten szczególny klimat, dzięki któremu nie jest ono martwe. Na ów urok Sopotu składa się zapewne wiele czynników, m.in. siedemsetletnia tradycja tego miejsca i stulecie historii miasta, a właściwie kurortu. Także to, iż zamieszkiwała go wielonarodowościowa mieszanina. Było tu pogranicze kultur: niemieckiej, żydowskiej, polskiej i kaszubskiej. Te wpływy i naleciałości historyczne z jednej strony zaowocowały bolesnymi ranami i podziałami, ale z drugiej, tak myślę, uczą tolerancji i szacunku dla przeszłości.

Wojciech Fulek, chodząc po Sopotcie nie patrzy pod nogi z dwóch powodów. A to dlatego, że większość reprezentacyjnych miejsc ma już równo ułożone chodniki, a poza tym lubi patrzeć na piękne okna kamienic, na rzeźbione werandy, witraże i posagi, na to, co jest powyżej witryn sklepowych.

– Trudno wyobrazić sobie Sopot bez takich miejsc, jak promenada nadmorska, moło czy Opera Leśna, które wyznaczają tożsamość miasta w szerszym znaczeniu – mówi. – Natomiast na mapie moich indywidualnych emocji nie wyobrażam sobie, aby mogło zabraknąć ulicy Westerplatte, a to głównie z powodu powojennego ducha miejsca. Także z powodu zabudowy, ale przede wszystkim zamieszkujących ją artystów, tych starszych, jak prof. Józefa Wnukowa czy prof. Zygmunt Karolak, ciągle twórczo aktywnych mimo swoich lat, i młodszych. Przenikają się tu i tradycja, i współczesność w sztuce. Poza tym, ta ulica jest oazą spokoju podczas nasilonego ruchu turystycznego na Monte Cassino i tu zawsze mogę czuć się jak u siebie. A miejsca, które denerwują? To pozostałości z szarego okresu naszej historii, czyli wieżowce w środku miasta, które nie korespondują z jego niską zabudową i oczywiście bieżące problemy do rozwiązania, choćby sopockie podwórka czy Łazienki Północne... Co cieszy? Inwestycje budowlane w mieście, swoista koniunktura na Sopot, czyli napływ pieniędzy dla restauratorów, właścicieli hoteli czy Państwowej Galerii Sztuki, bez której niemożliwe byłyby niezwykle kosztowne i konieczne remonty w mieście. Systematyczne odrabianie pięć-

Fot. Władysław Zuchowski jr



Fot. Władysław Zuchowski jr



Sopocka mozaika – „nowe” i „stare”

dziesięcioletnich zaniedbań to długotrwała strategia rozwoju miasta. Cieszy mnie snobizm na Sopot, który w efekcie jest pozytywnym zjawiskiem dla pięciu tysięcy drobnych podmiotów gospodarczych, nie licząc tych największych, które umożliwiają zatrudnienie wielu naszym mieszkańcom.

Bez Sfinksa nie mogą żyć

Ala Gruca – malarka i scenograf
Robert Florczak – malarz, scenograf,
wraz z Alą współtwórca
wnętrza Sfinksa

W Sopocie mieszkają i tworzą razem od piętnastu lat. Ich bliski związek z miastem ma charakter ustawicznego nad nim zachwyty i ...przemieszczania się z jednego wynajętego mieszkania do drugiego. Zauroczenie Sopotem zaczęło się od długich spacerów po ulicach, zaułkach i podwórkach. Ala tak zachwycała się sopockimi podwórkami i werandami, że Robert podsunął jej jako pomysł tematu pracy dyplomowej. I tak powstał cykl pastelów, zatrzymujących niepowtarzalne piękno architektury, jakby wstydliwie schowane od podwórek. Widok tych połamanych płaszczyzn do dziś zatrzymuje Alę w miejscu. Natomiast inspiracją do dyplomowej pracy Roberta była... twarz Ali, którą uwiecznił w cyklu portretowym. Do dziś Ala jest jedyną jego modelką. Z tego chodzenia i wspólnych westchnień doszło do ich zdumiewająco zgodnego małżeństwa, które rozwinęło się w czteroosobową rodzinę. Ala jest rodowitą sopocianką, Robert, urodzony w Warszawie, nazywa siebie sopockim neofitą, choć, jak zauważa, po zamieszkaniu w Londynie, Nowym Jorku i Warszawie, tu, w tym mieście jest najdłużej. Oboje

poruszają się po Sopocie wyłącznie pieszo, i to bez względu na odległości. Bo zawsze można odkryć coś nowego, a bywa, że zauważają bezpowrotny brak jakiegoś detalu, daszku, okna, werandy czy... całego budynku. Ala nie może odżałować rozbieranej właśnie kamienicy u zbiegu ulic Chopina i Grunwaldzkiej, z przepięknie rzeźbionymi, pochylonymi ze starości werandami. Uwieczniła ją na sześciu swoich pastelach, z których zachowała się tylko jedna. Dla Roberta smutnym widokiem jest brak budynku dawnego hotelu i restauracji Dworcowa. Mimo iż oboje należą do poszukujących nowych trendów w sztuce, mają ogromny szacunek dla piękna z przeszłości i nie mogą się pogodzić z jego utratą. Twierdzą zgodnie, że polityka niszczenia starych zabytków upodobi Sopot do jednego z wielu niemieckich miasteczek, od których będzie go różnić tylko poziom czystości ulic i chodników...

Ala i Robert kojarzeni są najczęściej z klubem Sfinks w Parku Północnym. Jest to miejsce, gdzie oboje twórczo pracują, miejsce spotkań ciekawych ludzi. Właściwie klub ten, wraz z pomysłem na aranżację wnętrza, jest dziełem Roberta. Historia powstania Sfinksa sięga 1991 roku, kiedy to w sierpniu, jeszcze w trakcie remontu, odbył się „Bal na gruzach”. Natomiast stała działalność Sopockiego Forum Integracji Nauki, Kultury i Sztuki, bo właśnie ta nazwa kryje się pod skrótem Sfinks, trwa nieprzerwanie od ponad roku. Robert Florczak nazywa go przestrzenią

klubową, w której spotykają się artyści, intelektualiści, politycy i biznesmeni ze starszego i młodszego pokolenia. – Klubowicze odnajdując tu wspólne, łączące ich wartości, spędzają czas w aurze sztuki, marząc o przyszłych osiągnięciach, każdy w swojej dziedzinie.

– Kto tu nie był. Wspominając polityków, wymieniają Donalda Tuska, Jana Krzysztofa Bieleckiego, Jacka Merkła, ale także obecnego marszałka Macieja Płażyńskiego czy Aleksandra Halla, który lubi wpadać tu na pierogi. Większość z nich przychodziła głównie na bale, albo duże imprezy artystyczno-muzyczne.

Ala i Robert, zapytani o wyraźny program działalności klubu, nie chcą jednoznacznie go zdefiniować, bo, jak mówią, są otwarci na każdą ciekawą propozycję. Stawiają właśnie na różnorodność. Tu równym zainteresowaniem bywalców cieszą się pomysły Wojciecha Misiuro, jak i malarstwo Umiaśtowskiego czy muzyka techno albo wieczór jazzowy. Każdy znajdzie tu coś dla siebie. O Sfinksie mogliby godzinami opowiadać. Choćby o historii samego budynku. Zbudowano go w 1911 roku jako miejsce wystawiennicze – Kunst Halle, po wojnie mieściły się tu pracownie rzeźbiarzy Stanisława Horno-Popławskiego i Adama Smolany. W latach pięćdziesiątych pomieszczenia okresowo zajmowała Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych...

Życia bez Sfinksa sobie nie wyobrażają.



Ala Gruca, z cyklu „Sopockie podwórka”, pastel

Miejsce...

Krzysztof Kuczkowski – ur. w Gnieźnie, od 1981 r. w Sopocie. Poeta. Redaktor prasy literackiej i muzycznej. W 1993 r. założył dwumiesięcznik literacki „Topos”, którym kieruje do dzisiaj

Dopiero pod koniec lat 70. nazwa Sopot zaczęła oznaczać dla mnie, urodzonego gnieźnianina, coś konkretnego. Wcześniej kojarzyła mi się wyłącznie z festiwalem piosenki i plażą pokazywaną latem w Dzienniku TV. Zdarzało się, że w mieszkaniach szkolnych kolegów, tych, których rodzice byli dobrze sytuowani, stały na telewizorach budzące zazdrość trofea: ozdoby z muszelek i bursztynu. Czasami był to okręcik, innym razem rodzina prawdziwków (!) albo palma (!). Te pamiątki z wakacji, to też był Sopot. Kiedy podczas studiów na uniwersytecie poznańskim poznałem sopociankę Ewę, która zafascynowała mnie swoją oryginalnością, niezależnością i naturalnym pięknem, cechy te z miejsca przenieśliśmy na Sopot. I nie pomyliłem się. To jest rzeczywiście oryginalne, przyjazne miejsce. Wprawdzie początki lat 80. – kiedy już razem zamieszkaliśmy w Sopocie – były siermężne: woda w morzu zatruta, złoty piasek plaży szary jak święta ziemia, nawierzchnia Monciała przypominająca tor przeszkód, w witrynach sklepowych pustka, kamieniczki zdewastowane, ale tak przecież wyglądał cały kraj.

Od tego czasu minęło 20 lat. Miasto, które okazało się organizmem dynamicznym, systematycznie dźwiga się z wieloletnich zaniedbań. Jest coraz piękniejsze. To prawda obiektywna. A jaki jest mój Sopot? Przestrzeń mojego wewnętrznego dojrzewania? Moje miejsce?

Najpierw jest to miejsce mojej miłości.

Miejsce nawracania się do Boga.

Miejsce, w którym nie brakuje ludzi godnych szacunku.

Miejsce, które budzi zaufanie, co szczególnie mocno widać w czasie wyborów.



Ala Gruca, z cyklu „Sopotkie podwórka”, pastel

Miejsce, w którym dobrze się myśli i dobrze się pisze. Tutaj powstała większość moich wierszy.

Miejsce, w którym realizuje się marzenia. Moim było pismo literackie. I jest „Topos”.

Miejsce, w którym są najpiękniejsze srebrne buki.

Miejsce, gdzie łabędzie pływające po ciemnym morzu przypominają krzaki jaśminu.

Miejsce, do którego szybko chce się wracać.

Miejsce, nie będące wprawdzie rajem, ale tak wiele osób marzy, żeby było.

I jeszcze jedno...

Kiedy w czasie pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski, 3 czerwca 1979 roku staliśmy z Ewą w tłumie

wiernych pod murami gnieźnieńskiej katedry, przy słowach papieża: „Witam ze czią samo gnieźno piastowskie, początek dziejów ojczyzny, a jednocześnie kolebkę Kościoła”, czułem się jakoś osobiście wyróżniony – przez sam fakt, że byłem stąd, z Gniezna, i że mój ojciec był z Gniezna, miasta o z górą 1000-letniej historii. Oczekiwany przez nas wszystkich czerwcowy przyjazd Jana Pawła II do Sopotu, miasta o 100-letnich dziejach, zamknął jakiś cykl w moim życiu. Dwie dekady czasu oczekiwania, od czerwca 1979 do czerwca 1999 roku. Będzie to najprawdopodobniej ostatnia w tym stuleciu wizyta Ojca Świętego w kraju. I – wyobraźcie sobie – zastanie mnie sopocianinem. Widzę w tym niezasłużoną łaskę i mądrość Bożej Opatrzności.



Jedna z urokliwych altanek



Grzybek przed Zakładem Balneologicznym

Mieszkamy w górnym Sopocie

Krystyna Łubieńska – aktorka, członkini ZASP, Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Sopotu, Rodziny Katyńskiej, Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego i Klubu Zonta International

Józef Kuszewski – historyk, dyrektor sopockiego Biura Wystaw Artystycznych w latach 1983-1985

Dom Krystyny Łubieńskiej i Józefa Kuszewskiego stoi pomiędzy innymi starymi willami przy ulicy Żeromskiego. Spokój, zieleń i śpiew ptaków natychmiast wypierają z pamięci słyszany jeszcze przed chwilą hałas uliczny z alei Niepodległości. Na wystrzyżonym trawniku wygrzewa się bura kot z białym pyszczkiem, nieopodal, na ogrodowej ławce, „dyskutują” zawzięcie szpaki. Wysokie drzewa podpierają niemal ściany domu, z pąków rozwijają się wiosenne kwiaty... Tu każda pora roku ma prawdziwy zapach i kolor.

Kiedy Krystyna Łubieńska zamieniła wygodne mieszkanie w centrum Gdyni na tę połowę willi pod lasem, zdumienie niektórych jej znajomych nie miało granic. A ją po prostu Sopot zauroczył i już. Mówi, że urodziła się co prawda w Warszawie, ale tak naprawdę, po raz drugi, w Sopocie. Kiedy trzydzieści lat temu zjeżdżała zimą z Łysej Góry, ślady jej nart były jedynymi na śniegu. – Mogłam szusować – wspomina – aż pod sam przystanek kolejki SKM i nie rozjechałam mnie żaden samochód. Było tak pięknie i cicho, że w jednej chwili zakochałam się w tym miejscu. W górnym Sopocie mieszkam radośnie od dwudziestu trzech lat i nie zamieniłabym tego miejsca na żadne inne na świecie. Morenowe wzgórza porośnięte lasami są moim ukochanym miejscem na piesze i rowerowe wycieczki, a zimą szaleję tu na biegówkach.

I to wszystko tuż obok mojego domu – wzdycha z zachwytem. Choć, wydaje się jej, w uroku Sopotu tkwi wiele jeszcze nie wykorzystanych rezerw. Chce go widzieć jeszcze piękniejszym. Kiedy kandydowała w ostatnich wyborach do Rady Miasta, to jej program pod hasłem „Sopot miastem miodowego miesiąca” był jedną z ciekawszych propozycji przywrócenia Sopotowi dawnego blasku i prestiżu. Krystyna Łubieńska wierzy, że jak wcześniejsze jej hasło, sprzed paru lat, „SOS dla Sopotu – gorące źródła przywrócą mu młodość” otworzyło Źródło św. Wojciecha, tak i to ostatnie spowoduje, że zamiast aut pędzących ulicami dolnego miasta, poruszać się będą po nich melekсы, rik-sze i dorożki, a w nich zakochani nowożeńcy. – Jaka to byłaby atrakcja dla samych sopocian i przebywających tu gości, nie mówiąc już o korzyściach dla przyrody – marzy głośno. A marzenia warto mieć, bo, jak dotąd, jej się spełniają. Ot, choćby to ze świętem Krystyn w dniu ich imienin, które ostatnio zrealizowała, i to jak! Wiadomo powszechnie, że nie był to jedyny przejaw jej aktywności na rzecz ubarwienia życia artystyczno-towarzyskiego w Sopocie. W przekonaniu mieszkańców, miastu potrzeba więcej takich pomysłów ludzi jak Krystyna „Adrenalina” Łubieńska, jak mówi się o niej w środowisku.

Józef Kuszewski nazywa Sopot „zaczarowanym miastem”. Ma ono dla niego szczególny, niewyraźny klimat. Dosłownie i w przenośni. – Ten pierwszy jest oczywisty, a ten drugi – właśnie niewyraźny – mówi. – Tworzyli go przez lata artyści, którzy przybywali tu zaraz po wojnie z różnych stron kraju i świata, przywożąc ze sobą przeróżne tradycje, które, zasiane tu, przyjęły się, wymarły lub dały interesujące krzyżówki. Bo kogóż tu nie było – wspomina – Juliusz Studnicki, Jacek Żuławski, Artur Nacht-Samborski, Janusz Strzalecki, Krystyna Łada-Studnicka, Józefa Wnukowa, Hanna Żuławska, Władysław Lam, Marian Wnuk i tylu innych. Bardzo wiele nazwisk powtarzało się w najprzeróżniejszych kombinacjach, w komunikatach o ówczesnych najpoważniejszych nagrodach artystycznych i wystawach krajowych. Powstał termin „szkoła sopocka”, używany jako, dość nieokreślony, wyróżnik stylu sopockich plastyków. W



Fot. Władysław Żuchowski jr

Z dachów widać więcej



Fot. Władysław Żuchowski jr

Willa Hestia



Fot. Władysław Żuchowski jr

Grzybek przy ul. Parkowej

każdym razie – kontynuuje – szkoła sopocka była wówczas synonimem łagodnego socrealizmu, synonimem jakości, była pojęciem pozytywnym. Z tamtych lat ostało się do dziś kilka obrazów, pozostających w zgodzie z dobrym smakiem i przebrzmiały już estetyką – wspomina z nostalgią. – Natomiast mit, w który szkoła obrosła, skonsolidował na dłuższy czas samo środowisko i kształtował opinie o nim. Cement ten bodaj do dziś się nie wykruszył... Jeśli miałbym mówić o najciekawszym wydarzeniu artystycznym w tym krótkim okresie moich bliskich związków z Państwową Galerią Sztuki (dawne BWA) – zastanawia się – to z pewnością na takie zasługuje wystawa „Ekspresja lat 80” autorstwa Ryszarda Ziarkiewicza. Odbiła się ona szerokim echem w środowisku i pobudziła do działania niejeden potencjał twórczy... A klimat Sopotu, jaki jest? – zastanawia się. – Chyba taki sam jak i jego pejzaż, czyli nieco zamglony, deszczowy, szarawy, o zatartym horyzoncie i stonowanym kolorze, bez jaskrawości i wybuchów. I czyż za to tylko nie należy kochać Sopotu? – pyta retorycznie. – Tylko, czy wszystkim to wystarczy, tego nie jestem pewien. Mnie jednak wystarcza.

Nasz Sopot to... Brodwino

Teresa Ferenc – poetka

Zbigniew Jankowski – poeta, pisarz

Są małżeństwem od czterdziestu czterech lat. Długoletni staż małżeński i twórcza praca sugerować mogły, że wypowiedź na temat „Mój Sopot” zabrzmiałby zgodnym duetem. Przypuszczenia okazały się mylne, bo ukochane miejsce, w którym razem mieszkają i tworzą, odbierane jest przez nich bardzo indywidualnie. I co dziwne, zda-

nia o Sopocie wygłaszane na dwa głosy solo, brzmią jakoś antyfonalnie.

– My się spotykamy, nie będąc jednym – mówi Zbigniew Jankowski. – Ja mam swój „metasopot”, a Teresa widzi go bardziej zmysłowo, poprzez fizycznie dotykalne szczegóły...

– Ja sobie ten Sopot wymarzyłam wiele lat temu – wspomina Teresa Ferenc – Zachwyciłam się nim, a właściwie morzem, które zobaczyłam przez okno pociągu. Zachwycił mnie też las położony na wzgórzach... i wtedy, trzymając moją pięcioletnią córeczkę Anię za rękę, westchnęłam: Boże, żeby tak móc tu zamieszkać!

Przyjechali z Wrocławia, wieżowce na Brodwinie powoli wyrastały z ziemi. Stali i, ogarniając wzrokiem korony drzew, „widzieli” to swoje wymarzone gniazdo na dziesiątym piętrze. Widzieli wszyscy czworo: Teresa, Zbyszek, Ania i Milena.

Spełniło się więc. Zamieszkali. Właśnie tam, tak blisko słońca. Dla Teresy, którą przez okna zalewała leśna zieleń, był to zdumiewający powrót do najczulej zapamiętanych miejsc z dzieciństwa spędzonego w roztoczańskich lasach. Dla Zbyszka, morze podchodzące do okien, było przedłużeniem ich kołobrzeskiego epizodu, gdzie, jak mówi, urodził się jako pisarz. Wszystko to było i... jest, chociaż teraz, na skutek zamiany mieszkania, o parę pięter niżej. Z tych najwyższych mieszkalnych poziomów pozostały impresje:

Ta zieleń jest prawdziwa,
w nozdrza wchodzi,
jak zbyt gwałtownie chleptana woda.

Co rano przypadam do niej
wyłamując szybę w sobie, brocząc
głębokim listowiem.

To morze jest prawdziwe:
drzwi od balkonu
otwiera jak płetwy
i parapet faluje w zimnych błyskach.

Ten świat jest prawdziwy,
tylko zdrapać z niego
swoją martwą skórę.

„Drzewa w oknie” z tomu „Pełne morze”

Teresa Ferenc nie ma w Sopocie wyjątkowo ulubionych miejsc towarzyskiego czy artystycznego bywania. Woli miejsca ciszy, które budują ją od środka. Takimi miejscami są kościoły św. Jerzego i św. Andrzeja Boboli. Jednak nade wszystko urzeka ją natura, a naj-

bardziej las, gdzie codziennie spaceruje z Sanią – bokserką. Z rozbawieniem przypomina sobie „leśnych kolegów” Sani – rodzinę dzików. Przychodziły do nich pod balkon (ten z niższego poziomu). Początkowo pies reagował dość hałaśliwie na to nieproszone towarzystwo. Teresa „tłumaczyła” cierpliwie Sani, że to są takie same zwierzęta, jak ona, Sania, i pies... uwierzył. Bo następnego dnia, kiedy locha leżała z małymi w tym samym miejscu trawnika, a „ojciec” pilnował ich nieopodal, Sania, zbaczając ze stałej trasy spacerowej, podeszła jak do swoich znajomych i, najstarszym psim obyczajem, zaznaczyła teren tuż obok zdumionego dzika. Tak, żeby poczuł. No, to tyle o dzikach, dokarmianych przez niemal wszystkich brodwinian. Ale przygody z sową to nikt z sąsiadów nie miał, a do nich przyleciała w odwiedzinę, kiedy mieszkali jeszcze na dziesiątym piętrze. Nie wspomni już o sikorkach, gilach, szpakach i innej ptaszynie, koncertującej za oknem każdego ranka. Zdarzają się też bliskie kontakty z sarnami, jeżami i wiewiórkami... Co wcale nie znaczy, że las i tylko las jest miejscem spacerowym, bo plaża też. Teresa lubi czasem iść sobie sama. – Bo my ze Zbyszkim mamy zupełnie inny rytm chodzenia i odbierania wrażeń – tłumaczy. – Lubi przejść się od góry ulicy Monte Cassino aż do morza, gdzie zatrzymuje się przy ciekawych kamykach i ptasich piórach, patrzy na morze... Tam zdarzają się jej „zachwycenia”, które koniecznie trzeba zapisać. Choćby to:

Wystarczy dobrze się przyjrzeć
Przecierając oczy garścią trawy
Wystarczy oblec mokre ciało
cienką warstwą piachu
postawić stopę w miejscu rozpromienionym
przez fale
posmakować lżę
wiecznie mokrym językiem
Wystarczy
upaść w ramiona wody
w ramiona ziemi
nie z tej Ziemi

„W ramionach wody i ziemi”,
z tomu „Boże Pole”

A Zbigniew Jankowski? Zapytany o jego Sopot, przestrzega przed patosem, jednak trudno mu się przed nim ustrzec, kiedy ma mówić o tym, co jest „jego wszystkim”. Czyli przedłużeniem miejsca swoich artystycznych narodzin i miejscem twórczego istnienia. Wpływa na to morska przestrzeń z szerokim

oddechem i ta metaatmosfera miasta. Chyba nietaktem jest zadawać to pytanie, kiedy odpowiedź leży w zasięgu ręki – na półkach z książkami. Z każdego niemal tytułu „wylewa się” morze. Tu, w Sopocie, on sam, Zbigniew Janowski staje się morskim żywiołem słowa. I byłby uległ samozagładzie w tej swojej żywiołowości, gdyby nie ona, Teresa, naczynie ograniczające bezmiar i nadmiar jego żywiołu. Naczynie silne, trwałe i w ogniu cierpienia wypalone. Dla niego Sopot to wewnętrzny stan metamorza, on sam, Teresa i Brodwin.

Kocham moich sopockich przyjaciół

Ewa Moskalówna – krytyk sztuki, felietonistka, z zamiłowania fotografik i bibliofil

Ewy Moskalówny nie sposób pominąć wzrokiem. Jest jak różnobarwnie mieniący się motyl pośród dość jednolicie ubranych przechodniów. Jest bywalcem wszelkich ważnych wydarzeń artystycznych w Trójmieście, także wernisaży w Państwowej Galerii Sztuki, gdzie rozmawialiśmy o tytułowym Sopocie. Bez namysłu odpowiedziała, że Sopot – to są dla niej przyjaciele, których ma dość sporo.

A początki w tym mieście? – Przywieźli mnie tu w koszyku, czyli kiedy byłam jeszcze bardzo mała. – Pamiętam, mieszkaliśmy wtedy w pięknym domu przy ulicy Kazimierza Wielkiego. Jakiż tam był cudowny ogród, mam go jeszcze przed oczami... Już nie ma takich ogrodów ani wspaniałych rzeźb i posągów, już nie mieszkam w tamtym



Fot. Władysław Zuchowski Jr

Rybackie ostatki

domu... – mówi z żalem. – A z tego szczęśliwego dzieciństwa, obok zachwyty plażą i tą aurą sopockiej secesji, przypominają mi się piękne przedmioty, jakimi byłam niegdyś otoczona: meble, książki, serwis dla lalek. – Pamiętam, jak weszłam kiedyś w eleganckich pantofelkach i falbaniastej sukience do morza, żeby w czajniczek dla lalki nabrać szmaragdowo-błękitnej wody... Dbano o moje staranne wychowanie w duchu Boga, honoru i ojczyzny, w zamiłowaniu do literatury i pogardzie dla pieniędzy, co zresztą zostało mi do dziś. – Niedawno odnalazłam Sopot mojego dzieciństwa w pracach

jednego z przyjaciół, Pera Oscara Dahlberga. On patrzy na to miasto zadzierając głowę do góry i przenosi na papier całe tamto zapamiętane przez moją duszę, piękno... To niesamowite, ale prawdziwe – mówi z przekonaniem. – Kocham tego Szweda. Kocham, choć niektórym wydaje się to dziwne, Alę Grucę, Roberta Florczaka, ich rodziców i naturalnie odmienną rzeczywistość Sfinksa, gdzie wspaniale się czuję – wyznaje entuzjastycznie. – Pociąga mnie niemal w równym stopniu gęsta atmosfera i aranżacja Sfinksa, jak i wschodnia wytworność Łazienek Południowych, czyli Hotelu Chińskiego, któ-

rym zawiaduje Jerzy Bartkowski, też przyjaciel.

Denerwuje ją to, że Sopot pstrzy się jakimiś idiotycznymi reklamami, parasolami, napisami. – Są one jakby liszajami na jego pięknym obliczu – mówi z oburzeniem. – A, że budowane są nowe domy pomiędzy starymi, to dobrze. One mi się podobają w zderzeniu z tymi zaniedbanymi. Ja... w ogóle lubię zderzenia.

Głony, molo i... Opera Leśna

Marcin Pliński – specjalista od glonów morskich, pracownik naukowy Wydziału Biologii, Geografii i Oceanologii Uniwersytetu Gdańskiego i jego rektor

Wychował się na swarzewskim stoku, jak mówi o urwistym brzegu morza nad Zatoką Pucką. Tak więc wpatrywał się w to morze od dziecka. Chyba już wtedy starał się przeniknąć jego głębię i wydrzeć choćby cząstkę tajemnicy. Stąd pewnie to zainteresowanie glonami morskimi, o których napisał tomy rozpraw i publikacji naukowych.

Od 1970 roku, po studiach w Łodzi mieszkał w Gdyni, a trzynaste lat później przeniósł się do Sopotu. Powody ku temu były trzy: pragmatyczny, romantyczny i nieco snobistyczny. Pierwszy, chciał być bliżej uczelni, której budynki rozrzucone były po Sopocie, Oliwie i Gdyni. Poza tym, z ulicy Krasickiego blisko było do autobusu, SKM i do kościoła Gwiazda Morza. Atrakcyjne pod tym względem okazały się także trasy spacerowe – w górę do lasu, a w dół do plaży, tak samo odległe od domu. Drugi powód – „tu tak uroczko, jak nigdzie”. Wreszcie trzeci, snobistyczny, przypomina mu studenckie czasy i późniejsze spotkania z kolegami z innych uczelni, podczas których wzdychało się: ech, żeby tak zamieszkać w Warszawie albo w Sopocie. Wiadomo było, że przy jego zainteresowaniach florą bałtycką, Warszawa

nie byłaby odpowiednim miejscem. Jest więc Sopot i... żadne inne miejsce na świecie.

Kamienica, w której mieszka, pamięta początek wieku, dokładnie rok 1911. Parter zajmowała wówczas okresowo rodzina berlińskich bankierów, pierwsze piętro niemieckie małżeństwo, a najwyższą kondygnację dwie samotne kobiety. Dowiedział się o tym przez przypadek, od turystki niemieckiej będącej w Sopocie przejazdem. Nie mogąc porozumieć się z sąsiadami z dołu, zapukała do nich, żeby powspominać lata dzieciństwa spędzone tu, w tym domu. Po tym spotkaniu nawiązała się korespondencja między mamą Marcina Plińskiego a ową Frau Gundulą (nazwiska nie zapamiętał), a nawet przyjechała ponownie.

Sopot, to dla niego urok plaży – najbardziej lubi ten odcinek przy łodziach rybackich. To spacer po lesie i po parku wokół Urzędu Miejskiego, bez względu na porę roku. Nie ma ulubionych sopockich lokali, bo ich nie zna, no może... poza Strzechą na Monte Cassino, gdzie, jak pamięta, była kiedyś dobra, polska kuchnia. Przy rozlicznych obowiązkach zawodowych po prostu brakuje mu na to czasu. I pewnie miałby poważny problem, gdzie zaprosić na obiad kolegę choćby z zaprzyjaźnionego uniwersytetu w Szkocji. No, bo w Hestii ceny są nie na jego kieszeń, a Chińska, McDonald's czy John Bull Pub – wykluczone, z wiadomych powodów. Pozostałaby więc chyba ta Strzecha, albo obiad przygotowany przez żonę, bo innych miejsc z polską tradycją kulinarną tu nie zna. A co pokazałby koledze w Sopocie? – Na pewno molo, i „swoją” plażę, wystawę malarstwa polskiego w Państwowej Galerii Sztuki i Park Północny, ale omijając „ślimaka” i tamtejsze Łazienki, bo straszą. Zaprosiłby do Dworku Sierakowskich, a wieczorem na koncert do sali Polskiej Orkiestry Kameralnej w Operze Leśnej. Z tego byłby dumny, i te miejsca z pewnością zrobiłyby na obcokrajowcu duże wrażenie, bo na nim robią.

Co można byłoby ulepszyć w Sopocie? – Przywrócić warunki, które pozwoliłyby miastu cieszyć się dawnym statusem kurortu. Bo wygląda na to, że przy tym postępie motoryzacji, Sopot kojarzyć się będzie z trasą tranzytową, łączącą Gdańsk z Gdynią. Jedyne pod-

ziemny tunel pod al. Niepodległości, na odcinku od ul. 3 Maja do Malczewskiego, przywróciłby miastu jego dawny mikroklimat i tamtą atmosferę.

Sopot, to też jego mieszkańcy. Dla Marcina Plińskiego są to głównie znajomi z uniwersytetu i bardziej środowisko polityczne z kręgów AWS, niż artyści, jakby przystało na Sopot. Bo mieszka tu przecież Jerzy Grzywacz, Kazimierz Jeleński, Krzysztof Koszewski czy Czesław Druet. Choć z artystami też jest zaprzyjaźniony, i to z jakimi! – z Aliną Afanasjew. Przyjaźnił się z całą jej rodziną. Jerzego i Alinę poznał w dość nietypowych okolicznościach. Było to dawno, kiedy jeszcze mieszkał w Gdyni. Spotkali się w Komitecie Budowy Pomników Ofiar Grudnia. Jerzego już nie ma, a z Aliną przyjaźnią się do dziś. Poza tym Marcin Pliński z nieukrywaną dumą przyznaje się do czynnego uczestnictwa w życiu kulturalnym Sopotu, jako członek jury międzynarodowego pleneru filmowego i... to też jest jego Sopot.

Poznać, pokochać i... opisać

Marek Sperski – specjalista budownictwa wodnego i okrętowego, pracownik naukowy Politechniki Gdańskiej, wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Sopotu, autor licznych artykułów i rozpraw, nie tylko o Sopocie

Z Markiem Sperskim, wielkim znawcą Sopotu, jego miłośnikiem, rozmawiam w Dworku Sierakowskich. Patrząc w okno, wskazuje na balkon domu po przeciwnej stronie ulicy, z którego jako dziecko oglądał codziennie dworek. Dziś w dworku mieści się siedziba Towarzystwa Przyjaciół Sopotu, w którym Marek Sperski pełni funkcję wiceprezesa. Sopocianinem jest



Dworek Sierakowskich

od piątego roku życia, ale bliżej zainteresował się miastem dopiero, kiedy dobił do trzydziestki, i do tego dość okrężną drogą. Jako zapalony turysta, krajoznawca i obieżyświat przywoził w aparatach fotograficznych wspomnienia z wakacji. Nie przypuszczał, że zdjęcia zabytków i widoków Sopotu, z końcowych klatek filmu, którego nie chciał zmarnować, będą kiedyś ilustrować jego przewodnik po tym mieście. Prawdziwa pasja poznawcza zaczęła się w nim rozwijać, kiedy po raz pierwszy sięgnął po „Rocznik Sopocki”, redagowany przez Zygmunta Brockiego, z którym zaprzyjaźnił się w Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym. Zafascynowały go tam artykuły m.in. niezującego już prof. Jerzego Stankiewicza z Politechniki Gdańskiej i prof. Wiesława Andersa, obecnego dziekana Wydziału Architektury. Uświadomił sobie wówczas, że to miasto jest nie mniej fascynujące, niż te, które podziwiał podczas wakacyjnych wojaży. W końcu przedwojenna sława tego morskiego kurortu miała swoje podstawy nie tylko w klimacie. Zapisał się więc

do TPS, chcąc w ten sposób spłacić dług miastu, którego urok dostrzegł jakby trochę zbyt późno, a w końcu temu stowarzyszeniu zawdzięcza swoją pasję poznawczą. Miasto zaś coraz bardziej zniewalało go nie tylko historią i architekturą, ale także przyrodą. Fascynacjom swoim dawał wyraz publikując w miesięczniku turystyczno-krajoznawczym „Jantarowe Szlaki”, którego był i jest redaktorem, a później także w trzech sopockich tygodnikach, no i oczywiście we wznowionym w 1995 roku „Roczniku Sopockim”. Każdy spacer po Sopocie kończył się szperaniem w archiwach, przeglądaniem starych map, czytaniem życiorysów, kronik i książek...

W kręgu jego zainteresowań była i jest ochrona zabytków dziedzictwa kulturowego i zabytków przyrody – unikatowych drzew i krzewów. Jego przygoda z dendrologią zaczęła się – jakże by inaczej – od spacerów po i wokół Sopotu. Towarzyszył w nich swojej córce, która, studiując dendrologię w Akademii Rolniczej, zatrzymywała się przy każdym niemal drzewie, określa-

jąc jego gatunek, wiek i pochodzenie. Marek Sperski tak zainteresował się historią sopockich parków, starych ogrodów przydomowych i ich oryginalnym zadrzewieniem, że w niektórych tematach mógł konkurować z córką, choć trudno doszukać się korelacji między nauką o drzewach a budownictwem okrętowym.

Ostatnio uwagę jego przykuł kamień zwany przez leśników diabelskim, leżący na końcu ulicy Żeromskiego, tuż pod lasem. Okazało się, że ten głaz narzutowy ma całkiem interesującą historię. Zaraz po wojnie skuty został z niego napis w języku niemieckim. Marek Sperski, ciekaw, jaka była jego treść, zaczął poszukiwania. Przewertował różne stare dokumenty i plany miasta, i znalazł. Okazało się, że postawiono go dla uczczenia pamięci zasłużonego mieszkańca Sopotu – Niemca, – Otto Gerickego. W latach 1924-1931 pełnił on m.in. funkcję prezesa Towarzystwa Upiększania Sopotu, był także członkiem zarządu miasta i radnym, a przede wszystkim osobą, która wielce zasłużyła się dla tzw. wizerunku

miasta. Marek Sperski, wskazując na biurko, gdzie leży właśnie sprawozdanie z działalności stowarzyszenia za okres pierwszych pięćdziesięciu lat, tj. od roku 1881 do 1931, napisane przez Otto Gerickego, stwierdził, że i wtedy nie brakowało w Sopocie pasjonatów, których upamiętniano takimi pomnikami przyrody, jak ów Otto Gericke Stein... Zapytany, jak zapatruje się na „swoją” ewentualny kamień, odpowiedział rozbawiony, że bynajmniej się tego nie spodziewa, a na „diabelskim” kamieniu... to mu nie zależy. Około kamienne zainteresowania mają już swoje dalsze reperkusje. Marek Sperski „przyjrzał” się prezesom towarzystwa. Dotarł do dokumentów o pierwszym prezesie towarzystwa – Otto Netzlu, autorze najstarszych map Sopotu i przewodnika turystycznego po sopockich lasach – które wydano w 1878 roku. Zaś kolejny prezes Karl Mentzel (zmarły w 1901 roku) przyczynił się do zbudowania ścieżki turystycznej z ławeczkami i altankami oraz uporządkowania pięknego, leśnego wąwozu w północnej części dzisiejszego Parku Północnego. Jego imieniem nazwano rzeczkę Sweelinę, oddzielającą Sopot od Gdyni. Do końca II wojny światowej nazywano ją Mentzel Bach...

I tak nie ma końca tym historycznym poszukiwaniom, które od kamienia prowadzą do potoku, a stamtąd znów do... Dworku Sierakowskich, o którym można bardzo długo mówić. Nie tylko jako o magicznym miejscu, ale także siedzibie wyjątkowo prężnie działającego stowarzyszenia. Sama już nie wiem, czy Przyjaciół Sopotu czy Upiększania Miasta, ale... nie ma tu chyba większej różnicy. Ważne, żeby nie brakło mu tak oddanych ludzi jak obecny wiceprezes.

Tylko Sopot

Lech Kaczyński – pracownik naukowy Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie

Maryla Kaczyńska – ekonomistka

Lech Kaczyński jest z urodzenia warszawiakiem. Do Sopotu przyjechał dwa tygodnie po ukończeniu studiów, za namową swojego szefa, i od razu rozpoczął pracę w Uniwersytecie Gdańskim. A że Wydział Prawa znajdował się właśnie w Sopocie, więc tu pozostał. Wynajął pokój, i początkowo czuł się jak w getcie, bo znał tylko ludzi ze swojego wydziału. Z czasem jednak świat zaczął być coraz piękniejszy, tym bardziej że właśnie poznał przyszłą żonę Marylę. Pamięta te wspólne spacerunki po górnym Sopocie, te marzenia...

Z ogromnym sentymentem wspomina też swoją atmosferę, jaka panowała na Wydziale Prawa, mieszczącym się w budynku przy ulicy Świerczewskiego (obecnie Andersa). To było pięć lat pracy w wyjątkowo harmonijnych układach zawodowych i towarzyskich. Z tamtym okresem kojarzy mu też się restauracja w hotelu Irena. Były tam smaczne i niedrogie obiady. Wystrój lokalu był co prawda typowy dla tamtych, siermiężnych czasów, ale to nie miało żadnego znaczenia. Bo Irena była miejscem spotkań, gdzie wpadało się po prostu pogadać. Zawsze można było spotkać masę znajomych. Od tamtych czasów wiele się zmieniło, jest elegancko. A jednak czegoś brak – tamtej atmosfery spotkań. Sopot, obok pierwszej pracy, pierwszej miłości i narodzin córki, będzie mu się zawsze kojarzyć z pierwszym i ważnym etapem jego aktywności politycznej. Właśnie tu zaczęła się jego działalność opozycyjna. Tu przeżywał narodziny „Solidarności”, jej triumfy i ciężkie czasy konspiracji. Potem, kiedy na trzy lata opuścił Sopot i mieszkał w Warszawie, tęsknił za tymi miejscami, w których mieszkali i za sąsiadami, do których mieli wyjątkowe szczęście. Właściwie ze wszystkimi utrzymują do dziś przyjacielskie stosunki.

Maryla Kaczyńska przyjechała do Sopotu z Rabki. Wszystko zaczęło się od wakacji nad morzem, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Sopot tak jej się spodobał, że postanowiła tu przyjechać na stałe. No i spełniło się. Przyjechała tu studiować, i zamieszkała w akademiku przy ul. Armii Czerwonej (dziś Armii Krajowej). Poznanie Lecha zakończyło etap „jej” Sopotu, bo od tego momentu stał się on „ich”. To było piękne, ale od początku nie

mieli swojego mieszkania. Wędrowali więc po wynajętych pokojach i mieszkaniach od górnego po dolny Sopot, aż wreszcie wrócili „do korzeni” na ulicę Armii Krajowej, przy której był akademik i ich pierwsze mieszkanie. Zgodnie twierdzą, że więcej przeprowadzek nie będzie. Lubią spacerować po tej „swojej” ulicy. Znają ją dobrze. Nieopodal domu, gdzie teraz mieszka, w willi pod numerem 73, wynajmowali te swoje pierwsze dwa pokoje na piętrze. Mieszkali tam w latach siedemdziesiątych, do roku osiemdziesiątego pierwszego. Pamiętają uroczę właścicielki, dwie starsze panie, które „nie widziały i nie słyszały” tych ich konspiracyjnych spotkań na górze... A bywali przecież u nich m.in. Anna Walentynowicz, Alina Pieńkowska, Jacek Kuroń, Antoni Maciarić, czy nieznany jeszcze wtedy Lech Wałęsa... Z sentymentem wspominają też kochanego pana Bociana, który ratował ich w papierosowej potrzebie. Dziś w tej willi mieści się redakcja dwutygodnika „Gwiazda Morza”, z którą są także za przyjaźnieni.

Natomiast ulubionym terenem wypadowym jest w dalszym ciągu górny i dolny Sopot, ale także „centrum artystyczne” w okolicach Westerplatte i Dworku Sierakowskich. Te miejsca, gdzie lubią być u znajomych, określają pieszczotliwie nazwą „kominy”. Na spacerunki wybierają się najchętniej do lasu. Podjeżdżają samochodem do końca ulicy Reja i stamtąd idą pieszo w górę. Przed rokiem przydarzyła się im zabawna historia, bo tak się „zaspacerowali”, że nie wiadomo jak... znaleźli się na drugim końcu Sopotu. A najlepsze było to, że musieli nieść na zmianę nie mniej zmęczonego od nich pieska Tytusa.

Tak w ogóle, to zwierzęta w domu Lecha i Maryli Kaczyńskich mają, obok babci i córki Marty, pełnoprawny status członków rodziny. Wydaje się nawet, że przejmują od swoich opiekunów sposób zachowania w stosunku do osób odwiedzających. Są niezwykle przyjaźnie nastawione do ludzi, przymilnie sadowią się na kolanach, „roz-mawiają” po swojemu, kulturalnie zwracając na siebie uwagę, no i są bardzo gościnne. O kotce Molly i jej poprzedniczkę Klarze oraz obecnym piesku Tytusku można by bardzo długo, no bo... to też jest Sopot Kaczyńskich.



Park Południowy

To także „mój” Sopot?

Myślę, że mogę tak o nim mówić, choć z urodzenia i zamieszkania jestem gdynianką. Uczestniczę przecież w życiu kulturalnym tego miasta, że wymienię choćby wernisaże w Państwowej Galerii Sztuki, premiery teatralne w Atelier i Kameralnym czy koncerty w salach Urzędu Miejskiego i Kameralnej Orkiestry Rajskiego...

Jest on też „moim” przez powiązania rodzinne i te... bardzo osobiste. Tata, Lucjan, w Sopocie ukończył Wyższą Szkołę Ekonomiczną, a teraz od ponad pięciu lat spoczywa na sopockim cmentarzu. Mama, Felicja, pracuje w Insty-

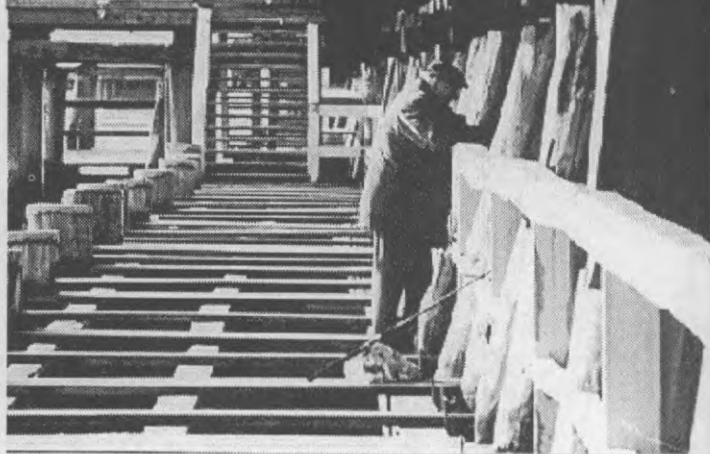
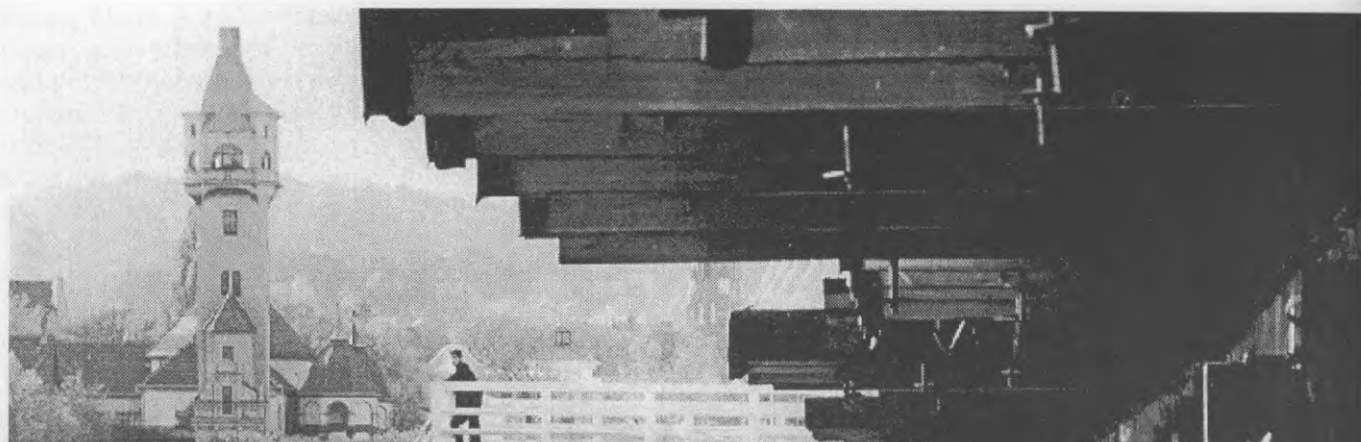
tucie Oceanologii Polskiej Akademii Nauk. Brat Michał był przez dwa lata wikarym w kościele św. Michała, brata Jasia odprowadzałam, dźwigając jego wiołonczelę do Szkoły Muzycznej przy ulicy Westerplatte. Także tu ukończył I Liceum Ogólnokształcące.

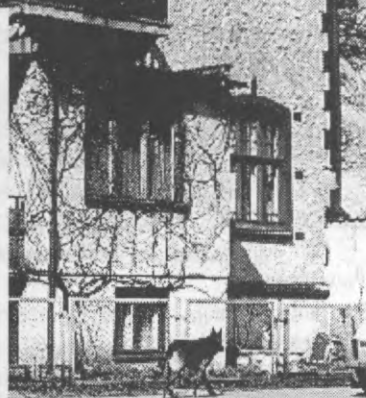
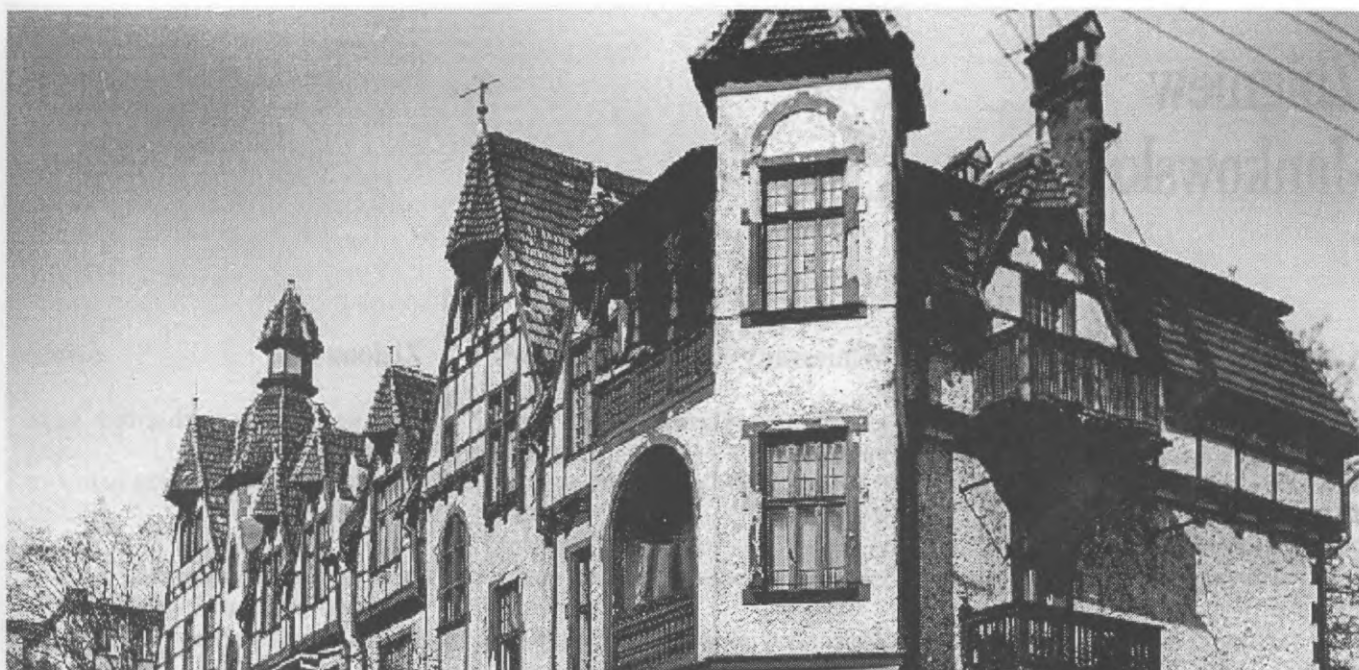
W „moim” Sopocie zdarzyło się wszystko, co w życiu jest najważniejsze. Od dziewięcącego zauroczenia, spacerów zakochanych, przez pierwsze trzy lata małżeństwa w samodzielnym

mieszkanu z widokiem na morze. Tu przyszedł na świat syn Maciej, a młodszy, Tomasz, studiuje ekonomię w tym samym miejscu co niegdyś dziadek Lucjan. Także w Sopocie rozpoczęłam współpracę z moją pierwszą redakcją, „Gwiazdą Morza”. Tu nadal przyjeżdżam z mężem na spacer. A teraz, rozmawiając z mieszkańcami Sopotu poznałam bliżej to „ich” i chyba „moje” miasto.

Aleksandra Oksiuta-Borowska

***Władysław Żuchowski jr /VLADEK**, urodził się w 1973 r. w Gdańsku, mieszka w Sopocie. Studiował prawo na UMK w Toruniu, w latach 1996-1998 słuchacz Studium Fotografii Artystycznej przy ZPAF i Muzeum Narodowym w Gdańsku. Od 1997 r. pracownik Działu Fotografii Muzeum Narodowego w Gdańsku, prowadzi własną firmę fotograficzno-reklamową. W dorobku artystycznym ma kilkanaście wystaw indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą.*





Fotografie: Władysław Zuchowski jr; w górnym prawym rogu fot. Marka Sperskiego

Zbigniew Jankowski

Chwila z Tobą

Dzisiaj mi jesteś,
jakbym wygrał
wielki los,
tak wspaniale pusty,
że ogarnia cały świat,
w którym nareszcie nie ma
mojego ja
i nawet nie ma
nie ma,
jakby oniemiało
z mojego szczęścia...

Sobie wciąż

Powtarzaj:
Pan mój i Bóg mój,
gdy niebo jak błada rana
zamyka się przed twoją łapczywością.

Położ się u stóp nieba
jak mroczne morze,
uwierz, jak ono wierzy
w jutrzejszy ranek.

Inne zanurzenie

To jest gałązka buku, dotknij,
ale nie myśl o sobie,
tylko o niej.

Czujesz? Szumi
jak ptasie skrzydło,
cała w serdecznych przestrzeniach
spotkania z tobą
czy z Nim?

Wmieszany

Jestem wmieszany w to wszystko,
wmieszany
w gwiazdy, planety, w cały ten
kosmiczny pył,
a nie wiem,
kto miesza.

Wmieszany w morza i piachy,
w chmury, sztormy, posuchy,
w zwierzęta, rośliny, ich rozkwit i przemiał,
a nie wiem,
kim jest.

Wplątany jestem
w te głody, uboje, przekleństwa,
w sieci, z których jak ciernie
wystają rozedrgane śledzie,
w ten dramat z dorszem, co jeszcze się dławi
własnym pęcherzem pławnym,
jakby przygryzał tenisową piłkę.

Jestem wmieszany w te lasty
z przekrwioną rybią mazią,
co się wylewa na obie burty
najpiękniejszego ze światów.
(Jeszcze po nocach drą się mewy,
jakby kosmiczny wariat
rozrywał na sobie obłoki).

Wciągnięty jestem
w te ludzkie koleiny,
w kolebki, trumny, ekstazy,
w miłość, moralność, sumienie
i jeszcze
w odpowiedzialność za wszystko,
a nie wiem,
gdzie jest.

Moje trwogi, moje dobre intencje
szukają Go od dziecka, moje modlitwy
wołają po imieniu,
uczynki już prawie mają Go w rękach,
ale ucieka przez palce, skórę, zmarszczki czasu,
przez byle przypadek
na równej drodze.

Boże mój, Boże, cóżem Ci uczynił,
że nawet pytania
pomieszałeś mi w ustach.

Zielona fala

Ściele się wierzba po moich szybach.
Zarasta mi okna i oczy.
Zarasta wszystko,
co nie jest nią.

Pełno jej w lustrach, szklankach,
w zielonych pobłyskach,
które są jak ruchome liście.

Nawet w przypadkowych myślach,
w bezmyślności jak stojąca woda
coraz więcej wierzby.

Zabiera, zatapia,
już prawie jedyna.

Coraz częściej
patrzę spośród wierzby,
wiążę świszczącym oddechem
chmury i spłoszone ptaki.

A potem
osuwam się w głęboki pień
nieobecności.

Bez brzegu

Aż wreszcie
przestałem Go szukać.
Otwarty na wszystkie strony
próbuję w Nim żyć.
Nie mówię już Panie.
Mówię Wszystko i Nic.
Czy to nie boskie,
że właśnie to Nic
zaczyna wydawać owoce
cichego szczęścia?

Teresa Ferenc

Słowo

Stoisz
Stoję
we własnej zatwardziałej formie
Czekasz
Czekam
aż czas wypłucze skamieliny
wypoleruje włosy do siwizny
puszczą zasuwy w drzwiach

Aż Słowo zacznie latać po pokojach
skrzydlate
wciąż młode

a mądrzejsze od nas

W drodze do Kany

Droga coraz gęstsza
coraz zawrotniejsza
Rudzieję
z roku na rok
Obok drzewa płonące ptaki
rzucają upalny cień
Zlatujemy się ku Twojej studni
Ostudzasz za gorący nasz dzień
obmywasz słowa z ognia
uchylasz rąbka cudu
Już blisko stąd
do Kany Galilejskiej

Podróż przez sen

Spieszę się biegnąc przez pola
Piach rośnie mi
do kostek do kolan
Niosę grudy gorąca
Armia ognistych zwierząt
cwałuje przekraczając wszelkie granice
ludzkie domy bożnice
Tylko zwierzyniecki kościół
w kępie wody stoi
jak w bożej dłoni
Pytam:
– Żyjesz?
– Żyję – powiada –
tylko woda
już nie ta woda
tylko niebo
już nie to niebo
drzewa już nie te ptaki
drogi już nie w tę stronę

Wojny

Maj
tak
to był pierwszy czerwca
Kwitły drzewa 1943 roku
Z pąków rozwijały się
ptaki w pochodnie

Sierpień
tak
to był listopad
Czarne liście osiki
drżały
płacz w oczodołach
Na omszałych kamieniach
mokry wiatr

Wrzesień tak to był
grudzień
W białych ciemnościach
wszystkie nasze codzienne sprawy
W drzwiach gotował się śnieg
Nagle próg podniósł się
Na nim z gipsem w powiekach
już nie mogę zamknąć oczu

Wspólne zdjęcie

Wasze fotografie
wrosnięte jak sęki w ścianę
w strop

Sukienka Julki
spod powiek napływa

Szał matki
z liściastej kipieli
z ognistej łąki

Pada i moje drzewo
kreśląc żarliwy łuk
Stoję w nim
z obrazem matki w głowie
z pulsem ojca w ręce
z wulkanem niemych słów

Na rudym skrzydle
wysokiego nieba
wzbija się sójka
zaciąga zasłonę nocy
na moje rozstrzelane lata
na wasze zwęglone losy

Wiersz ze snu

Tej nocy
droga jak błyskawica
pomiędzy pnie wpadła
Piszczcze snu triumfowały
Oglądałam Cię
w przekopie czasu
skąd wywożono
mój strach
dziki jak wiatr

Program wizyty Jana Pawła II na Pomorzu Nadwiślańskim

Gdańsk-Sopot

Sobota, 5 czerwca

11.30: przylot Ojca Świętego do Gdańska (lotnisko Rębiechowo)

powitanie przez władze kościelne i państwowe

przemówienie Ojca Świętego

12.30: przejazd do rezydencji metropolity gdańskiego w Oliwie

17.15: msza św. jubileuszowa z homilią na hipodromie w Sopocie

19.45: powrót do rezydencji metropolity gdańskiego

Niedziela, 6 czerwca

8.35: odlot do Pelplina

Pelplin

Niedziela, 6 czerwca

9.05: przylot

9.45: msza św. z homilią na Biskupiej Górze

12.00: modlitwa Anioł Pański i przemówienie Ojca Świętego

16.40: odlot do Elbląga

Elbląg

Niedziela, 6 czerwca

17.10: przylot

17.30: nabożeństwo czerwcowe i przemówienie Ojca Świętego na elbląskim lotnisku wojskowym

19.00: odlot do Lichenia

Bydgoszcz

Poniedziałek, 7 czerwca

9.45: przylot

10.00: msza św. z homilią na bydgoskim lotnisku wojskowym

13.15: odlot do Torunia

Toruń

Poniedziałek, 7 czerwca

13.35: przylot i przejazd do rezydencji biskupa toruńskiego przy ul. Łaziennej

17.15: spotkanie z rektorami szkół wyższych z okazji rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika i przemówienie Ojca Świętego (Aula Wielka Uniwersytetu Mikołaja Kopernika)

18.30: nabożeństwo czerwcowe i przemówienie Ojca Świętego na lotnisku Aeroklubu

20.00: odlot do Lichenia

Już przed wizytą papieża w Polsce w czerwcu 1997 roku mówiono, że 1000-letni gród jest wśród kandydatów, które odwiedzi Jan Paweł II. Zabiegali o to metropolita gdański arcybiskup Tadeusz Gocłowski wraz z władzami miasta. Wówczas nie udało się. Jednak nie tracono nadziei, która teraz zostaje spełniona. 5 czerwca na lotnisku w Rębiechowie wylądował samolot linii włoskich z Janem Pawłem II na pokładzie. Właśnie tutaj, w Gdańsku, Sopotcie, papież rozpocznie swoją najdłuższą, bo jedenastodniową wizytę duszpasterską.

Podobnie jak w 1987 roku, tak i teraz metropolita gdański arcybiskup Tadeusz Gocłowski honory zaprojektowania ołtarza powierzył profesorowi Marianowi Kołodziejowi, Honorowemu Obywatelowi Gdańska.

Pisząc o nowym przedsięwzięciu profesora, trzeba chociaż w kilku zdaniach przypomnieć to sprzed 12 lat. Wspaniały ołtarz na Zaspie – płynący na falach łódź Piotrową. Po galeonie, który utrwalił się w pamięci gdańszczan, prócz wspomnień i fotografii pozostało niewiele. Zbudowany z nietrwałych materiałów, zaledwie fragmentami służy dziś ludziom w kościołach czy muzeum. Inne zamierzenie artysty – bramy powitalne w Gdańsku, a na trasie przejazdu przez Gdańsk na Zaspę, aż do ołtarza, łopoczące na wietrze białoczerwone i białe-żółte żagle – pozostało w formie projektu.

Pomysł bram wziął się z tradycji miasta. Bramy witały i żegnały przybyszów na obrzeżach miasta, ale również otwierają i zamykają Drogę Królewską. W Gdańsku miały stać cztery: Brama Rzemieślników, z godłami wszystkich gdańskich rzemiosł oraz ich świętymi patronami; Brama Kaszubska, z rzeźb lipowych, wykonanych przez wiejskich snycerzy z wizerunkiem Madonny i Chrystusa; Brama Mariacka przed bazyliką z aniołem z tryptyku Memlinga odważającym ludzkie uczynki i z Madonną; oraz Brama Stoczniovców, na drodze do pomnika Poległych Stoczniovców, w pobliżu kościoła Świętej Brygidy. Bramy pozostały na papierze, nie powiały na wietrze żagle.

Galeon wpisał się w serca milionów wiernych. Już po wizycie Jana Pawła II w jego obronie przed rozebraniem, stanąć chcieli robotnicy i mieszkańcy Gdańska.

– Dzwonili do mnie i pytali, czy mają manifestować, strajkować w obronie ołtarza. Byli gotowi nie pozwolić rozebrać go – mówi Marian Kołodziej.

Do chwili rozebrania ołtarza, przez kilka dni, drogę, którą szedł papież po schodach, przemierzały kobiety, na kolanach, schodek po schodku. Nieraz w bólu i cierpieniu, ale zawsze z modlitwą na ustach.

Same schody jeszcze przed pielgrzymką wzbudzały emocje. Ludzie, którzy oglądali budowę ołtarza, dziwili się, czasami nawet oburzali, że po tak wysokich schodach ma wchodzić Piotr naszych czasów. Nie sprawia one problemu Ojcu Świętemu, gdyż on jest góralem – tłumaczono.

– Chcieliśmy, aby Ojciec Święty miał u nas, tu nad morzem, wspomnienie ukochanych przez siebie gór – wraca do tamtego, niepozornego wydarzenia Alina Afanasjew, która twórczo wspomagała wówczas Mariana Kołodzieja.

Z wielkiego dzieła-łodzi niewiele zostało. Twórcy obecnego ołtarza pragnęli uniknąć takiej sytuacji. Projekt powstał z myślą, aby w przyszłości jego elementy można było wykorzystać w innych miejscach.

Marcin Dybuk

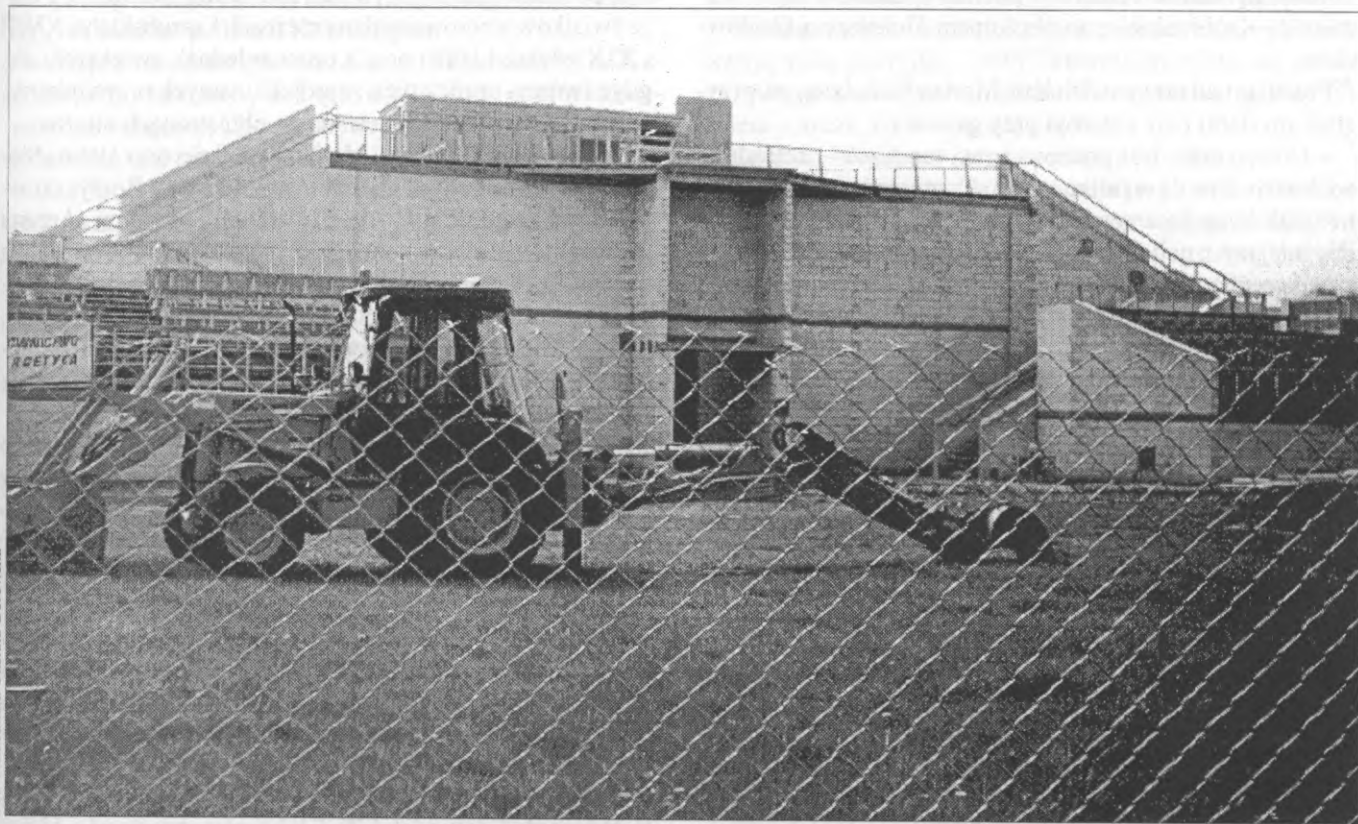
Ołtarz dla Jana Pawła II

Wizyta Jana Pawła II w ojczyźnie w 1987 roku dodała siły walczącej o wolność Polsce. Papież, duchowy przywódca, kolejny raz zjednoczył rodaków. Msze na gdańskiej Zaspie, w Gdyni, słowa papieża wlały w serca gdańszczan, gdynian, sopocian, Kaszubów, ludzi morza, stoczniowców, studentów otuchę i nadzieję. W czerwcu w Trójmieście ponownie będziemy gościć Ojca Świętego. Już kilka miesięcy przed pielgrzymką mieszkańcy Pomorza zjednoczyli się wokół realizacji dzieł, jakimi niewątpliwie są ołtarze: projektu profesora Mariana Kołodzieja, który stanie na sopockim hipodromie, oraz projektu Jarosława Wójcika z Sierakowic, który stanie w Pelplinie.

Prace nad koncepcją plastyczną i scenograficzną ołtarza Marian Kołodziej rozpoczął jesienią 1998 roku. Wówczas wraz z żoną Haliną Słojewską wyjechał na Gotlandię, gdzie w ciszy zrodził się pomysł ołtarza.

– Mieszkaliśmy w domu naszej przyjaciółki, pisarki Rity Tornborg – mówi Kołodziej. – Dom usytuowany jest w par-

ku, w najwęższym miejscu wyspy. Do morza jest 3,5 kilometra. Nie ma tam samochodu, telewizji i radia. Wszędzie panuje cisza. Tylko drzewa, kwiaty, przyroda, piękne pejzaże. Całkowite oderwanie od cywilizacji. Na wyspę można dostać się tylko jednym promem. Tam, blisko Boga, szukałem natchnienia. Po miesiącu wróciliśmy do Gdańska z



Fot. Aleksandra Oksiuła-Borowska

Ołtarz rośnie



Podczas pleneru. Halina Słojewska i Marian Kołodziej z uwagą przyglądają się rzeźbom

koncepcją ołtarza. Kilka dni później spotkałem się w Kamienicy Królewskiej z arcybiskupem Tadeuszem Gocłowskim.

Pracując nad nowym dziełem, Marian Kołodziej, jak przyznał, myślami cały czas był przy galeonie.

– Nowy ołtarz jest podaniem ręki tamtemu – uzasadnia. – Oba wpisane są w trójkąt – Oko Opatrzności. Jest to kompozycja ściągająca wzrok ku środkowi. Papież jest najwidoczniejszy i najjaśniejszy. Ponownie połączyłem malarstwo i rzeźbę. Wiele motywów zapożyczyłem z poprzedniego ołtarza, np. św. Piotra z łodzi, a Bóg Ojciec ma na głowie tiarę. Chciałem też, aby i ten ołtarz był dziełem mieszkańców Pomorza, a nie tylko Kołodzieja.

Artysta jako pierwsze do współpracy zaprosił dzieci.

– Wiem, że one mnie nie zawiodą – mówi. – Chcę, aby wykonały 30 tysięcy rysunków, które stworzą metafizyczną mozaikę na ołtarzu, a także przyozdobią drogę dojazdu Jana Pawła II na miejsce celebracji. Najładniejsze prace zostaną umieszczone tuż przy Ojcu Świętym, na wysokości 80 – 120 centymetrów, ale wszystkie będą wykorzystane.

Każdego tygodnia dzieci z województwa pomorskiego rysowały w szkołach prace, każdą na inny temat, ale związane z papieżem.

Marian Kołodziej zwrócił się również do twórców ludowych z Kaszub, Kociewia, Borów Tucholskich, Powiśla i Krajny. Powierzył im wykonanie blisko 60 rzeźb – krzyży, kapliczek, symbolizujących kaszubskie drogi, które przemie-

rzał podczas wędrówek po nadraduńskich okolicach, a także świątków wzorowanych na rzeźbach kaszubskich z XVIII i XIX wieku. Liczba prac z czasem jednak zwiększała się, gdyż twórcy, oprócz tych zaprojektowanych przez mistrza, tworzyli inne. Wszystkie staną po obu stronach ołtarza.

We wrześniu 1998 roku Marian Kołodziej oraz Halina Słojewska spotkali się w checzy Anny i Józefa Borzyszkowskich w Łączyńskiej Hucie z twórcami ludowymi. Artysta zaprezentował swoją koncepcję, która zyskała powszechną akceptację. Twórcy mieli wyrzeźbić: krzyże, postacie Jezusa Chrystusa i Matki Boskiej, modlące się kobiety i dzieci, Świętą Rodzinę, a także świętych: Piotra, Marcina, Nepomucena, Floriana, Wojciecha, Krzysztofa, Jerzego, Jana Chrzciciela, Sebastiana, Franciszka i Michała.

– Szczególnie zależy mi na ludowym charakterze rzeźb – mówi Marian Kołodziej. – Chciałbym, aby rzeźbiarze w pracach wyrazili siebie. Prosiłem ich również, aby z tyłu napisali jakiś wiersz, sentencję.

Kontynuacją spotkania w Łączyńskiej Hucie było seminarium twórców ludowych z profesorem Kołodziejem, które odbyło się na plebanii Bazyliki Mariackiej w Gdańsku w listopadzie 1998 roku. Uczestniczyli w nim również: arcybiskup Tadeusz Gocłowski, biskup Zygmunt Pawłowicz, a także prezydenci Gdańska i Sopotu: Paweł Adamowicz i Jacek Karnowski.

Na tym etapie prac trwały poszukiwania twórców. Ta rola przypadła Edmundowi Zielińskiemu, prezesowi oddzia-

łu gdańskiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych, oraz Józefowi Borzyszkowskiemu, prezesowi Instytutu Kaszubskiego. Co kilka dni Marian Kołodziej, wspierany już tradycyjnie przez żonę, spotykał się z twórcami, którzy przyjeżdżali z różnych zakątków Pomorza i Krajny. Oglądali projekty artysty, wysłuchiwali wskazówek, i wracali do pracy. Pod koniec maja do Sopotu zjadą twórcy, którzy wykańczać będą swoje prace już przy ołtarzu.

– Chciałbym, abyśmy w tym czasie stworzyli jedną wielką rodzinę – marzy Marian Kołodziej.

Istotnym założeniem realizacji projektu ołtarza jest powrót dzieł twórców w różne zakątki Kaszub i Pomorza. Po zakończonej wizycie, rzeźby znajdą swoje nowe, stałe miejsce. Już na początku realizacji zgłaszali się chętni. Prezydent Sopotu Jacek Karnowski, zamówił św. Piotra, który stanie przed Urzędem Miejskim, natomiast św. Rodzina stanie w specjalnie zbudowanej kapliczce przy przystani rybackiej w Sopocie. To do niej mają się modlić przed wypłynięciem w morze rybacy i dziękować za obfite połowy oraz szczęśliwy powrót. Również prezydent Gdańska Paweł Adamowicz ma chrapkę na dwie rzeźby. Najprawdopodobniej będą to św. Wojciech oraz św. Jan, który miałby stanąć w kościele pod tym samym wezwaniem. Zgłosił się również burmistrz Jastarni. Trzy krzyże znajdą się w Sopocie. Pierwszy z nich stanie przy kościele pod wezwaniem św. Jerzego, drugi na Brodwinie na rozstaju dróg, a trzeci, z figurą Chrystusa, w prezbiterium świątyni św. Michała. Znaczna część rzeźb ma stanąć na kaszubskich rozdrożach, polach, łąkach i drogach. Św. Krzysztof przenoszący dziecko na ramionach miałby stanąć w Jeziorze Raduńskim. Podobnie Jan Chrzciciel. Z kolei św. Franciszek z ptaszkami schroni się wśród drzew koło Wygody. Natomiast Frasobliwy Chrystus miałby spocząć w Łączyńskiej Hucie na „szczególnym” kamieniu, tak bliskim państwu Kołodziejom.

– To jest nasz kamień. – Jeżdżąc od kilkunastu lat na Kaszuby, które kochamy, do Łączyńskiej Huty, na tym kamieniu przesiadujemy. Chciałbym, aby tam właśnie znalazł swoje miejsce Chrystus Frasobliwy.

Po kilkudziesięciu dniach od przydzielenia prac artystom ludowym, mistrz Kołodziej wraz z żoną zaczęli przemierzać Kaszuby, Kociewie, Bory Tucholskie, Powiśle, Krajnę, Trójmiasto, aby zapoznać się z efektami pracy, podzielić się uwagami.

– Bywały dni, że wyjeżdżaliśmy wcześniej rano, a wracaliśmy późnym wieczorem. Czasami przejeżdżaliśmy po 550 kilometrów – komentuje Halina Słojewska.

W kwietniu państwo Kołodziejowie wraz z trójmiejskimi prezydentami oraz dziennikarzami mieli wziąć udział w audiencji u papieża. Zrezygnowali z wyjazdu, gdyż był to okres, kiedy właśnie codziennie wsiadali do auta i ruszali do twórców, którzy często mieszkają na obrzeżach wsi, gdzie droga tylko polna, a po zimie dodatkowo w kiepskim stanie.

Ruszyłem tropem państwa Kołodziejów. Wśród twórców było również trzech braci Zielińskich: Jerzy, Edmund i Rajmund, (piszę było, gdyż Jerzy, w trakcie realizacji projektu, zmarł). Edmund mieszka na Zaspie, natomiast Rajmund w Zblewie. Gdańszczanin rzeźbi od 39 lat. To właśnie on zaraził braci miłością do drewna i dłuta. Pan Edmund, dzie-

ki życzliwości księdza proboszcza kościoła pod wezwaniem Opatrzności Bożej na Zaspie, urządził sobie na zapleczu budującej się świątyni prowizoryczny warsztat. Kiedy pierwszy raz go odwiedziłem, spod jego dłuta wyszła pierwsza z pięciu rzeźb, a po śmierci brata sześciu, Chrystus, a pracował nad modlącym się dzieckiem.

– Dłubię w drewnie od prawie czterdziestu lat – mówił, ale te rzeźby są moimi dziełami życia. One zostaną, wrócą na rozdroża i przetrwają, przynajmniej jedno pokolenie.

Kiedy po kilku tygodniach odwiedziłem go drugi raz, wiedziałem już o śmierci Jerzego.

– Zmarł na raka – opowiadał wówczas pan Edmund. – Na dwie godziny przed śmiercią pytał mnie, co będzie z jego rzeźbami. Odpowiedziałem, że jak wyzdrowieje, to je wykona, a w razie czego, ja to zrobię. Jerzy umarł, a ja mam zamiar dotrzymać słowa. Część swoich prac już wykonałem. Z grupy trzyosobowej modlącej się rodziny mam już dzieci, pozostała jeszcze matka oraz dokończenie drugiego Chrystusa. Później rzeźby brata, św. Rodzina, ale to jest prosta praca. W razie czego poproszę innych o pomoc, są już chętni.

Czas okazał się jednak nieubłagany. Aby zdążyć ze wszystkim, Edmund Zieliński musiał poprosić o pomoc młodszego brata Rajmunda oraz kolegę. Podzielili się pracą. Pan Edmund wyrzeźbił św. Józefa, Rajmund Maryję, a kolega Jezusa. To właśnie ta św. Rodzina stanie na sopockiej plaży, gdzie będzie patronować rybakom.

24-letni Szymon Wojak ze Starogardu Gdańskiego jest jednym z młodszych twórców. Szymon pracuje w sklepie spożywczym i uczy się w Gdańsku na wydziale rzeźby w prywatnej szkole. Spotkaliśmy się w sklepie. W rogu, obok napojów oraz innych produktów, stała ponadmetrowa rzeźba św. Nepomucena. Obok kilka innych, mniejszych prac.

Widząc moje zdumienie, mówi z uśmiechem. – Mam tu swoją małą galerijkę. – Mój Nepomucen okazał się za mały, muszę zrobić nową, blisko dwumetrową rzeźbę. Nie wiem jeszcze, co zrobię z tą pracą.

Szymon Wojak ma spore problemy z rysunkiem.

– Podobno umiejętność rysowania jest bardzo potrzebna przy rzeźbie – mówi. – Ja mam z rysowaniem problemy w szkole. Na uczelnię, gdzie był egzamin z rysunku, prawdopodobnie dostałem się dzięki wykonanym w drewnie pracom, gdyż to, co nabazgrałem nie mogło być przekonujące. Biorę korepetycje z rysunku i wierzę, że wszystko będzie dobrze.

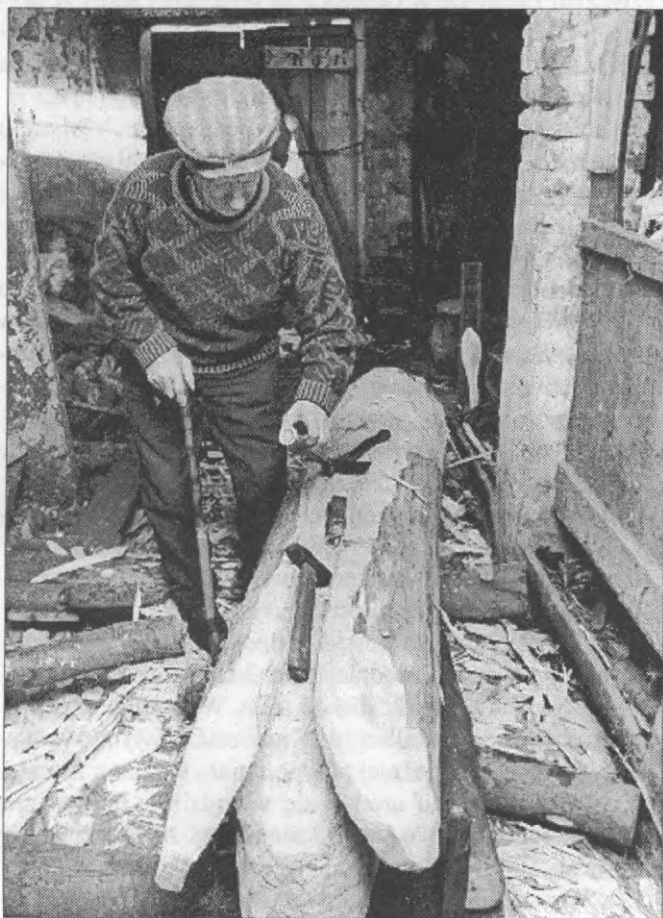
Ze Starogardu Gdańskiego jest również Edward Rychlicki. Trafiliśmy do niego bez problemu, gdyż przed domem czuwały naturalnej wielkości rzeźby. Nie mogło być wątpliwości, że tu właśnie mieszka artysta.

– O przedsięwzięciu dowiedziałem się z gazety. Zgłosiłem się do Mariana Kołodzieja. Do Gdańska po projekt pracy pojechaliśmy razem z córką i żoną. Wybraliśmy św. Michała, chociaż ja chciałem św. Krzysztofa. Zwyciężyły kobiety. I dobrze, bo później przypominało się nam, że chłopak, który niedawno urodził się w rodzinie, ma na imię Michał. Teraz rzeźbię jego patrona (św. Michał z jednej strony ma anioła, z drugiej diabła, a nad głową Boga Ojca).

Ze Starogardu już niedaleko do Czarnego Lasu, gdzie żyje 70-letnia Regina Matuszewska (jedna z trzech kobiet „pra-



Modląca się matka braci Zielińskich



Reginie Matuszewskiej pomagał mąż Stanisław

cujących” dla papieża. Pani Regina mieszka na samym końcu wsi. Tylko dzięki mapie, którą narysowali miejscowi, odnalazłem jej gospodarstwo.

– Trafiliście sami? – dziwił się Stanisław Matuszewski, syn pani Reginy. – Jak wieźli z Gdańska drewno dla mamy, to policja musiała ich pilotować.

Regina Matuszewska rzeźbiła Anioła Stróża z dzieckiem. Na początku, a było to zimą, pracowała po dwie, trzy godziny dziennie. Więcej nie mogła, gdyż swój warsztat miała w oborze, a tam było zimno. Pomagał jej 78-letni mąż Stanisław. Pani Regina rzeźbą zajmuje się, jak sama przyznaje, dopiero od dwóch lat. Zaczęło się banalnie. Na wakacje przyjechały wnuki, które nudziły się. Więc babcia wzięła scyzoryki i zabrała je do ogrodu. Tam razem zaczęli strugać. Dzieciom się znudziło i szybko poszukali sobie innego zajęcia, a babcia teraz rzeźbi dla Jana Pawła II. Dużo wcześniej przed dłutem pani Regina używała już pędzla i pióra, a nie można też zapominać o haftowaniu.

– Kiedy przywieźli drewno, ogromny ponaddwumetrowy kłoc, to się załamalam – wspomina tamten dzień. – Wpadłam wręcz w panikę. Po chwili jednak pomyślałam, że Anioł Stróż nade mną czuwa i dam radę. Praca dla papieża jest dla mnie wielką radością – mówi na zakończenie rozmowy.

Żegnany serdecznie przez gospodarzy, jadę do Barłożna, do Jerzego Kamińskiego. Podobnie jak pani Regina, mieszka na końcu wsi. I ponownie niezbędna jest pomoc miejscowych, którzy kilkakrotnie wskazywali drogę. Ale udało się. Zastałem go w piwnicy, przy pracy nad Chrystusem. W pokoju stały już inne rzeźby, m.in. św. Barbara i Matka Boska Zielna. Pan Jerzy należy właśnie do tej grupy artystów, którym pracy jest mało.

– Chciałbym jeszcze wykonać, ponad plan, św. Marcina, ale jego zostawiłbym sobie na pamiątkę.

Wykonanie stołu ofiarnego powierzono Zbigniewowi Żurawskiemu z Gdańska. We wstępnych planach papież miał celebrować eucharystię przy tym samym stole ofiarnym, co dwanaście lat temu na gdańskiej Zaspie. Również tron miał być ten sam. Oba „meble” znajdują się w archidiecezjalnym muzeum w Gdańsku i cieszą się dużą popularnością wśród zwiedzających. To właśnie m.in. przyczyniło się do zmiany decyzji. Metropolita gdański poprosił Mariana Kołodzieja, aby przygotował również projekt mensy ołtarzowej oraz fotela i tronu dla Ojca Świętego. Tron ma być przytwierdzony do ołtarza, natomiast fotel, w którym siedzieć będzie papież podczas homilii, przyniosą klerycy. Po uroczystościach stół ołtarzowy oraz tron i fotel znajdą swoje miejsce w muzeum archidiecezjalnym.

Z przygotowaniem projektu mensy nie było większych problemów. Natomiast przedłużały się oczekiwania na gościa z Watykanu, który miał przywieźć wymiary tronu i fotela.

– Oba meble muszą mieć odpowiednią wysokość, szerokość i głębokość – wyjaśnia Marian Kołodziej. – Nie mogą być też zbyt miękkie, aby papież mógł z łatwością się podnieść jednym ruchem.

Pierwsze rozpoczęły się prace przy stole ołtarzowym, które przypadły Zbigniewowi Żurawskiemu, właścicielowi zakładu mebli w stylu gdańskim.

– O pracy nad ołtarzem dowiedziałem się z gazet. Skontaktowałem się z panem Kołodziejem. Okazało się jednak,

że pracy, który by mi odpowiadała, nie ma. Dopiero później pojawił się pomysł mensy ołtarzowej. Bardzo się cieszę, mogę powiedzieć, jestem dumny, iż będę miał swój udział w przygotowaniach do wizyty Ojca Świętego. Podczas poprzedniej wizyty papieża mieszkałem na Zaspie. Byłem świadkiem prac, można powiedzieć, że w pewnym sensie współuczestniczyłem w tamtych przygotowaniach. Wsta- wałem codziennie i robiłem sobie w kuchni śniadanie przy odgłosach stukotu z placu budowy. Kiedy wieczorem wra- całem z pracy, prace nadal trwały. Wszystko wzrastało na moich oczach, a dzisiaj sam uczestniczę w tych pracach. Trud- no jest powiedzieć, jak wspaniałe to uczucie.

Stół ołtarzowy zostanie wykonany z nietypowego mate- riału; z egzotycznego drewna bodo, sprowadzanego z Afry- ki. Gdańszczanin przywiózł je ze Szczecina od braci Ludwiń- skich, którzy importują je z Czarnego Kontynentu.

– Miał być wykonany z dębiny – mówi Zbigniew Żuraw- ski. – Zaproponowałem panu Marianowi bodo, bardzo mu się spodobało.

Blat stołu wsparty będzie na dwóch filarach, na których z boku wyrzeźbione będą ornamenty roślinne, stylizowane na wyobrażenia krzyża. Natomiast z przodu stołu będzie ho- stia podtrzymywana przez anioły, a w nią wpisany promie- niujący krzyż. Nad aniołami będzie napis, motto pielgrzym- ki: „Bóg jest miłością”.

Oprócz artystów, twórców oraz osób bezpośrednio zaan- gażowanych w prace przy ołtarzu, swój udział w przygoto- waniach do wizyty papieża mogli mieć wszyscy wierni gdań- skiego Kościoła. Projekt ołtarza wystawiono najpierw na po- czątku roku w Bazylice Mariackiej, później, do maja, w in- nych świątyniach archidiecezji gdańskiej.

Prezentując w świątyniach projekt, pragnąłem, aby wier- ni poprzez modlitwę, ofiary i inne formy współuczestniczy- li w jego tworzeniu – powiedział wówczas profesor.

Na początku kwietnia metropolita gdański Tadeusz Goc- łowski poświęcił i pobłogosławił w Sopocie plac pod budo- wę ołtarza. Wśród zgromadzonych osób był m.in. wojewo- da pomorski Tomasz Sowiński oraz prezydenci Sopotu i Gdyni Jacek Karnowski i Wojciech Szczurek. „W tym mo- mencie, kiedy jeszcze nie ma ołtarza, gdy dopiero są ludzie chcący Panu budować, chcemy prosić o Boże błogosławień- stwo dla tych, którzy to dzieło będą wznosić”, powiedział arcybiskup.

Prace budowlane, prowadzone na dwie zmiany w dużym tempie, wyprzedziły przyjęty harmonogram; część muro- waną wykonano przed czasem.

Plac budowy odwiedzają Marian Kołodziej i Halina Sło- jewska. Czy rzeczywiście, tak jak zaplanował, papież od- prawiając mszę św. z wysokości 8 metrów będzie widział morze?

– Przy dobrej widoczności widać linię Helu – mówiła w kwietniu Halina Słojewska, chwilę po tym, jak zeszła wraz z mężem z wysięgnika. – Jeżeli tylko będzie ładna pogoda, Jan Paweł II będzie mógł podziwiać na morzu paradę łodzi rybackich, jachtów i jednostek Marynarki Wojennej, którą zaplanował mąż.

Łodziami przyplynie z Jastarni około 500 rybaków, bę- dzie to nawiązanie do corocznych pielgrzymek łódziowych



Chrystus Ukrzyżowany



Szymon Wojak ze swoim świętkiem. Fotografie: Wojciech Lendzion

na odpust św. Piotra i św. Pawła w Pucku. Profesor nie ukrywał, że chce pokazać papieżowi morze, jak górale pokazali góry.

Prace przy ołtarzu na sopockim hipodromie cieszą się dużym zainteresowaniem mieszkańców Trójmiasta. W weekendy czasami przyjeżdżają nawet całe wycieczki. Podobnie jak przed dwunastoma laty, kiedy ludzie przyglądali się pracom przy galeonie. Podobieństw z lat 1987 i 1999 jest więcej. Wówczas i teraz spora część prac została wykonana w trójmiejskich teatrach; gotowe elementy drewniane zwożono na hipodrom już w kwietniu. Podobnie również układa się współpraca z różnymi specjalistami, od architektów poczynając, wśród których znalazł się Leszek Zaleski jr, syn nieżyjącego już architekta Lecha Zaleskiego, współtwórcy ołtarza-galeonu. To właśnie Lech Zaleski podjął pierwszy trud realizacji tamtego pomysłu profesora.

I chyba rzecz najważniejsza. Tak jak przed dwunastoma laty wokół wizyty Ojca Świętego w ojczyźnie zjednoczyli się wszyscy walczący o wolność, tak i teraz potrafili stanąć ponad podziałami, aby godnie przyjąć Papieża.

To także dobra wola setek ludzi, którzy dla papieża poświęcili tak wiele swego czasu i trudu. To także jedność mieszkańców Trójmiasta, całego Pomorza.

– Dla naszych trzech miast przygotowania do wizyty papieża mają jeszcze jeden bardzo istotny wymiar. Udowodnił mi, że można razem pracować – zauważył Marcin Burda z sopockiego urzędu. – A to – jedność Gdańska, Sopotu i Gdyni może zapoczątkować w przyszłości.

I tak jak przed dwunastoma laty, nad pracami twórców niezwykłego ołtarza czuwał św. Maksymilian Kolbe. Wszak gdański artysta dzielił ze świętym wspólny los w oświęcimskim obozie. Był świadkiem ofiary jego życia.

– Dzisiaj trudno mi mówić o Maksymilianie jako świętym, gdyż byliśmy współwyzniami – wspomina tamte czasy Marian Kołodziej. – Razem staliśmy w kolejce po jedzenie, razem pracowaliśmy i razem doznawaliśmy upokorzeń.

Los zetknął Mariana Kołodzieja nie tylko ze św. Maksymilianem Kolbem. W młodości spotkał się również z Karolem Wojtyłą w Krakowie, w Teatrze Rapsodycznym, gdzie uczyli się teatralnego rzemiosła. W czerwcu ponownie spotkają się w Gdańsku.

Stół ołtarzowy ma 3 m długości, 1,3 szerokości i 90 cm wysokości; płaskorzeźba – 2,4 m długości, 70 cm wysokości.

Ołtarz ma 26 m wysokości. Składa się z kilku elementów. Pod ołtarzem jest ośmiometrowa brama z wizerunkiem św. Wojciecha w łodzi. To właśnie wtedy wjedzie papamobile. Tuż nad nią jest główny ołtarz. Jeszcze wyżej hostia o średnicy 10 metrów, w którą wpisany jest krzyż z Chrystusem, a tuż za Synem Bożym, Bóg Ojciec. Ołtarz ma 50 m szerokości, natomiast cała budowla 80 m. Minimalna wysokość rzeźb, po prawej i lewej stronie ołtarza – 1,80 m.

Stanisław Janke

Spotkanie na szczycie

Wiersz Hieronima Derdowskiego „Wòjkasyn ze Słòwòszëna” został opublikowany w 1881 roku w poznańskiej „Warcie”, wkrótce po śmierci Floriana Ceynowy. Miał rację młodokaszuba Bolesław Piechowski, pisząc na łamach „Gryfa”, że zarówno Ceynowa, jak i Derdowski, parafrazując słowa króla Ludwika XIV („Państwo to ja”), mogliby, każdy z osobna, powiedzieć o sobie „Literatura kaszubska to ja”. Obaj byli pierwszymi twórcami i jedynymi w swoim czasie reprezentantami naszej rodzimej literatury.

Ceynowa poznał osobiście Derdowskiego u schyłku życia, korespondowali ze sobą krótko. Wòjkasyn, ojciec odrodzenia kaszubskiego, namawiał pierwszego poetę kaszubskiego, by wydał debiutancki, i najbardziej dziś znany, poemat „Ō Panu Czòrlińszim, co do Pùcka po secë jachòł” w jego autorskiej ortografii. Derdowski jednak nie przyjął tej propozycji i do końca życia konsekwentnie stosował własną pisownię – bez znaków diakrytycznych nad charakterystycznymi dla kaszubszczyzny głoskami i dwugłoskami. W liście do języko-

znawcy Stefana Ramuła z 2 listopada 1880 roku Ceynowa pisał: „Jarosz Derdowski sã ze mną zaprzëjaził, òdebròł òd mie w pòdarenkù mòje dzelka, a tej ùdòł sã do przecywnëgò òbòzë, to je pana [Ignacego] Danielewskiego ë wëdòł pò swòjémù pana Czòrlińszëgò”.

W kolejnym liście do Ramuła (29 XI 1880) Ceynowa donosił, że w drodze do Warszawy zatrzymał się w Toruniu, gdzie odwiedził Derdowskiego. Było to ich pierwsze i ostatnie spotkanie. Derdowski w pracy „O Kaszubach”, opublikowanej na łamach „Przeglądu Polskiego”, tak oto scharakteryzował Ceynowę: „Z długą siwą brodą, z włosami spadającymi bezładnie w kędziarach na plecy, wyglądał jak jaki kapłan kaszubskiej Dziedzielli. Lud szanował go więcej jako znakomitego lekarza, aniżeli jako pisarza, i dla poważnej jego postawy zwał go żartobliwie »królem kaszubskim«”.

W wierszu „Wòjkasyn ze Słòwòszëna” Derdowski trafnie oddał klimat postrzegania idei i działalności literackiej Ceynowy przez mieszkańców ówczesnych Prus Zachodnich – obojętność, a także drwiny z autora, jako dziwaka i oryginała, i to nie tylko z powodu wyglądu zewnętrznego. Nie zabrakło także osób, głównie z kręgu działaczy niepodległościowych, które wytoczyły przeciw niemu ciężkie armaty podejrzeń o zdradę sprawy polskiej. W czasie wielkiego ścierania się polszczyzny z niemczyzną, kaszubskość istotnie mogła być postrzegana jako zawada na drodze do odzyskania niezawisłości państwowej.

Hieronim Jarosz Derdowski

Wòjkasyn ze Słówòszëna
Dr Florian Ceynowa

Czej ù naju na Kaszubach dzeckò zaniemòże,
Jidze matka do kòscoła przed òblicze Bòże,
Jidze dali mniedzë ludzy òd chëczë do chëczë,
Wszãdze, płacząc, radë szukò, czej ból serce piecze.

Tobie nòród nasz kaszubsczi, że zes bël z doktori,
Tacz biédny bël, zòrotny, òd wëszczerek chòri,
Zes pò swiece jemù chòdził òd chëczë do chëczë
I jak dziòd nen swiat przedëptòł, co sã z cziej wlecze.

Ludze, jak zazweczòj ludze, kask kracëlë łbami,
A tã chodzył, seca szukòł, mniedzë Słowianami.
Jeden wzdrygòł remnionami, drudzi łajòł: nara!
Trzeci grëpkã wachòł zdradë: Ciebie niesła wiara.

Czej syn Sławë na twim grobie klãknie, łzë wëleje,
Twòja wiara i nadzieja w sercu mù zacznieje,
I do duszë sã òdezwie brząk harfë eolsczi:
Ni ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polsczi.

wiersz publikujemy w obecnie obowiązującej pisowni

Młodokaszubi, którzy podjęli działalność twórczą i ideową kilka lat po śmierci Derdowskiego, na początku obecnego stulecia, w pierwszym okresie nieco z dystansem traktowali kaszubski radykalizm Ceynowy i zrażali się „estetyczną stroną” komizmu poematu „Ó Panu Czòrlińszim...”. Później docenili nie tylko pionierską pracę i tytaniczny wysiłek twórcy odrodzenia kaszubskiego, ale i literackie zdolności pierwszego rodzimego poety. „Dla Derdowskiego dopiero później, w wieku dojrzałym nabrałem zrozumienia” – przyznał młodokaszuba Jan Karnowski w „Mojej drodze kaszubskiej”.

„Był następcą Ceynowy – pisał o Derdowskim B. Piechowski – lecz nie szedł w jego ślady. Podczas gdy Ceynowa przez swoje prace wbijał klin między Polaków i Kaszubów, przedstawiając język kaszubski jako odrębną mowę, stał Derdowski zupełnie na gruncie polskim i uważał Kaszubów za prawdziwych Polaków, chociaż nie posiadających tego poziomu kultury polskiej jak ich sąsiedni bracia”. Dziś wiemy, że zarówno kaszubocentryzm Ceynowy, jak i polonofilski pogląd na kaszubszczyznę Derdowskiego, nie tylko były żywo obecne w dziejach naszego ruchu etniczno-kulturowego, ale także wzajemnie się uzupełniały i wzbogacały. Co więcej, tendencje te przetrwały do czasów nam współczesnych i są nieodłącznymi pierwiastkami aktualnego oblicza ruchu kaszubskiego.

Trudno sobie nawet dziś wyobrazić, by któregoś z tych nurtów mogło zabraknąć. ■

STATYSTYKA STEFANA RAMUŁTA

W bieżącym roku mija 100 lat od opublikowania „Statystyki ludności kaszubskiej” Stefana Ramuła (1859-1913), językoznawcy i etnografa, autora tezy o odrębności językowej kaszubszczyzny jako języka nadbałtyckich Pomorzan. W tej pierwszej tego rodzaju pracy w literaturze polskiej znajdujemy wiele ciekawych informacji na temat stanu kaszubszczyzny w końcu XIX w., który, okazuje się, jest prawie analogiczny z istniejącym obecnie.

Liczące 290 stron dzieło, z mapą etnograficzną Kaszub w skali 1:472 000, poprzedza wypowiedź K. Morawskiego i J. Tretiaka, przedstawicieli Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, którzy wyjaśniają pobudki, jakie skłoniły wydział „do wydania niniejszej książki”, mimo pewnych zastrzeżeń do jej treści: „P. Ramułt we wszystkich swoich pracach poświęconych kaszubszczyźnie, występuje jako stanowczy wyznawca odrębności języka, którym mówią Kaszubi, od języka polskiego.

I w tej książce jest to zasada przyjęta o tyle, że mową Kaszubów nazywa się tu ich mowę »ojczystą« i jednakowo jest przeciwstawiana mowie polskiej i niemieckiej. Otóż zasada odrębności »języka kaszubskiego« od języka polskiego nie jest bynajmniej powszechnie przyjęta przez współczesną naukę, a także i w gronie naszego Wydziału stanowczych napotyka przeciwników. Toteż Wydział Filologiczny stwierdza to wyraźnie, zastrzegając się przeciwko mniemaniu, jakoby ogłaszając prace p. Ramuła, stawał w tym sporze naukowym po jego stronie.

Ale ten pogląd autora na mowę Kaszubów nie odbiera bynajmniej znaczenia skrzętnie zebranych przez niego materiałów językowych i statystycznych, które tylko przyczynić się mogą do ożywienia badań na tym polu i rozświecenia prawdy. Wydział przeto poczytał sobie za obowiązek ułatwić publikację tak ważnego materiału, któryby w obecnych warunkach wydawniczych nie znalazł gdzieindziej nakładcy, i dlatego podjął się wydania niniejszej pracy p. Ramuła.

W Krakowie, w styczniu 1899”

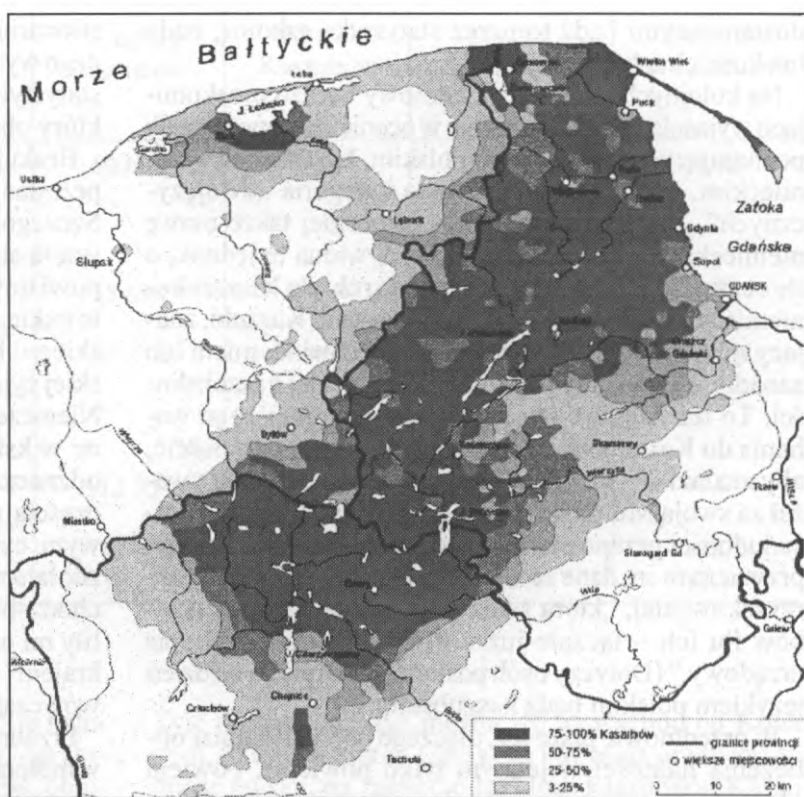
Swoje motywy podjęcia tego żmudnego dzieła oraz cele pracy wyłożył autor w obszernej, bo liczącej aż 19 stron tekstu przedmowie. Przedstawił w niej również kryteria, którymi się kierował „przy odróżnianiu mieszkańców danej osady” a także określa wyraźnie, kogo uważa za Kaszubę; opisuje przebieg i metody badań; ustosunkowuje się do spisu ludności w 1890 r. oraz niedokładności w pracach niektórych autorów, zajmujących się problematyką ludnościową terytorium Prus Zachodnich i Pomorza; podaje nazwiska osób, które pomogły mu zebrać dane i składa im oraz Zarządowi Umiejętności w Krakowie gorące podziękowania za pomoc w przygotowaniu dzieła.

„Marzeniem mojem, w latach jeszcze dziecięcych, było znaleźć taką książkę – piśnię – któraby mnie pouczyła, ile naprawdę jest Kaszubów na świecie i jak daleko sięgają granice plemienia kaszubskiego. Bo już wtedy gorszyłem się niezgodnością różnych, dostępnych mi wówczas źródeł, polskich i niemieckich, z których jedno np. utrzymywało, że liczba Kaszubów dochodzi do 100 000, a zaś inne (jedno z dawniejszych wydań encyklopedii Mayera) zdołało ich naliczyć zaledwie 3000”.

Badania trwały siedem lat.

S. Ramułt zamierzył sobie dwa cele: „Jednym z nich jest wykazanie siły liczebnej, drugim wytknięcie granic geograficznego rozprzestrzenienia ludu kaszubskiego. Aby osiągnąć te cele, starałem się nagromadzić jak największą ilość potrzebnych szczegółów, a więc dat [danych – J. M.] statystycznych, odnoszących się do ludności każdej z osobna osady położonej na t.zw. Kaszubach, a ponadto zebrać wszelkie możliwe dane o ludności kaszubskiej, żyjącej w rozproszeniu poza granicami Kaszub”. (...) Odnosnie do samej krainy kaszubskiej, zwracałem w poszukiwaniach moich uwagę jedynie na dwa czynniki, odróżniające mieszkańców danej osady; 1. na ich mowę ojczystą (Muttersprache), 2. na ich wyznanie. Pomiąłem natomiast zupełnie kwestyę narodowości (Nationalität), będącej dzisiaj na Kaszubach, o czym przekonać się można choćby ze spisu urzędowego, czynnikiem zmiennym i niepewnym, zależnym od większego, lub mniejszego uświadomienia i wyrobienia politycznego u poszczególnych osób.

Dla uniknięcia zatem wszelkich możliwych nieporozumień zaznaczam z całym naciskiem, że statystyka niniejsza jest wyłącznie językową, a nie narodowościową. W opracowaniu niniejszym dzielę ludność nie według tego, do jakiej ona przyznaje się, lub do jakiej zaliczana bywa narodowości, ale według mowy ojczystej, według tej mowy, którą dziecko wynosi z gniazda rodzinnego, którą człowiek posługuje się w rozmowie z najbliższą swą rodziną, której używa, modląc się i spowiadając, która zarazem może być nazwana mową po-



Uproszczona Mapa etnograficzna Kaszub Stefana Ramułta z 1899 r.

Oryginał zawiera nazwy ponad 2000 miejscowości.

Mapę przeredagowali: A. Momot i J. Sztolcman

toczną (Umgangssprache) jeżeli otoczenie, wśród którego dany osobnik żyje, mówi tym samym, co i on, językiem.

Mową ojczystą Kaszubów jest oczywiście tylko mowa kaszubska, cokolwiekby bowiem można sadzić o stosunku Kaszubów do Polaków, nie podobna zaprzeczyć faktu istnienia mowy kaszubskiej.

Po myśli uwag powyższych uważamy za Kaszubów jedynie tych, którzy nie tylko są z nimi z rodu, ale i mówią po kaszubsku. Do nich dołączamy także te, nieliczne zresztą jednostki, które, choćby były i obcego pochodzenia, posługują się w kółku rodzinnym wyłącznie mową kaszubską. Nie uważamy natomiast za Kaszubów tych osób obcej krwi, które, acz na Kaszubach zrodzone i wychowane i mową kaszubską częstokroć całkiem biegle władające, uważają jednak mowę niemiecką lub jakąkolwiek inną za swą ojczystą. Również nie zaliczamy do Kaszubów tych, którzy wprawdzie są z nimi z pochodzenia, ale w kółku domowym posługują się już mową polską lub niemiecką. Są bowiem np. w prowincji pomorskiej, koło Łeby i w innych stronach, całe wsi, których mieszkańcy nie mają w swoich żyłach ani kropki krwi niemieckiej, a przynajmniej niewielką jej domieszkę, ale za Niemców muszą być uważani, gdyż mówią tylko po niemiecku”.

S. Ramułt początkowo pragnął wykorzystać dostępną literaturę i dane statystyczne. Okazało się wówczas, że „Wszelkie obliczenia, odnoszące się do krainy kaszubskiej, opierały się wyłącznie na kombinowaniu cyfr, wykazywanych przez ogólne spisy ludności, z cyframi

dostarczonymi bądź to przez statystykę szkolną, bądź też kościelną lub wyborczą”.

Na kolejnych stronach przedmowy bardzo przekonująco wyjaśnia przyczyny różnic w ocenie liczebności osób posługujących się językiem polskim, kaszubskim i niemieckim. Jedną z przyczyn była kategoria „dwujęzycznych”, „uważających obok kaszubskiej także mowę niemiecką za swą ojczystą (...) Indywidua te jednak, o ile oczywiście wciągnięte zostały do rubryki kaszubskoniemieckiej, są to prawie bez wyjątku sami Kaszubi, znający tylko mowę niemiecką a za mało uświadomieni lub zanadto lękliwi, aby przyznać się do pełnej kaszubskości. To też zaliczyć ich należy bez najmniejszego wahania do Kaszubów, trudno bowiem nawet przypuścić, aby znalazł się Niemiec, któryby kaszubszczyznę uważał za swoją Muttersprache”. Kwestionując wyniki spisu ludności przeprowadzonego przez władze S. Ramułt przytacza m.in. dane ze zbadanej przez siebie parafii borzyszkowskiej, „która sama liczy bezmała tylu Kaszubów ilu ich – łącznie już z Polakami – naliczył spis urzędowy.” (Dotyczy osób posługujących się na co dzień językiem polskim bądź kaszubskim.).

W przedmowie pisze też, dlaczego porzucił zamiar obliczenia ludności w jednym tylko powiecie, bowiem „Jeżdżąc po całych Kaszubach, miałem sposobność badania stosunków w różnych stronach tej krainy i zbierania materiału statystycznego na miejscu. Wielkie usługi w tym względzie oddało mi w tym duchowieństwo katolickie, organiści i służba kościelna, sołtysi, nauczyciele miejscowi, tu i ówdzie leśnicy rządowi, właściciele zajazdów, a nawet urzędnicy państwowi”. Niektóre informacje S. Ramułt otrzymał od gburów i drobnej szlachty, a nawet od obywateli narodowości niemieckiej.

Rozpoczętą w terenie pracę badawczą, kontynuował wymieniony w artykule etnograf drogą korespondencji, przez siedem lat, wysyłając kilka tysięcy listów, kwe-

stionariuszy i blankietów konskrypcyjnych. Szczególnego wysiłku wymagało sprowadzenie zebranych danych statystycznych „do jednego i tego samego terminu, za który obrałem sobie dzień 31 grudnia 1892 roku.”

Brakujące dane uzupełnił S. Ramułt informacjami przesłanymi mu przez Statystyczne Biuro Berlińskie. Szczególnie przydatne okazały się one przy opracowywaniu statystyki czterech, przeważnie już niemieckich, powiatów na Kaszubach: gdańskiego, lęborskiego, bytowskiego i słupskiego, a częściowo także i człuchowskiego. Informacje dotyczące liczby ludności kaszubskiej żyjącej w rozproszeniu poza granicami Kaszub (w Niemczech, a tym bardziej w Ameryce) i zamieszczone w książce „nie mogą być ani szczegółowe, ani też odznaczać się ścisłością pożądaną, gdyż opierają się częścią na tak mało wiarygodnym materiale urzędowym, częścią zaś na ogólnikowych informacjach, jakie zdołałem sam zebrać na Kaszubach o sile liczebnej wychodźstwa z poszczególnych okolic lub których udzieliły mi osoby, bawiące pośród ludu kaszubskiego poza krajem” (m.in. Hieronim Derdowski przebywający już wówczas w Stanach Zjednoczonych).

Przedmowę kończą podziękowania licznemu gronu współpracowników, a zwłaszcza 62 osobom, wymienionym z imienia i nazwiska, miejsca zamieszkania i pełnionych funkcji (księża, profesorowie, organiści, wydawcy, przemysłowcy, poeci i dziennikarze, redaktorzy, sekretarz biura adwokackiego, nauczyciele, dzierżawca folwarku, etnograf.

Zwięzłą historię ludów pomorskich oraz szczegółowo „granice osiadłości ludu kaszubskiego” przedstawia Ramułt w liczącym 16 stron wstępie.

„Obecne – pisze – siedziby Kaszubów przypierają z dwu stron do Morza Bałtyckiego, a to od północy i od północnego wschodu, na przestrzeni pomiędzy ujściem rzeki Łupawy pod wioską Rowkiem (kasz. Róvk, niem. Klein Rowe) [dzisiejsze Rowy – J.M.], a ujściem Wis-

Powiaty	Liczba ludności ogółem	Liczba ludności posługującej się na co dzień językiem kaszubskim	Odsetek ludności powiatu posługującej się na co dzień językiem kaszubskim
pucki	24 325	18 609	76,50
wejherowski	41 930	27 930	66,79
kartuski	60 185	45 284	75,24
kościerski	46 400	17 530	37,78
chojnicki	52 751	23 680	44,89
bytowski	23 654	4797	20,28
człuchowski	64 875	11 976	18,46
lęborski	43 488	4227	9,72
słupski	98 780	4860	4,92
gdański górski	40 057	10 519	26,26
gdański miejski	120 422	5419	-
Razem	616 867	174 831	28,34

TABELA I

Powiaty	Liczba ludności ogółem	Liczba Kaszubów	Odsetek Kaszubów	Liczba pół-Kaszubów	Odsetek pół-Kaszubów
pucki	69 100	50 690	73,35	6323	9,02
pucki z częścią Gdyni (w dawnych granicach pow. puckiego)	129 100	55 690	43,14	11 323	8,77
wejherowski	146 800	95 334	64,94	24 938	16,99
wejherowski z częścią Gdyni (w dawnych granicach pow. wejherowskiego) i Sopotem	381 800	112 334	29,42	41 938	11,00
kartuski	95 300	77 920	81,76	10 531	11,05
kościerski	63 900	38 279	59,90	11 077	17,33

TABELA II

ły koło Nowego Portu (Neufahrwasser). (...) Nie należy jednak mniemać iżby wzdłuż całej tej linii, ograniczonej wskazanymi wyżej punktami końcowymi, opierały się o morze wyłącznie tylko osady kaszubskie (...).

Granica zachodnia, „po którą sięga ludność słowiańska w rozproszeniu”, biegła wówczas przez następujące miejscowości (podaję nazwy współczesne): Stojcino, rzeka Łupawa, Siodłonie, Szczypkowiec, Dargoleza, rzeka Łeba na pld. od Wolini, Rokitki, Rokity. „Środek powiatu na północ od Lęborka i południowo-zachodnia jego okraina są zupełnie niemieckie”. (...) Dopiero od Popowa i Rozłazina, na wschód ku granicy zachodniopomorskiej, zaczynają się pojawiać osady na pół lub bodaj częściowo kaszubskie i ciągną się aż ku morzu do Wierzhucina”.

W ówczesnym powiecie bytowskim zwarte osadnictwo kaszubskie sięgało do linii: Chośnica, Łąkie, Ugoszcz, Tuchomko, Trzebiatkowa, a rozproszone: Mikorowo i Nożyn (w powiecie słupskim), Borzytuchom, Modrzejewo, Tuchomie i Masłowice.

W powiatach człuchowskim i chojnickim granica zwartego osadnictwa kaszubskiego sięgała po miejscowości: Brzeźno Szlacheckie, Nowa Wieś, Płaszczycza, Polnica, Czarnoszyce, Nowa Cerkiew, Jeziorki, Rytel, Kłodnia, Gotelp, a rozproszonego: poza Starzno, Koczałę, Przechlewo, Człuchów, Ogorzeliny, Lutom, Czersk i Łęg. „Chojnice, jedno z większych miast na Kaszubach, są natomiast prawie zupełnie niemieckie”. (...). „Najdalej na wschód wysunięta część powiatu [chojnickiego] zamieszkała jest przez ludność, mówiącą już dziś przeważnie po polsku, niezbyt jednak dawno »kaszubiono« i tutaj, jak mnie zapewniali w wielu miejscowościach starsi ludzie”. (...) W sąsiednim, na północ położonym powiecie kościerskim, mianowicie we wschodniej jego części ludność kaszubska pomieszana jest do tego stopnia z polską i niemiecką, że o wytyczeniu linii granicznej osiadłości kaszubskiej nie może być ani mowy.

Tyle tylko zaznaczyć można, że na wschód od Konażyn, Kiszewy Starej, Garczyna i Wysina przeważa ludność polska, na zachód od tej linii kaszubska. Kaszubi dochodzą jednak aż do najdalej na wschód wysuniętych krańców powiatu, a w przygranicznym Bączku stanowią nawet większość miejscowego zaludnienia. Niemcy wreszcie, rozrzucając po całym okręgu, zajęli głównie część północną powiatu i łącznie z niemieckimi osadami powiatu kartuskiego, ciągnącymi się wzdłuż południowej granicy tegoż, tworzą jakby długi klin, rozciągający dzisiejszą krainę kaszubską na północne i południowe Kaszuby”. (...) „Podobne stosunki jak w powiecie kościerskim, istnieją pod względem językowym i w powiecie gdańskim górnym”, gdzie przeważają Niemcy. „Ludność Kaszubska dociera jednak aż do Łęgowa i wschodniej granicy Wyżyn gdańskich, za którą rozciągają się żyzne Żuławy, kraina czysto niemiecka”.

Opisany przez S. Ramuła obszar Kaszub obejmował 200 mil kw., z czego tylko 100 mil kw. zamieszkiwali przeważnie lub wyłącznie Kaszubi. „Całość robi wrażenie strzępu... Strzępy takie istnieją i w innych okolicach Prus zachodnich, w Prusiech wschodnich, Wielkopolsce i na Śląsku”.

Liczbę i odsetek ludności posługującej się na co dzień językiem kaszubskim w poszczególnych powiatach w 1892 r. ilustruje tabela I, opracowana na podstawie danych Ramuła.

Warto w tym miejscu nadmienić, że na zbliżonym obszarze współczesnych Kaszub mieszka dzisiaj, według badań przeprowadzonych przez komisję socjologiczną GTN w latach 1986-89 pod kier. M. Latosza około 1 500 000 ludzi, przy czym Kaszubi stanowią 32,5 proc. populacji (368 000 osób), a pół-Kaszubi 10,4 proc. (119 000 osób). Językiem kaszubskim posługuje się na co dzień 28 proc. ludności miejscowej (czyli około 125 000 osób), a z różną częstotliwością 58 proc. (około 282 000 osób). Miejsce Niemców zajęli Polacy, którzy napłynęli tu z

Dzisiejsze siedziby gmin	Liczba osób mówiących po kaszubsku		Liczba osób mówiących po niemiecku		Liczba Niemców		Liczba Żydów	Liczba innych	Ogółem
	katolik.	ewang.	katolik.	ewang.	katolik.	ewang.			
Krokowa	40	18	-	-	1	142	-	-	201
Hel	3	6	-	-	2	390	-	1	402
Puck m.	819	50	25	-	502	402	64	2	1864
Gdynia	629	38	-	-	15	141	-	1	824
Gdańsk	4933	486	1028	101	29 841	81 205	2535	209	120 388
Gniewino	6	-	-	-	4	185	10	-	205
Wejherowo m.	1216	50	40	-	1783	2292	160	5	5546
Reda	715	19	-	-	27	71	-	-	832
Rumia	661	19	-	-	15	139	3	-	837
Szemud	643	16	2	-	9	30	5	-	705
Kartuzy	1361	40	11	-	83	739	131	4	2369
Żukowo	1012	21	3	-	30	183	29	-	1278
Chmielno	658	-	1	-	14	11	9	-	693
Kościerzyna	2336	30	80	-	180	1291	396	4	4317
Brusy	1319	24	3	-	9	69	84	-	1579
Chojnice	766	44	100	6	3456	5217	502	16	10 107
Bytów	328	7	20	-	160	4160	334	2	5011
Łęczyce	3	1	-	-	-	385	-	-	389

TABELA III

innych części Pomorza, z głębi kraju oraz byłych kresów wschodnich.

Współczesne stosunki demograficzne w wybranych powiatach województwa pomorskiego (w dużej mierze pokrywają się z granicami sprzed 100 lat) ilustruje tabela II (dane przybliżone).

W kolejnym podrozdziale wstępu S. Ramułt opisuje stosunki wyznaniowe na Kaszubach, wymieniając m.in. parafie, w których przeważają katolicy lub ewangelicy. Zaprzecza ponadto powszechnej wtedy tezie, iż „co luter to Niemiec”, „Kaszubów ewangelików jest bez porównania więcej, niż wykazał spis urzędowy, więcej nawet niewątpliwie, niż podają moje obliczenia”. Niezwykle interesujący jest podrozdział, w którym autor omawia zakres użycia mowy kaszubskiej. „Mowa kaszubska jest językiem ojczystym głównie ludności wiejskiej na Kaszubach. Jednak i po miastach znajduje się, np. w Pucku i Wejherowie, wielu Kaszubów, a w Kościerzynie większość ludności stanowią Kaszubi”.

Kolejne akapity książki można z powodzeniem odnieść do czasów współczesnych, zamieniając tylko Niemców na Polaków, którzy napłynęli z innych regionów kraju.

„Językiem potocznym (Umgangssprache) jest na Kaszubach również język kaszubski. Ma to miejsce oczywiście w tych wsiach i na tych folwarkach, gdzie ludność kaszubska przeważa liczebnie. Jeżeli we wsi, liczącej kilkuset mieszkańców, znajduje się kilkunastu lub choćby kilkudziesięciu Niemców, natenczas ci ostatni, albo wszyscy, albo przynajmniej znaczna ich większość, rozumieją i mówią po kaszubsku i kaszubszczyzna siłą sto-

sunków zajmuje stanowisko języka potocznego. Bywają nawet wypadki, że właściciel folwarku, Niemiec ewangelik, włada zupełnie dobrze językiem kaszubskim, którego dźwięki obijają się o jego uszy od dzieciństwa i w którym następnie porozumiewa się ze swą służbą. Ten sam Niemiec atoli nie zrozumie bez pomocy tłumacza zwykłego listu, napisanego po polsku, o czym miałem sposobność przekonać się niejednokrotnie.

Natomiast w osadach z ludnością na poły mieszaną, zwłaszcza przeważnie niemiecką, język niemiecki wybija się na pierwsze miejsce a choć i tutaj trafiają się Niemcy, z którymi można porozumieć się po kaszubsku, kaszubszczyzna zepchnięta już jest jednakowoż na drugi plan i w życiu społecznym osady odgrywa rolę bardzo małą. Dopomagają do tego sami Kaszubi, którzy, choć za Kaszubów się mają i w domu mówią tylko po kaszubsku, uważając atoli mowę kaszubską za coś niższego, niż język niemiecki, z rozmysłem akcentują poza domem znajomość niemiecczyzny i posługują się nią nieraz bez najmniejszej potrzeby.

W osadach wreszcie, w których ludność niemiecka znacznie przeważa a w dodatku materyalnie jest silniejsza, trudniej już dopytać się o Kaszubów, choćby ich była i spora garstka we wsi. Kaszuba nalamuje się wtedy całkowicie do większości niemieckiej i chociaż w domu jego słyhać wyłącznie mowę kaszubską, w gospodzie i na ulicy nie odezwie się on nigdy prawie inaczej, jak tylko po niemiecku. Jest to objaw bardzo smutny, ale, niestety, prawdziwy. Gorsza, że są wsi, w których czasem i połowa ludności jest kaszubską, a jednak posie-

dziawszy kilka godzin w gospodzie, przysięgłbyś, że znajdujesz się w osadzie czysto niemieckiej”. (...)

Tem się także tłumaczy, że podróżnik, zwiedzający krainę kaszubską, odnosi wrażenie, jakoby ona była jeszcze więcej zgiermanizowana, niż jest nią rzeczywiście. Do wywołania takiego efektu przyczynia się oczywiście w wysokim stopniu okoliczność, że na kolei, na pocztach, we wszystkich wogóle instytucjach państwowych i lokalach publicznych słyzy się tylko mowę niemiecką, i że wszystkie napisy, nie tylko na gmachach rządowych, nawet na drogowskazach, ale także na szyldach sklepowych (choćby sklep był własnością Kaszuby), zredagowane są w języku wyłącznie niemieckim, kaszubszczyzny trzeba szukać gdzieindziej. ... pod strzechami chat. (...)”.

„Językiem kościelnym (nb. nieliturgicznym), to jest językiem kazań i nauk religijnych, jest w kościele katolickim na Kaszubach przeważnie język polski, w niektórych polski i niemiecki, a w Lęborgu, Bytowie i Chojnicach, w kościołach gdańskich i w kilku jeszcze innych parafiach niemal wyłącznie niemiecki. Wszyscy jednak księża katolicy na Kaszubach, choćby ze względu na spowiadanie wiernych, muszą przynajmniej rozumieć po polsku lub po kaszubsku. Mowa kaszubska, jako język kazań, nie jest obecnie w użyciu w kościołach ka-

macje, które mogą być z powodzeniem wykorzystane do dzisiejszych porównań demograficznych. A oto wybrane miejscowości (tabela III).

Ważna jest też informacja o Kaszubach w okolicach jezior Gardno i Łebsko, a także informacje, że pod koniec XVIII w. „więcej niż połowa powiatu słupskiego była przeważnie kaszubska (...). W dwunastu parafiach, mianowicie w gardzieńskiej, rowskiej, smołdzińskiej, główczyckiej, cecenowskiej, stojęcińskiej, skurzewskiej, dębińskiej, lupowskiej, michrowskiej, nożyńskiej i budowskiej, przeważna część mieszkańców mówiła po kaszubsku...”.

W części statystycznej mamy też sumaryczne zestawienie liczby ludności kaszubskiej. Według S. Ramuła liczebność Kaszubów w 1892 r. wynosiła (patrz: tabela IV)

Kończąc książkę, S. Ramuł pisze: „Z obliczeń naszych wynika, że blisko połowa obecnej ludności kaszubskiej żyje w rozproszeniu pośród obcych. Więcej niż trzecia część Kaszubów znalazła się na drugiej półkuli, a los ich nietrudny do przewidzenia. Pierwej czy później, choćby mowę swoją zachowali do dziesiątego pokolenia, ulegną niewątpliwie pożerającej wszelkie obce pierwiastki etniczne sile asymilacyjnej rasy anglo-saskiej, lub innych, sąsiednich żywiołów.

Państwa	Katolicy	Ewangelicy	Razem
Królestwo Pruskie	184 975	13 242	198 217
Inne kraje Cesarstwa Niemieckiego	900	100	1000
Inne państwa europejskie	900	100	1000
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej	84 653	6047	90 700
Kanada	23 333	1667	25 000
Brazylia	14 000	1000	15 000
Ogółem	308 721	22 156	330 917

TABELA IV

tolickich. Natomiast zdarzyło mi się słyszeć kilka razy, jak ksiądz, przygotowujący dzieci do św. sakramentów, gdy te nie mogły zrozumieć jakiego ustępu katechizmu, objaśniał im zasady wiary w języku kaszubskim”.

Wstęp do statystyki kończy S. Ramuł informacjami o języku kaszubskim, jako literackim czyli książkowym wymieniając „tylko dwóch ludzi, którzy [w XIX wieku] pisali po kaszubsku” – dra Floriana Ceynowę i Hieronima Derdowskiego. Ich dorobek prezentuje na jednej stronie opracowania.

Główna część dzieła – 206 stron – stanowi statystyka ludności kaszubskiej. Autor przedstawia kolejno stan kaszubszczyzny w prowincjach Niemiec zamieszkałych przez Kaszubów według schematu: obwód, powiat: a) wiadomości ogólne, b) statystyka szczegółowa powiatu, c) przypiski. Łącznie dane statystyczne dotyczą aż 1970 miejscowości! Są to niezwykle interesujące infor-

To samo, tylko że w czasie jeszcze krótszym, stanie się z tymi, co rozproszywszy się między Niemcami, porzucili już, niestety, zamiar powrotu w ojczyste strony.

Jakakolwiek jednak czeka przyszłość tych i tamtych, pozostanie jeszcze lud kaszubski na Kaszubach, a chociaż warunki jego życia duchowego aż nad wyraz ciężkie i smutne, nie zatraci on chyba nigdy swej odrębności. Padną jeszcze setki i tysiące Pomorzan pod toporem kultury obcej, tysiące pójda w świat, szukając doli lepszej, ale w ich miejsce staną nowe zastępy, bo ten lud, żyjący w rzadkiej czystości obyczajów, rozradza się znacznie szybciej i dłużej żyje, aniżeli jego sąsiedzi. Tyle wieków, tyle nieprzyjaznych czynników pracowało nad jego zagładą, a przecież się ostał, chyba tedy się już ostatnie i nadal, a mowa kaszubska rozbrzmiewać będzie nad Bałtykiem w długie jeszcze, w najdalsze wieki, jak rozbrzmiewała tam przed lat tysiącem...” ■

ROSJANIN HILFERDING A CEYNOWA I KASZUBY

Aleksander Fiodorowicz Hilferding, rosyjski filolog, słowianoznawca, folklorysta, etnograf, historyk i publicysta, przeżył ledwie 41 lat (1831-1872).

Ten słowianofil, bardzo niechętnie usposobiony do Polski, urodził się i wychowywał w Warszawie, w rodzinie pracownika najpierw MSZ, potem senatora i prezesa archiwum państwowego. Studia filologiczne i historyczne ukończył na Uniwersytecie Moskiewskim (1852). Został członkiem-korespondentem Carskiej Akademii Nauk w Petersburgu (1856), której Wydział II od dawna interesował się Kaszubami i kaszubszczyzną, utrzymując kontakty z K.C. Mrongowiuszem i F.S. Ceynową, czy delegując w 1839 roku na Kaszuby sławistę P.I. Prejsa, o którym pisaliśmy niedawno.

W połowie XIX w. Hilferding badał historię, życie i język Słowian bałtyckich. W liście do I.I. Srezniewskiego z Ostendy (2 IX 1856) informował: „Byłem w krajach nadbałtyckich, nie na Rugii, co prawda, ale u Kaszubów (...). Wywiozłem stamtąd bez liku wszelkiego etnograficznego i filologicznego bogactwa (...), całe narzecze,

wyobraźcie sobie, nowe słowiańskie narzecze: nie kaszubskie, lecz słowińskie. Tak, w rzeczy samej, między jeziorem Łebsko i jeziorem Gardno, które zobaczycie na mapie, jest trochę wsi za błotem, tak o nich mówią, gdzie typ narodu całkowicie różni się od polskiego i kaszubskiego, gdzie narzecze jakieś archaiczne, z różnymi wła-

ściwościami języka bałtyckich Słowian, gdzie mieszkańcy nazywają siebie Slowinstji ledze i gdzie za około 25 lat nie będzie ani jednego człowieka. Miesiąc cały przemieszczałem się między Gdańskiem i Słupskiem, odnalazłem Ceynowę, z nim podróżowałem cztery dni, a pozostały czas pozostawiony byłem własnym środkiem, tj. cudotwórczej sile wódki i tabaki do żucia. I z pomocą tych niezwykłych sojuszników ile zapisałem po karczmach Kaszub i kraju Słowińców! Po prostu nie uwierzycie.” („Dokumenty k istoriji sławjanowedenija w Rossiji”, Moskwa 1948).

Jako konsul w Sarajewie (1857) poznał Bośnię, Hercegowinę i Serbię, czego owocem „Pisma ob istoriji Serbow i Bołgar” (Moskwa 1855-1859) i „Bosnija, Hercegowina i Staraja Serbija” (Petersburg 1859), obfitujące w materiały archeologiczne i etnograficzne. Potem jako pracownik Wydziału Azjatyckiego MSZ i kancelarii Rady Państwa energicznie występował przeciwko ruchom polskim, m.in. w prasie i wydając osobno „De causes de la lutte entre la Russie et la Pologne” (Lipsk 1863), mimo to wpłynął na przyjęcie do Carskiego Towarzystwa Geograficznego O. Kolberga. Wiele czasu poświęcił badaniu życia, języka i twórczości ludów północnej Rosji. W latach 1871-72 podróżował po guberni ołonieckiej i archangielskiej, zbierając bogaty materiał etnograficzny i dialektologiczny, przede wszystkim byliny (w liczbie 318), epickie ludowe pieśni rosyjskie o treści bohaterkiej, opracowane w książkach „Ołoneckaja gubernija i jeje narodnyje rapsody” (1872) i „Oneżskie byliny” (1873). Wtedy był przewodniczącym Wszechzwiązkowego Towarzystwa Geograficznego. Napisał też rozprawy „Obszczestwajanskaja azbuka s priloženiem obrazcow sławjanskich naraczij” (1869 lub 1871?) i „Istorija Sławjan” (1871). Zmarł w Kargopolu podczas podróży po guberni ołonieckiej.

Jego prace na magisterium dotyczyły filologii porównawczej języków indoeuropejskich, np. „O srodstwie jazyka sławjanskowo s sanskritskim” czy „Ob otnoszenijach jazyka sławjanskowo k jazykam rodstwennym” (1853). Zajmował się wzajemnym oddziaływaniem na siebie rosyjskiego i

tureckiego. Jest autorem ważnych prac (zebranych w: „Sobranije soczinenij A. Hilferdinga”, t. I-IV, S. Petersburg 1868-1874), napisanych po podróży po ziemiach połabskich (1854), o języku nadbałtyckich Słowian, np. „Issledowanija o bałtijskich Sławjanach” (1854), i ich dziejach, ukazując m.in. negatywny wpływ niemieckiej kolonizacji: „Istorija bałtijskich Sławjan”, t. 1. „Drewnejšaja istorija bałtijskich Sławjan do Karla Welikowo, ich byt i werowanija, obszczije ich odnoszenija k srednewiekowej Germaniji” (Moskwa 1855), t. 2. „Borba Sławjan s Niemcami na bałtijskom Pomorie w srednije wieka” (Petersburg 1860/61, 1862) i bodaj najważniejszej pracy etnograficzno-językowej o Kaszubach „Ostatki Sławjan na jużnom beregu Bałtijskawo Morja” („Etnograficzeskij Sbornik Russkowo Geograficzeskowo Obszczestwa”, Petersburg, t. V 1862), wcześniej streszczenie („Pamjatniki narieczija załabskich Drjewljan i Glinjan, Petersburg 1856”) i jako rozprawka (z rozdz. I „Przegład etnograficzny” i rozdz. X „Właściwości języka Słowińców i Kaszubów” – „O nariecziji pomeranskich Słowincew i Kaszubow” („Izwestija Imperatorskoj Akademii Nauk po Otdieleniju Russkowo Jazyka i Slowesnosti”, t. VIII, Petersburg 1859-60). Opóźnienie druku książki wynikało z oczekiwania na słownik, który wcześniej zapowiadał i w 1861 roku w Petersburgu wydał F. Ceynowa.

Obszerne polskie omówienie „Ostatków Słowjan...”, dał z wypisami R. Zmorski („Przegład Europejski”, Warszawa, t. II 1862). Rychło przetłumaczył ją na niemiecki Łużyczanin J.A. Smoler („Die Ueberreste der Slaven auf der Südküste des baltischen Meeres”, „Zeitschrift für slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft, Bautzen I 1862, II 1864). Na polski przełożyła jej rozdziały I-IV A. Starzyńska (tj. A. Majkowska, „Gryf” 1921-22), całość zaś O. Kolberg (ok. 1877, druk dopiero w 1965 r. w jego „Dzielałch wszystkich, t. 39. Pomorze”). Dziesięć lat temu wyszło ono w nowym tłumaczeniu N. Perczyńskiej – „Resztki Słowian na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego”, opracowanie i posłowie H. Popowskiej-Taborskiej i J. Tredera (1989).

Materiały do książki zbierał podróżując (w wieku 25 lat!) w sierpniu 1856 roku po Kaszubach, w tym 3-4 dni wespół z F. Ceynową, na którego poważnie wpłynął, „odkrywając” przed nim m.in. położenie (językowe i wyznaniowe) Słowińców i Kabatków w Pomeranii; odtąd Ceynowa używał już stale określenia „kaszeb-sko-słowjnskô mowa” (niektóre poglądy Ceynowy przejął z kolei Hilferding). Najwięcej czasu poświęcił Słowińcom z okolicy Gardna, Smoldzina i Kluk oraz Kabatom z okolicy Cecenowa i Główczy; wedle S. Ramulta: „wybił ku nim pierwsze okno od strony Słowiańszczyzny”. Poznał też Kaszuby nadmorskie do Chałup, okolice Kartuz, Kościerzyny i Bytowa. Nie interesowały go zupełnie, a szkoda, obserwacje natury turystycznej, napisał bowiem, że „podróż nie obfitowała we wrażenia spowodowane pięknem przyrody”.

Jako pierwszy uczony udokumentował wieloma tekstami (ok. 60, zwykle baśni, podania, pieśni, zagadki) i dobrze opisał mowę (wraz ze słownikiem liczącym 1800 wyrazów, w którym, poza 800 własnymi, też słowa z Mrongowiusza, Prejsa, Ceynowy i Lorka) Kaszubów, Kabatków i Słowińców (łącznie szacował ich na ok. 200 tys.), a także stosunki etnograficzne, położenie i zanikanie narodowości słowiańskiej (zwykle wraz z katolicyzmem) w różnych częściach państwa pruskiego (Pomeranii i Prus Zachodnich), włączając opisy charakteru narodowego i codziennego życia, też strojów, zwyczajów i obrzędów według T.L. Lorka, pastora w Cecenowie (1806-37) („Zur Charakterisierung der Kaschuben am Leba-Strome 1821”, w której ten m.in. twierdził, że Kaszuba „nie posiada ani oryginalnych przysłów, ani pieśni. Dlatego też nigdy nie śpiewa”); podać i wierzeń na podstawie zapisanych tekstów, ludowej medycyny i zabobonów za Ceynową.

Był zdania, że językowo Słowińcy, Kabatkowie i Kaszubi zasadniczo niczym się nie różnią, a „cała różnica polega na większym lub mniejszym zbliżeniu do języka polskiego”, co zależy od geograficznego oddalenia od narodu polskiego i stopnia zniemczenia. Wzbogacił stwierdzenie Prejsa, pisząc w rozdziale „Właściwości języ-

ka Słowińców i Kaszubów”: „Narzecze, którym się posługują te ostatnie resztki Słowian nadbałtyckich, ma najwięcej podobieństwa do języka polskiego. Znajdujemy też pewne ślady narzecza ludności słowiańskiej, zamieszkującej niegdyś brzegi Elby i zachodniej części Pomorza Bałtyckiego, w różnych zabytkach piśmiennictwa. Ślady te wskazują, że język dawnych słowiańskich mieszkańców Meklenburgii, Brandenburgii i Lüneburgskiego Wendlandu bliski był językowi polskiemu, ale miał także swoje charakterystyczne cechy. Owo świadectwo cech językowych, wsparte różnymi faktami historycznymi nasuwa myśl, że język polski i język nadbałtyckich Słowian stanowiły jedną wspólną gałąź mowy słowiańskiej, gałąź, którą można nazwać lechicką [laską – A.H.], a która rozdzieliła się na dwa narzecza, polskie i nadbałtyckie (...). Język Kaszubów i pomeranskich Słowińców to ostatnia żyjąca resztką narzecza nadbałtyckiego, które w średniowieczu zajmowało obszar co najmniej równy obszarowi narzecza polskiego”.

Poglądy Hilferdinga zaakceptował i rozwinął A. Schleicher (1821-1868), twórca klasyfikacji języków indoeuropejskich, w tym grupy lechickiej w obrębie zachodniosłowiańskich. Z kolei jego poglądy i Miklosicha (pamiętajmy: jednocześnie po części Mrongowiusza i Prejsa!) na grunt polski przeniósł L. Malinowski, pisząc, że jest „dość upowszechnione mniemanie, jakoby mowa kaszubska była po prostu narzeczem, odmianą języka polskiego. Tymczasem rzecz przedstawia się cokolwiek inaczej. (...) I właśnie mowa Kaszubów jest jedynym, dziś jeszcze żyjącym, z wielu narzeczy bałtyckich, czyli pomorskich, stanowiących przejściowe ogniwa od narzeczy polskich do połabskich. A jakkolwiek, w skutek położenia geograficznego i wpływów historycznych (Kościół, szkoła, literatura itd.), język kaszubski więcej od innych narzeczy połabskich zbliża się do polskiego, to zawsze bardzo wiele znamion (...) zapewnia mu charakter zachodniolechicki” („Biblioteka Warszawska” II 1875).

Poglądy Malinowskiego modyfikował i zaktualizował, po badaniach w

Luzinie w 1901 roku, jego uczeń, K. Nitsch, twórca naukowej dialektologii polskiej, rozdzielał zawsze „właściwości czysto polskie i właściwości kaszubsko-polskie” czy traktujący kaszubski jako „najodrębniejszy” z dialektów (zob. K. Nitsch, „Dialekty języka polskiego” (1915), wyd. 3., Wrocław 1957). Stanowisko to reprezentuje nauka polska do dziś, np. Z. Stieber, K. Dejna, H. Popowska-Taborska, przy czym ostatnia oddziela od tego kaszubszczyznę jako język piśmiennictwa, gdy Dejna traktuje to jako kaszubską stylizację literacką, poczynając od tłumaczenia Krofeja „Duchownych piosenki Marcina Luthera” (1586).

O Kaszubach Hilferding wyrażał się bardzo serdecznie: „Trudno mi mówić o Kaszubach bez współczucia: takie wrażenie wywarł na mnie ten lud. W szczególności rybaków słowińskich nie sposób nie pokochać”. Z kolei w stosunku do Polski był bardzo surowy, pisząc m.in.: „Mógłbym wykazać, jak wielki błąd popełniła Polska za czasów swej niepodległości w stosunku do tego nieszczęśliwego ludu, któremu geograficzne położenie zapowiadało (...) wspaniałą przyszłość. Polska władała tym krajem: co ona z niego zrobiła?” Prawdopodobnie w tej opinii utwierdził go Ceynowa, jak sugerują niektóre fragmenty jego książki. Hilferding postulował nawet zastąpienie alfabetu polskiego cyrylicą!

Książka „Ostatki Sławjan...” wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród uczonych i została bardzo pozytywnie przyjęta już w XIX w. m.in. przez R. Zmorskiego, O. Kolberga, L. Biskupskiego, S. Ramułta, A. Parczewskiego, J. Łęgowskiego i J. Karłowicza; ostatni w „Słowniku gwar polskich” (1900-11) traktuje ją jako podstawowe źródło dla kaszubszczyzny, a jedyne dla słowińszczyzny. Znał ją dobrze i propagował Ceynowa w „Skórbie”, przedrukowując (w swoim języku i ortografii) teksty słowińskie i kabackie. O. Kolberg uznał ją za „kamień probierczy do krytycznego ocenienia rozpraw, jakie by kiedykolwiek i przez kogokolwiek w przyszłości nadesłanymi być miały w tym przedmiocie do Akademii...” (1880).

W encyklopedii z 1878 roku czytamy: „Prace lingwistyczne H. [ilferdinga] niewiele mają wartości, w historycznych jest stronnym i namiętnym słowianofilem, wysoką za to wartość mają jego studia etnograficzne”. Negatywnie ocenił niedawno „Ostatki Sławjan...” historyk Z. Szultka, idąc śladem Niemców, spośród których O. Knoop pisał: „Nazwa Słowińcy to pansłowiański szwindel. Poza powiat łęborski nie rozciągała się ziemia Kaszubów...” Bronił pruskiej racji stanu, kiedy Hilferding wyrażał opcję słowiańską. Knoop był nauczycielem J. Łęgowskiego, który w żadnej swej pracy poglądów tych nie potwierdził. Notabene, postawie Niemców w tej kwestii ulegli chyba J. Karnowski i A. Majkowski, którzy unikali nawet wymieniania nazwy Słowińcy.

Dzięki Hilferdingowi problematyka kaszubsko-słowińska na dobre weszła do sławistyki, służąc konstruowaniu nowych teorii lingwistycznych, tj. o językach lechickich wśród zachodniosłowiańskich, którą pierwszy rychło zakwestionował S. Ramułt, mówiąc o związkach kaszubsko-łużyckich, gdy Mrongowiusz (za nim Prejs i Hilferding) mówił o dawnych związkach z połabszczyzną, a o nowszych zmianach pod wpływem polszczyzny. Teorii języków lechickich nie podzielał w swoim czasie F. Lorentz, współcześnie zaś, piszący ostatnio sporo o kaszubszczyźnie, polski uczony Witold Mańczak. Prace i dokonania Hilferdinga i Ramułta utrwaliły pozycję Ceynowy w sławistyce.

M.in. na podstawie następującej literatury: T. Bolduan, „Nowy bedeker kaszubski”, Gdańsk 1997; M.G. Bułachow, „Wastoczno-slawjanske jazykowidy. Bibliograficzeskij slawar”, t. 1, Mińsk 1976; „Encyklopedyja powszechna S. Orgelbranda”, Warszawa t. V 1878; H. Popowska-Taborska, „Głos językoznawcy w obronie Aleksandra Hilferdinga” (w:) „Studia z Fil. Pol. i Słow.” XXXI 1993; J. Pyzik, „Nieznany przekład dzieła Hilferdinga” (w) Zesz. Nauk. UJ. Prace Językozn. 29, 19708; Z. Szultka, „Postowie historyka do nowego wydania »Resztek Słowian na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego« Aleksandra Hilferdinga” (w:) „Studia z Fil. Pol. i Słow.” XXXI 1993; J. Treder, „Hilferding nadal wiarygodny” (w:) „Studia z Fil. Pol. i Słow.” XXXI 1993. ■

OBRAZKOWA MAPA HARDOWA

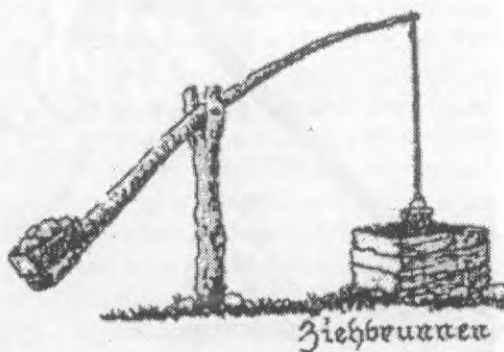
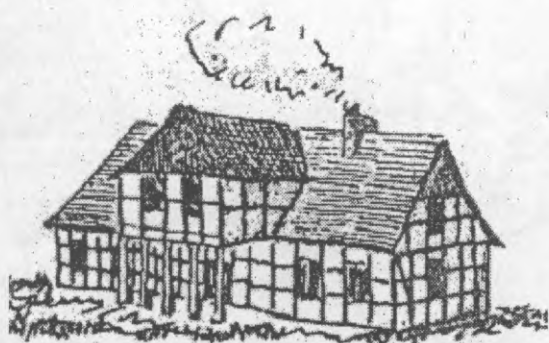
Elżbieta Szalewska

Niedawno natknęłam się na bardzo ciekawą pomoc dydaktyczną z lat 30. naszego wieku – mapę obrazkową dawnego powiatu słupskiego. Jest ona dziełem artysty malarza Rudolfa Hardowa, autora kilku opracowań dokumentujących miejscową sztukę plastyczną, rysownika-dokumentalisty budownictwa ludowego, cmentarnych pomników, znaków rzemieślniczych. Jego dziełem jest też obrazkowa mapa – jedyna zachowana w oryginale, sporządzona w technice rysunkowej i akwarelowej – rejencji koszalińskiej, czyli obszaru po powiat łęborski, bytowski i człuchowski na wschodzie, szczeciński i drawski na południu, a kołobrzeski i świdwiński na zachodzie.

Mapę powiatu słupskiego narysowaną w 1932 roku, wydano w 1935 w formie drukowanej. Naklejona na płótno, służyła jako pomoc do nauki w szkole. Obie mapy są ciekawym przyczynkiem do wiedzy o elementach przyrodniczych i kulturowych tej części Pomorza. Treść mapy ówczesnego powiatu słupskiego oraz opis do niej pozwalają przypuszczać, że miała służyć nauczaniu i utrwaleniu przez szkołę różnych ciekawostek o najbliższej okolicy. A że wiedza o regionie jego mieszkańców musiała być znaczna, świadczy komentarz autora mapy, że „nauczyciele pochodzący ze Słupskiego lub dłużej tu mieszkający



Klucken



Ziehbrunnen

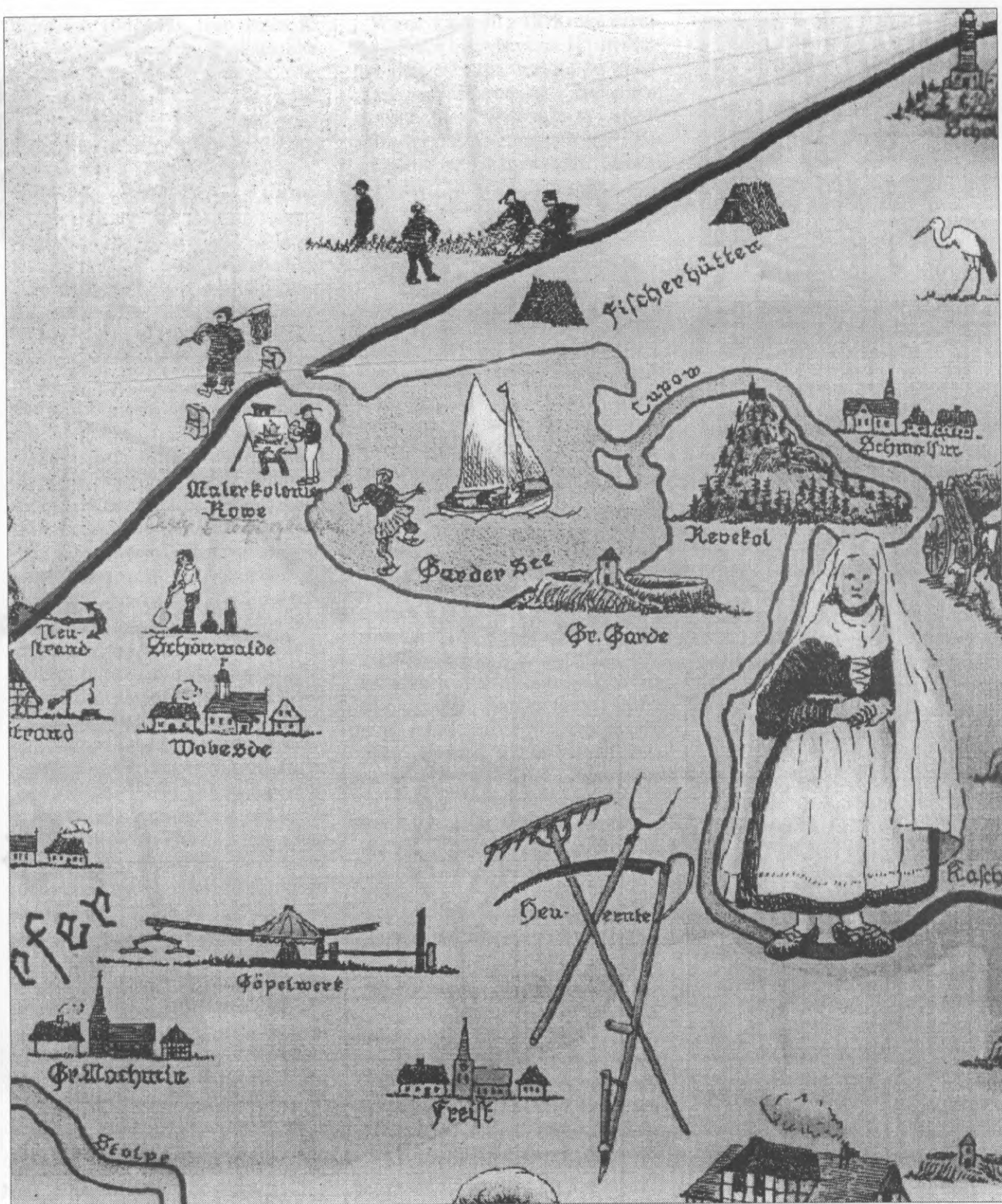


zrozumieją rysunki bez tekstowego objaśnienia”. Znam dwa egzemplarze tej mapy, z których jeden znajduje się w słupskim muzeum.

Mapa ukazuje topografię, główne rzeki, jeziora, drogi kołowe i kolejowe. Najważniejsze jej elementy to 138 rysunków przedsta-

wiających prehistorię, archeologię, folklor, sylwety wsi kościelnych, najciekawsze budowle, w tym latarnie morskie, huty szkła, papiernie, kuźnice, elektrownie wodne, fabrykę organów, kopalnię bursztynu, cegielnię, przyrodoznawstwo, zajęcia ludności, rękodzieło, kulturę, turystykę i sport w

miejscach ich występowania; (jest nawet Daniel Chodowiecki na koniu i wytyczona trasa, którą w 1773 roku zdążył w swej podróży przez Pomorze do Gdańska). W obecnym rozumieniu pojęć, jest to mapa krajoznawcza. Własną hierarchię ważności poszczególnych obiektów oddaje Hardow różną,



niezgodną ze skalą mapy, wielkością rysunków.

Już na pierwszy rzut oka uwagę przyciąga postać umieszczona w łuku rzeki Łupawy w okolicy

wzgórza „Revekol”. Obraz kobiety w białym fartuchu, ciemnym serdaczku i takiej samej spódnicy oraz białej, owiniętej wokół głowy chuście, podpisano „Kaschubin”.

Kaszubski folklor i miejsca jego występowania przedstawiono w kilku obrazkach.

W okolicy Głównicz i Cecenowa mamy niedźwiedzia i diabel-

skie skrzypki, z którymi chodzono w okresie świąt Bożego Narodzenia, w rejonie Czarnej Dąbrówki i Rokit zwyczaj chodzenia przebierańców, symbolizuje człowiek-koń nazywany Schimmel – Siwek. W tej samej okolicy zakończenie żniw świętowano obnosząc na dragu słomianą kukłę, nazywaną der Alte – Stary. W rejonie Damnicy i Skórowa autor umieścił weselnego rajka z charakterystycznym ozdobnym kijem. Do grupy elementów kaszubskich, jak zaznaczył autor w objaśnieniach do mapy, należą również metalowe, kowalskiej roboty krzyże, które znalazł na cmentarzach w starej Dąbrowie i Gałęźni Małej. Ciekawe jest wyjaśnienie Hardowa ich charakterystycznej formy; według niego był to symbol odwróconej do góry tarczy herbowej. W rejonie Dobieszewa umieścił autor symbolicznie prządkę przy kołowrotku z kądzielą. W komentarzu do mapy zaznaczył, że jeszcze na początku XX wieku w każdym wiejskim domu we wschodniej części powiatu robiono len i przedzono wełnę.

We wschodniej części powiatu mamy cepy, drewniane grabie, kosy i widły, a w okolicy Mikorowa ręczne obrotowe żarna z kamieniem.

Do obiektów wendyjsko-słowiańskich Hardow zaliczył dom podcieniowy z Bęcina (rozebrano go około 1970 r.). Domy z podcieniami budowano na Kaszubach, Żuławach i Warmii.

Opracowanie podobnej mapy, bądź wydania tej z szerszym komentarzem ułatwiłoby dzieciom poznanie przeszłości ziemi, którą zamieszkują. Język rysunków w połączeniu z kartografią jest najlepszym środkiem informacji. Obrazy lepiej informują niż słowa pisane czy mówione. Każdy z obrazków przedstawionych na omawianej mapie może być podstawą do opowiadania o najbliższej okolicy. ■

Stądka do wieczności

Marian Jeliński

Władis Jelowszczi wëzdrzało na to, że òn swòjich 87 lat wiele nie przeżëje. Na Wszëtcich Swiätich Władis bëł ju dosc krëchi, rãce miół zemné, ale jész wësztremòwóny wëchòdół bùten. Nie bawiało równak dlugò, bò w gòdnikù wżälë gò do bòlëcë do Gduńska.

Tam miół òn dosc dobri mól na sali, zarë sprzëti dwiérzi. Dzece, a téz wnucë przëjeżdżelë do Władisa ë dôwalë mù soczi z czòrnëch swiätëch janków ë jiné smaczci. Chòri robił so równak coròz słabszi, nodzi i stopë miół zemné, a przë tim jakos dzywno dichòł – jak to ùczali gòdają – bëło to dichanië Cheyne-Stokesa. Władis równak nie chcòł dac na so ë tak z lóžka wëchòdół, ale so baro mączil. Jegò syn przewiózł gò na wózyczkù, ale to mù nie pasowało. Jak to? Òn stòri żòłniërz z 39 rokù terò mò bëc wòżony na wózyczkù? Nié, to nié, czëj jem tak słabi, to ju lepi ùmrzec – gòdòł.

Czëj so przezdrzòł na mòonitor mòlëgò wëznika, tej so widzało elektrokardiogram Władisa – trzë linie, wnet prostë. Wëzdrzało lëchò. Jész prostszë robiälë so òne jak Władis òdłaczil klamerci ze specjalnëch knąpków przëlepionëch na piersach ë wëszedł z sali prëcz. Te klamerci miaëlë rozmajité farbë. Ta nówëzi na piersach z prawi stronë bëła czerwionò, z lewi stronë żòltò, pòd nią kòł serca bëła zelonò, we wëstrzòdkù biòłò, a nòbardzi z prawi stronë, dosc niskò, czòrnò.

Midzë kablama ë klamerkama na piersach wisòł na rzemiëniu bùrsztinowi kríž Władisa, co mù gò pòdrowa jegò brułka jak òn szedł na wòjnã. Władis jész mògl pamiätac, jak te klamerci bëlë przëpiätë, temù òn czasëj je òdłaczòł, a na to kòmpùter jakbë zwònil. Sostrë na niego z pòczat-

kù wadzëlë, ale pòtemù dalë jemù pòkù.

Przë tim wszëtczim doktor Gniba równak miół nòdzejã. Gòdòł òn, że Władis jész bądze żil, ale ju bądze słabi, że serce je baro wëbrëkòwónë. Niejednym równak so zdòwało, że w nogach szpitalnëgò lóžka Władisa stoja smierc, ale czëj òn ùklàkl a zaczął so mòdlëc, to smierc jakbë so òdsuwa dali. Władis ju nie mól smiercë strach, òn bëł ù kòmunii, miół òstatné namaszczenië. Równak jakos dzywno mù bëło, temù czasëj òn pitòł: Czemù më, stòri mùszimë z tegò swiata òdchòdac?

Władis bëł kòmbatantem ë miół dobrą rentã. Òbdzeliwòł nią dzecë ë wnuków – zle mù na swiece nie bëło. Dzecë òn miół dobré, dwùch sënów wachòwało przë nim na zmianã w bòlëcë. Nie bëło jima letkò zdrzec na tą wòjna żëcëgò ze smiercã, a bawilo to pòrã niedzël. Jakos w piérwszë swiãto Gòdów nòmlòdszi syn Władisa, katecheta z Bùkòwinë, Antoni, zameldowòł: Tata przeszedł stądka do wieczności. Ti, co to czële, rzeklë: Wieczny òdpòczink dój mù Panie!

Tak ùmarła głowa rodu. Òstało trzech sënów ë wiele wnuków. Nòmlòdszi z nich, téz Władis, miół chrzcënë w piérwszë swiãto Gòdów. Më bë mòglë rzec: Ùmarł Władis, niech żëje Władis!

Władisa Jelowszczëgò, wëwiozëlë z sali. Terò trzeba gò bëło òbùc w fejny ancuch i przërechtowac na tą òstatną drogã. Wnuk Władisa z Gdini miół do tegò wiòldzi szëk. Ten ùmarlëgò ùszëkòwòł, wnet jak te trzë Maryje Pana Jezësa do grobù. W trëmie Władis wëzdrzòł jak kawalër. Niejedny jaż gòdalë, że to jakbë leżòł jegò strzedny syn – téz Władis.

Trëma z ùmarłim wëstawilë w kaplëcë przë smãtòrzu. Ò wieczòrk schòdalë sã lëdze, żebë zmówic różeńc za ùmarlégò i wspomnãc téż ò jegò kam-ròce Hejnowsczim. Midżë lëchama bël w dludżim mantlu biznesmen ze Gduńska z bialką ë dzecama. Przëjachalë òni zachòdnym autem – czësti panowie. Przë nich doktor, chtëren téż tam bël, wëzdrzòł jak biédòk.

Pò różeńcu trzej sënowie Władisa stanãlë w rëdze przë òtemklë trëmie. Chwòcelë sã mòcno razem ë nòstarszy syn zaczął pòwtarzac jak gòdòł jich òjc: Żebë wa so pò mòji śmiercë nie klócała, powtòrzòł trzë razë – żebë wa so..., bò to miało bëc zapamiãtóné ë przëstrzegóné jak testameńt. Przëszlë pòtemù rozmajité chwilë, ale do te czasu braca sã nie klócã.

Na pògrzëb Władisa przëjachòł sòm kaszëbsczi senator, bëłë doktorze i rozmajité wòzné òsobistoscë. W kòscelë katecheta Antoni przëczëtòł tekst z Biblëji pò kaszëbskù. Jak ksądz na kòzanim rzekł: Ùmarł żòłniërz – to mòli wnuk Władisa, Mòrcën, przesunął na pòduszce medal – ten za 39 rok a téż Krżiż Òswiãcymsczi. Na pògrzëbie bëłë pszczelarze ze swòjim sztandarem, a ten co gò niòsł, stòri żòłniërz, szedł jész jak młodi pón.

Na grobie Władisa bëło wiele wińców, z szòrpama z kaszëbsczima tekstama, a téż baro wiele kwiatów. Pò pògrzëbie nòstarszy syn zaprosył gòsncy na pòłnië do gòspòdë. Ji szef Miòdk, wąsala, òfertowòł sã wkòł gòsncy a dobrze gòdòł. Bëła leżnosc do wespółminków, chòcbë ò tim, jak to czedes Miòdk przëbijòł na grëbégò dāba znak „Pòmnik rôdë”. To drzewo wele stoi do dzys, tak ja trwò òd pòkòleniów ród Jelowskich – stòri Władis je pòchòwóny, ale młodi ju rosce. To je tak, jakbë wëbiła nowò wietewka na stòrim dābie – gòdòł Miòdk – chtëren bël czedës lesnym.

Baro wëchwòłòł ùmarlégò Władisa, a znòł gò òd wiele lat, doktor Majkòwsczi. Pò nim gòdòł senator, chtëren, jak to colemało pòliticë robiã, baro sã spiesził, ale zdążył rzec: Władis Jelowszczi to bël baro dobri człowiek.

Krżiż Òswiãcymsczi Władisa je do òbezdrzeniò kòł Matczy Bòsczi Swjónowsczi, cobë nasza Kaszëbskò Królewò nie zabòcza ò tim bëlnym sënje naszzi zemi. ■

Bożena Szymańska

90 lat Klubu Studentów Kaszubów

Za początek istnienia Klubu Studentów Kaszubów w Wyższym Seminarium Duchownym w Pelplinie przyjmuje się rok 1908, kiedy to alumnem seminarium został absolwent chojnickiego gimnazjum Jan Karnowski.

Seminarium powstało w 1829 roku. Językiem wykładowym był wówczas niemiecki, zaś teologię moralną wykładano w języku łacińskim. Na przełomie XIX i XX w. klerycy narodowości polskiej (ok. 30 proc. kleryków stanowili Niemcy) zorganizowali silny ruch naukowy i kulturalny o wyraźnych tendencjach narodowych. Rozwinął się on w postaci różnych kółek, m.in.: historyczne, założone w 1889 r., koło seniorów filomacji chojnickiej, koło miłośników języka rosyjskiego (1900), kółko śpiewacze (1909), orkiestra dęta (1909). Członkowie kółek zrzeszeni byli w niezależnie działającej organizacji samokształceniowej, funkcjonującej półjawnie, a zajmującej się głównie historią i literaturą polską. W 1908 roku organizacja podzieliła się na dwie sekcje: społeczną, czyli socjologiczną, kaszubską, czyli Koło Kaszubologów (ówczesna nazwa), które powstało z inicjatywy Karnowskiego. Nie bez znaczenia było tu pewne rozczarowanie Karnowskiego studiami teologicznymi, co spowodowało wzrost zainteresowania i samodzielne studia nad historią, literaturą i sprawami społecznymi Polski, a następnie historią Pomorza, językiem kaszubskim.

Za zainicjowanie działalności koła uważa się wygłoszenie przez Karnowskiego dwóch referatów: „Przebieg i wynik badań nad językiem kaszubskim” i „Konieczność i potrzeba zajmo-

wania się sprawami kaszubskimi”. Koło liczyło wówczas 34 członków. Początkowo skupiono się na organizowaniu spotkań i odczytów o charakterze naukowym; poruszano tematy związane z językiem i regionem. Później prace koła ewoluowały poprzez spotkania naukowo-literackie do kulturalnych.

Działalność koła była dwukrotnie zawieszona. Raz w 1910 roku, kiedy to rząd pruski wydał ustawę o stowarzyszeniach i zgromadzeniach, zabraniającą wszelkiego rodzaju spotkań i funkcjonowania stowarzyszeń. Krótko przed wojną Franciszkowi Gruczy udało się wskrzesić koło, jednakże wojna znów przerwała jego funkcjonowanie, a po wojnie, w latach 50. spotykało się sporadycznie. Dopiero w 1958 r. Władysław Szulist wraz ze zmianą nazwy na Klub Studentów Kaszubów, zapoczątkował jego trwałą rozwój.

Klubowi sprzyjali wykładowcy seminaryjni, za czasów kleryckich jego członkowie, np. ks. A. Śliwiński, ks. R. Walkows, ks. J. Perszon, ks. W. Mering, ks. E. Stencel, jak również silne osobowości naukowe i ze świata kultury, np. ks. B. Sychta, ks. J. Pasierb, ks. F. Grucza, ks. K. Raepke, ks. J. Walkusz, ks. F. Jank.

Przynależność do grupy – klubu, kaszubska identyfikacja językowa pozwalają nie tylko łatwiej oprzeć się narastającej od czasu do czasu tendencji antykaszubskiej, przejawiającej się np. zrywaniem naklejek z Gryfem z drzwi, obraźliwymi przezwiskami, czy niedostępnianiem materiałów naukowych, ale przede wszystkim uczy życia społecznikowskiego i organizatorskiego. Młodszy członkowie klubu czerpią wzory od starszych kolegów, znajdują u nich pomoc naukową i duchową.

Otwartość członków klubu, interesujący, przepełniony zyczliwością i humorem sposób spędzania czasu na spotkaniach letnich, wanogach po Kaszubach, przyciągają do niego osoby nie będące Kaszubami.

Ta najprężniej działająca organizacja w seminarium spotkała się z zyczliwością i przychylnością władz seminaryjnych, tym bardziej że jej członkowie angażują się silnie w życie seminaryjne. Z ich inicjatywy alumni spotkali się z pisarzami, ludźmi kultury, profesorami uniwersytetów (Janem

Trepczykiem, ks. Bernardem Sychtą, Janem Piepką, ks. Antonim Pelplińskim, prof. Józefem Borzyszkowskim, prof. Karolem Górskim, prof. Edwardem Brezą, Lechem Bądkowskim, Stanisławem Pestką). Biorą też udział w przygotowywaniu Spotkań Pelplińskich, organizowanych przez WSD w Pelplinie i Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie.

Szczególnym wyrazem podtrzymywania tożsamości jest kultywowanie kaszubskich zwyczajów i obrzędów. W okresie bożonarodzeniowo-noworocznym członkowie KSK przygotowują tradycyjne Gwiżdże. Grupa przebrańców zwykle odwiedza biskupa, księży profesorów, siostry zakonne, Dom Pomocy Społecznej, Szkołę Podstawową, kolegów kleryków i zaprzyjaźnione osoby z miasta. Warto odnotować, że od kilku lat klerycy prezentują swoje Gwiżdże na przeglądzie zespołów jasełkowych w Sierakowicach oraz Gwiżdży w Stężycy, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Z innych cyklicznych imprez należy wymienić – andrzejkę, śledzik, ścinanie kani w noc świętojańską.

Klerycy współpracują ze zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim oraz klubem Pomorania. Są obecni na spotkaniach i imprezach zrzeszeniowych, uczestniczą w Wigilii w chęczy Pomoranców w Łączyńskiej Hucie, wspólnie organizują z klubem Pomorania wanogi.

Ważną formą działalności KSK, niestety, nie kontynuowaną obecnie, była twórczość naukowo-literacka. Referaty wygłaszane na spotkaniach samokształceniowych informują o działaniach klubu, wydarzeniach na Kaszubach, uroczystościach i rocznicach kaszubskich.

Ostatnim przedsięwzięciem edytorским klubu było pismo „Zwóńk Kaszëbsczi”, poświęcone sprawom kaszubskim i kociewskim. Pierwszy numer, sfinansowany przez ówczesnego rektora ks. Jerzego Buxakowskiego, ukazał się w grudniu 1986 roku. Po kilku latach pismo przestało się ukazywać. Obecnie artykuły sporadycznie pisane przez członków klubu zamieszczane są w periodyku seminaryjnym „Spojrzenia”.

Od 1996 roku odbywa się z inicjatywy KSK lektorat języka kaszubskie-



Gwiżdże



Podczas 70-lecia klubu. Pierwszy od lewej ks. inf. Franciszek Jank. Referat wygłasza prof. Kazimierz Jasiński. Fotografie z archiwum klubu

go. Lektor ma zezwolenie władz seminarijnych na dokonywanie wpisu zaliczeń wraz z roczną oceną do indeksów. Około połowa uczestników lektoratu to osoby nie mówiące po kaszubsku i często nie mające kontaktu z tym językiem. Swoją rolę w zajęciach argumentują potrzebą rozumienia języka społeczności w parafii kaszubskiej, do której mogą zostać posłani, co ułatwi im kontakt i szybką akceptację przez wspólnotę parafialną. Ma to swoje uzasadnienie, gdyż często najstarsi mieszkańcy wsi kaszubskich posługują się tylko rodzimą mową.

Swoistym przejawem tożsamości kaszubskiej jest głoszenie przez alumnów homilii po kaszubsku podczas praktyk przygotowujących do sakramentu kapłaństwa, co spotyka się często z podziękowaniami parafian. To właśnie byli klubowicze we wszystkich częściach Kaszub odpowiadając od kilku lat msze „kaszubskie”. Wśród nich wyróżnia się ks. Jacek Dawidowski w Nowej Karczmie, ks. Marian Miotk w Gniewinie, ks. Roman Skwiercz w Gdyni, ks. Waldemar Naczek w Gdańsku, ks. Władysław Szulist w Lipuszu, ks. Edmund Skierka w Gdyni.

Po podziale diecezji w 1992 roku znaczna część północnych – kaszubskich terenów podlegających biskupstwu w Pelplinie, została przydzielona archidiecezji gdańskiej. Wpłynęło to na mniejszy napływ kleryków pochodzenia kaszubskiego do pelplińskiego seminarium, co odzwierciedla się mniejszymi szeregami członków klubu. Nie wpłynęło to jednak na zawężenie działalności, w pewnym sensie nawet przyczyniło się do jej usystematyzowania i wykreowania nowych zadań, np. pogłębiania wiedzy historycznej, literackiej i językowej.

Praca członków klubu i ich zaangażowanie nie tylko w sprawy kaszubskie sprawiły, że kaszubszczyzna nie tylko w WSD jest dostrzegana ale i w całym mieście.

Odnotować należy również, że na zaproszenie klubu w seminarium zaczęły bywać osoby świeckie, co obecnie nikogo nie dziwi, jednakże jeszcze kilka lat temu było fenomenem.

Klub dla wielu alumnów jest dobrą szkołą życia, a zdobyte w nim umiejętności procentują w późniejszej pracy kapłańskiej. ■

Józef Borzyszkowski

Kaszubolodzy

W dziejach i współczesności ruchu kaszubskiego ważną rolę odegrała spora grupa księży, ukształtowanych w pelplińskim seminarium duchownym. Ta, jedyna do 1904 roku, szkoła wyższa na Pomorzu nad Wisłą, szczyci się także Klubem Studentów Kaszubów, założonym w roku akademickim 1907/8 przez Jana Karnowskiego. Koło Kaszubologów, bo taka była pierwotna nazwa, najdynamiczniej działało do jego zawieszenia w 1910 roku.

Pelpliński Klub Studentów Kaszubów nieustannie nawiązuje do tradycji założyciela, obchodząc ostatnio uroczystości swoje 90-lecie, a przed laty 70-lecie istnienia. Te rocznicowe przedsięwzięcia to dziś pewna tradycja. Z kolei twierdzenie o ciągłości pracy klubu – koła z niewielkimi przerwami do 1939 roku jest sporą przesadą, może po części mitem, gdyż poza relacjami śp. ks. prałata Franciszka Gruczy, trudno znaleźć jakieś historyczne świadectwa działalności koła – klubu po jego zawieszeniu w 1910 roku.

Klubowi – jego współczesności i dziejom – poświęcono już sporo publikacji, nawet pracę magisterską. Referat jej autora – ks. Tadeusza Łackiego rodem z Mściszewic – był częścią uroczystości 90-lecia, w czasie której zwróciłem uwagę na potrzebę powrotu do źródeł, do pierwotnych tradycji koła – klubu, do samokształcenia, do samodzielnych studiów spraw kaszubskich, do pilnego śledzenia tego, co w nauce i życiu kaszubsko-pomorskim się dzieje. Zdarza się bowiem, że wielu wybitnych absolwentów pelplińskiego seminarium i członków klubu kojarzy jego pracę z pięknym obyczajem – widowiskowym obchodem Gwiazdki i Gwidzów, odwiedzinami mieszkań profesorów i przyjaciół klubu w samym Pelplinie, albo też dawniej praktykowanym zwyczajem namaszczenia nowo wybranego prezesa, zwanego królem, jałdalnym olejem...

Wśród wychowanków, byłych członków klubu z lat powojennych, są m.in. księża biskupi – pelpliński Jan Bernard Szłaga i elbląski Andrzej Śliwiński. W licznych gronie byłych prezesów byli śp. ks. Kazimierz Raepke i Bolesław Lewiński, a do dziś aktywni na różnych polach życia wspólnoty kaszubsko-pomorskiej, nie tylko w duszpasterstwie są m.in. ks. prałat Henryk Cyrzan z Chojnic, ks. emeryt Władysław Szulist z Lipusza i ks. dr Jan Walkusz, profesor na KUL, także historyk i poeta kaszubski. Oni to chyba jako prezesi najpoważniej nawiązywali do tradycji założyciela koła Jana Karnowskiego.

Trudno tu w krótkim wprowadzeniu zasygnalizować ogół spraw, ogrom dokonań i wciąż nie wykorzystanych możliwości choćby z powojennych lat pracy klubu. Mam nadzieję, że znajdą one odbicie w przygotowywanej do druku pracy magisterskiej ks. Tadeusza Łackiego. Nowe czasy wymagają nowych form działania, ale trudno o rzeczywistość owocną innowacji bez znajomości dokonań i doświadczeń. W historii klubu – Koła Kaszubologów i ruchu kaszubsko-pomorskiego wciąż najpiękniejszą postacią, najwybitniejszym umysłem, człowiekiem z wizją i siłą, konsekwencją jej praktycznej realizacji, pozostaje założyciel Jan Karnowski. Stąd do jego refleksji i wspomnień warto sięgać nieustannie, każde pokolenie od nowa z nadzieją odkrycia nowych impulsów i pomysłów do współczesnej pracy. Przypisane mu tytuły: „mózgu młodokaszubów” i „sumienia regionalizmu kaszubskiego” nie są bowiem tylko swoistą kurtuazją historyków, lecz wyrazem uznania dla jego ponadczasowych dokonań i idei.

J. Karnowski o Kole Kaszubologów napisał między innymi bardzo ciekawe stronicie, zawarte w „Mojej drodze kaszubskiej”. W jego spuściźnie, przechowywanej w rodzinie jej dziedzica i opiekuna śp. Feliksa Marszałkowskiego w Kartuzach znajduje się m.in. publikowany dalej tekst „Pogląd historyczny na pracę kaszubolodzką w latach 1908-1910”, adresowany do jego przyjaciela i następcy na stanowisku prezesa koła ks. Bolesława Piechowskiego. Z rąk F. Marszałkowskiego, który systematycznie przepisywał na maszynie rękopisy J. Karnowskiego, otrzymałem kopię tego dokumentu, którą już

dawniej zamierzałem udostępnić czytelnikom „Pomeranii”. Jej publikacja w czas 90-lecia Klubu Studentów Kaszubów w Pelplinie niech będzie formą przypomnienia pierwszych działań i zachętą do nowych dla współczesnych kleryków, jak też upamiętnienia – utrwalenia naszej pamięci o wielkich poprzednikach.

Z samego klubu – koła poza J. Karnowskim i B. Piechowskim jest to przede wszystkim ks. Wacław Wojciechowski (1885-1937), syn kołodzieja rodem z Chełmna nad Wisłą, filomata, współtwórca koła i Towarzystwa Młodokaszubów, swego czasu wikariusz m.in. w Borzyszkowach, Byszewie, Świeciu i Wielu, a kuratus w Dziemianach i proboszcz w Radzynie, autor wielu ważnych do dziś artykułów, opublikowanych na łamach „Gryfa” (m.in. „O pierwszych zadaniach »Gryfa«” i o Gdańsku – jego stołeczności oraz roli w ruchu kaszubsko-pomorskim). Jest on przykładem ogromnego zaangażowania w sprawy kaszubskie ludzi z innych ziem Pomorza, nie będących Kaszubami z krwi i kości, ale z ducha. Warto i trzeba o nich pamiętać, szukać podobnych ludzi – przyjaciół w otaczającym nas świecie.

Następca J. Karnowskiego ks. Bolesław Piechowski (1885-1942) rodem z Osówka koło Starogardu Gdańskiego ze starego kaszubskiego rodu spod Brus i Wiela, związanego nie tylko z Piechowicami w parafii Dziemiany, poza ruchem młodokaszubskim zapisał się w dziejach ruchu narodowego w okresie zaboru i Narodowej Demokracji w 20-leciu międzywojennym.

Ksiądz Piechowski jest autorem m.in. „Historii Fordonu. Ku uczczeniu 500-letniego nadania miejscowości praw miasta” (Bydgoszcz 1924) i nieznanych szerzej prac literackich, publikowanych pod pseudonimem Bolesław Leliwa. Jako zasłużony proboszcz lubiszewski przeszedł gehennę obozów koncentracyjnych Stutthof, Oranienburg i Dachau, gdzie, według ks. W. Gajdusa, był „ojcem i najlepszym bratem więźniów”, a zginął w tzw. transporcie inwalidów 12 VIII 1942 roku.

W publikowanym tu tekście J. Karnowskiego, uświadamiającym nam znaczenie samodzielnych studiów, samokształcenia i dyskusji oraz przyjaźni z kolegami, ich współmyślenia i popar-

cia nowych idei (a był to czas, że „opróć mnie i Wojciechowskiego nie było innych zadeklarowanych pracowników na tej niwie” – pisze autor) występują jeszcze dalsze nazwiska autorów referatów: Roszczynialski, Cysewski, Grabowski, Heyke, Czapiewski, Gabrylewicz. Każdy z nich to ciekawa i niejedna karta w kaszubsko-pomorskich dziejach. Poza Gabrylewiczem, szczegółowe ich biogramy znajdziemy w „Słowniku biograficznym kapłanów...” ks. Henryka Mrossa, a ostatniego także w „Słowniku biograficznym Pomorza Nadwiślańskiego”. Stąd też o każdym tylko „jedno”, może przydługie nawet zdanie.

Ks. Edmund Roszczynialski (1888-1939) – rodem z Łężyc koło Wejherowa, syn rodziny ziemiańskiej, zasłynął jako zasłużony proboszcz wejherowski, autor książeczki o kalwarii, działacz ruchu oporu. Zamordowany przez hitlerowców w Cewicach koło Łęborka.

Jan Cysewski (1888-1925) – syn oberżysty z Brus, stąd szczególnie bliski J. Karnowskiego, był wikariuszem w Oliwie i katechetą gimnazjum w Starogardzie. Zmarł na zawał serca podczas wakacji w Męcikale.

Sylwester Ciemlada-Grabowski (1887-1939) z Grabowa pow. Kartuszy, filomata, kaszubolog, był m.in. wikarym w Czersku, Wąbrzeźnie, Koronowie i Chmielnie, a w czasie wojny ka-

pelanem, także potem w wojsku polskim, zostając jako proboszcz parafii garnizonowej w Toruniu podpułkownikiem. Później był tam katechetą, a następnie proboszczem w Sypniewie i działaczem Stronnictwa Narodowego. Zginął zamordowany w październiku 1939 roku.

O ks. Leonie Heykem – katechecie i poecie – przypisanym do grona trójcy najwybitniejszych wśród młodokaszubów, także zamordowanym w 1939 roku, rozpisywać się nie trzeba.

Następny z kolegów J. Karnowskiego to Józef Czapiewski (1885-1940) z rodu Złoszów, syn rolnika, urodzony w Małych Chełmach koło Brus i Czarnowa, filomata i miłośnik języka polskiego. Po latach wikariatu, od 1918 roku przez 20 lat był proboszczem i działaczem narodowym w Swornegaciach, potem w Raciążu koło Tucholi. Aresztowany jesienią 1939, był więziony w Kamieniu, Stutthofie i Oranienburgu, gdzie zginął w 1940 roku.

Ostatni z przywołanych, Brunon Gabrylewicz (1885-1935), syn chałupnika, rodem z Zawady koło Świecia, studiując po Pelplinie teologię w Monasterze przeniósł się tam na prawo, którego nie ukończył. Prowadził bujną i aktywną działalność w różnych miejscowościach, zwłaszcza w latach 1918-1920, w okresie walki o przyłączenie Pomorza do Polski (przeciwstawiając



Goście i członkowie na uroczystości 70-lecia klubu

się wówczas A. Majkowskemu), a później na Warmii (w czas plebiscytu i potem, kiedy współorganizował Związek Polaków w Niemczech), skąd wrócił na Pomorze, osiadając ostatecznie w Grudziądzu. Zmarł wskutek tragicznego wypadku.

Jak widać, każdy z kolegów J. Karnowskiego w Kole Kaszubologów przeżył i zdziałał wiele, jednakże pokoleniu temu los zgotował tragiczny z reguły finał – męczeńską śmierć z rąk niemieckich nazistów – hitlerowskich okupantów. Sprawa kaszubsko-pomorsko-polska, której służyli, nie znalazła bowiem minimum uznania, tolerancji u przekonanych o swojej wyższości rasowej i narodowej Niemców, niejednokrotnie sąsiadów – współmieszkańców pomorskiej ziemi.

Aspekt polsko-niemiecki sprawy kaszubskiej, tak jak w przeszłości, jest aktualny nadal, choć w zupełnie innym wymiarze, bo dobrosąsiedzkich stosunków, wspólnego dziedzictwa kultury, wzajemnego poznania i współpracy – w ramach wspólnoty kościołów chrześcijańskich i państw Wspólnoty Europejskiej. Ważną częścią tych wspólnot na Pomorzu jest kaszubszczyzna i odpowiedzialni za nią Kaszubi-Pomorzanie, również duchowni kształceni dziś już nie tylko w murach pelplińskiego seminarium, ale także w Gdańsku Oliwie, Koszalinie i Szczecinie, współkształtujący postawy ludzi naszego regionu. Stąd warto i trzeba także o tych sprawach dyskutować w środowisku studentów i duchownych – nie tylko Gdańska czy Pelplina. W tej dyskusji ciekawym materiałem wyjściowym zawsze będą teksty Jana Karnowskiego i jego kolegów, ich referaty zachowane w spuściźnie pierwszego prezesa, przewidziane od lat – przygotowywane do druku w serii „Pisma Jana Karnowskiego”. Nie od rzeczy jest zwrócenie uwagi na fakt, iż o zawieszeniu na 30 i więcej lat pracy Koła Kaszubologów w Pelplinie zdecydował brak wśród profesorów człowieka gotowego do pełnienia roli opiekuna. Dziś opiekunów nie brak, ale brak może głębszej międzypokoleniowej wymiany myśli, a przede wszystkim codziennej współpracy. Tej współpracy służą niewątpliwie przywołane już jubileusze, przypominające odżywcze źródła, cenne nie tylko dla historyków. ■

Jan Karnowski

Pogląd historyczny na pracę badawczą w latach 1908-1910

Jan Karnowski napisał te uwagi dla swego następcy w klubie, kłeryka Bolesława Piechowskiego. Rękopis opracowania znajduje się w spuściźnie Feliksa Marszałkowskiego w Kartuzach. Zachowano oryginalną pisownię.

Abyś mógł się orjentować w przesłanych papierach dotyczących kaszubologii, określe Ci w krótkości historyczny przegląd mej pracy i myśli na tej dziedzinie.

W zimowym semestrze pierwszego roku mego pobytu w seminarjum przez czytanie roczników Towarzystwa Naukowego w Toruniu zostałem naprowadzony przypadkowo niejako na kwestję językową na Kaszubach. Czytałem chciwie rzeczy odnoszące się do tej sprawy, a zawarte w Rocznikach. Owocem tych studiów był odczyt: A. Przebieg i wynik badań nad językiem kaszubskim, który się wprawdzie podobał lecz dyskusji rzeczowej nie wywołał żadnej, gdyż oprócz mnie nikt wtenczas tych rzeczy ani w przybliżeniu nie znał.

Przez rozmowy prywatne z kolegami zostałem naprowadzony na myśl założenia klubu kaszubskiego w seminarjum. W wakacjach zamierzaliśmy urządzić w tym celu pogadankę, którą miał aranżować Wiecki (Wielkanoc 1908). Nie przyszła do skutku. Natomiast poruszyłem myśl założenia klubu pielęgnowania rzeczy kaszubskich na komersie abiturjentów w Brusach, zresztą bez skutku najmniejszego.

Wróciwszy do Pelplina zająłem się na dobre przeprowadzeniem raz powziętej myśli. Zwoływałem prywatne pogadanki. Dla jednej takiej wypracowałem pracę: B. Konie-

czność i potrzeba zajmowania się sprawami kaszubskimi. Poparcie myśli znalazłem u kol. Wojciechowskiego zresztą jego zachęcie i pomocy zawdzięczam wogóle od wagę w podniesieniu kwestji kaszubskiej.

Wszystko co się pracuje w seminarjum przybiera zaraz jakiś cel polityczny, narodowy, raczej każdą pracę w tej perspektywie się ocenia. To się stało też z kaszubologją.

Sprawa kaszubska, która u mnie wynikała ze studji językowych miała nasamprzód charakter naukowy, bez właściwego określenia celu politycznego. Przy pogadankach prywatnych stawiano mnie pytanie konkretne: Jakie korzyści przynieść ma zajmowanie się pracami kaszubskimi naszej sprawie polskiej na Kaszubach?

Określenie politycznej sprawy pracy kaszubskiej stało się trudnem, i spotkało się z opozycją. Wychodząc ze studji językowych, oparłem wnioski polityczne na sprawie językowej. Idąc pierwotnie za Ramułem, argumentowałem tak:

„nauka dowiodła, że gwara kaszubska jest osobnym językiem. Z tym faktem trzeba się liczyć, nie nie pomoże nam dalsze negowanie tego. Trzeba postawić kwestję kaszubską tak: Wprawdzie język odrębny jest – ale to jeszcze nie daje podstawy do utworzenia odrębnej narodowości kaszubskiej. Przeciwnie – narodowością Kaszuby jest narodowość polska, gdyż istnieje 1/ wspólność historyczna, 2/ geograficzne położenie, 3/ szczupłość szczepu kaszubskiego, 4/ panowanie języka polskiego i kultury polskiej na Kaszubach od dawna, 5/ wspólność idei narodowej, 6/ Wspólna niedzela”.

Zarzucono mi, że przeciwnie zajmowanie się sprawami kaszubskimi i pielęgnowanie mianowicie języka może doprowadzić do separacji narodowej.

A konto tego opracowałem nowy odczyt: C. O potrzebie zajmowania się sprawami kaszubskimi. Tutaj abstrahuję zupełnie od rzeczy kaszubskich, jako kaszubskie jedynie wykazuję, że zajmowanie się nimi ze stanowiska polskiego jest konieczne potrzebne. Odczyt ten wygłosiłem na

bilce. Nie było opozycji. Nie podałem żadnego programu pracy, jedynie chodziło mi o to, by uzyskać placet na studia kaszubskie i poparcie materialne na zakupno książek. Co się uzyskało.

W semestrze letowym oprócz tego odczytu inauguracyjnego więcej odczytów nie było. Przed wakacjami odbyło się zebranie kaszubologów i ustalono tematy do opracowania, z których żaden nie został opracowany. Zorganizowano tutaj kaszubologów w osobny wydział.

W następnym semestrze zimowym zaczęła się chwiać sprawa kaszubska. Przyczyny: 1/ Oprócz mnie i Wojciechowskiego nie było innych zdeklarowanych pracowników na tej niwie. 2/ Ja w Bogdankach języcznych rozwijałem pogląd polityczny kaszubski opozycji bardzo nieprzyjemny. Powiedziałem, że możliwym może być, że Kaszubi stworzą osobną kulturę, ale narodowość i ideały polityczne mogą być jedynie z Polakami wspólne. Stworzenie Kaszubom swojskiej kultury, która by im wystarczyła wzięto mi za złe; stąd opozycja – chociaż tego zdania oficjalnie nie wypowiedziałem. W celu wyjaśnienia tej kwestii zasadniczej było zebranie, gdzie sam z Wojciechowskim walczyłem z opozycją bez niczyjego poparcia. Mój program streściłem w Manuskrypcie d. p. t. Myśli, który tam przeczytałem. Bez namacalnego skutku.

Drugie zebranie lepiej przygotowane, doprowadziło do pożądanego celu. Oświadczyłem, że 1/ jedynie chodzi tu o rozpatrzenie spraw kaszubskich ze stanowiska polskiego, 2/ że jest ogólne przekonanie, że takie rozpatrzenie kwestji kaszubskiej jest potrzebne. Kto się z tym nie godził miał swoje zdanie zaznaczyć. Nikt. Opozycja ucichła. Kierunek dalszej pracy w kaszubologii streściłem w manuskrypcie, który tam przeczytałem.

W tym programie tkwiła trudność, gdyż na pewnym miejscu miano się zajmować sprawami, w których wszyscy by udział brać mogli. Sprawy naukowe miały pozostać zadaniem specjalistów. Faktycznie takiego kierunku praca nasza nie przybrała, lecz przekształciła się w pracę



Bolesław Piechowski

czysto fachowo-naukową, z celem 1/ produktywnym, 2/ informacyjnym. Na to naprowadziła nas organizacja naszej pracy. Gdyż wtenczas była myśl tkzw (tak zwanej) Decentralizacji pracy (projekt kol. Wojciechowskiego). Pierwszym wydziałem była kaszubologia, 2 socjologia. Ustrój znany. Określenie prac tych wydziałów było niejasne. To doprowadziło do konfliktu przewodniczącego kaszubologii z Bilką w następnym roku. Odkąd weszła kaszubologia na tory fachowej pracy naukowej, odtąd zyskała grunt pod nogami.

Przez dalsze studia naukowe o sprawie kaszubskiej doszedłem do przekonania – po 1/, że kultura ludowa kaszubska jest organicznie spójna z ogólnopolską kulturą, 2/ że mowa kaszubska nie jest odrębną w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zadania te rozprowadziłem w odczytach:

1/ Dzisiejsze pojęcie o kwestji kaszubskiej,

2/ Dawniejsze i dzisiejsze zdanie o stosunku językowym Pomorzan do Polaków.

Praktyczne wnioski tych dochodzeń rozwinałem w pracy: Wciele nie idei młodokaszubskiej.

II Opracowane tematy wygłaszanie

I. semestr zimowy 1908

1. O kształceniu młodzieży kasz.



Jan Karnowski

w duchu narodowym. Karnowski

2. Stosunki rolne na Kaszubach. Roszczynialski

3. Pogląd na literaturę oryg. kaszubską. Cysewski

II. semestr letowy 1909.

1. Dzisiejsze pojęcie o kwestji kasz. Karnowski

2. O przemyśle kasz. Piechowski

3. Pielgrzymka do Wejherowa i Kalwarii. Grabowski

4. Etymologia nazwy Kaszuba. Heyke

5. Wakacje na Kaszubach. Czapiewski

III semestr zimowy 1909/10

1. Szkice o Helu. Karnowski

2. Szerzenie idei młodokaszubskiej. Piechowski

3. Oświata na Kaszubach. Grabowski

4. Motywy literatury ludowej Słowinów. Gabrylewicz

5. Administracja wojew. pomorskiego za czasów polskich.

6. Banki i spółki polskie na Kaszubach. Cysewski

Specjalne na bilce.

1/ Dawniejsze i dzisiejsze zdanie o stosunku językowym Pomorzan do Polaków.

2/ Germanizacja Pomorza w XI-XVIII. stuleciu

3/ Kaszubi a rząd pruski w ostatnich 80 latach. Piechowski.

1910. ■

POLSKI TYDZIEŃ W NOWEJ ZELANDII

Józef Borzyszkowski



Kaszubska Polonia w Nowej Zelandii to część naszej historii, wciąż w Polsce mało znana. Z ważniejszych publikacji najbardziej interesująca jest znana także u nas, informowała o niej też „Pomerania”, praca J.W. Pobóg-Jaworowskiego „History of the Polish settlers in New Zealand 1776-1987”, (Warsaw 1990), zawierająca bogactwo faktów i informacji, dotyczących także dziejów konkretnych rodzin.

Równie skromna, jak nasza wiedza o Polonii w Nowej Zelandii, jest wiedza tamtejszych potomków kaszubsko-polskich osadników o kraju ich ojców – Polsce i Pomorzu, o Kaszubach i Gdańsku.

Dzisiaj informujemy o przebudzeniu Polonii w Nowej Zelandii i to po części za sprawą ludzi i impulsów związanych z Gdańskiem. W ostatnich latach, na fali zainteresowań swoimi korzeniami, wzrosła także świadomość pochodzenia polskie-

go w Nowej Zelandii. Potomkowie pierwszych, XIX-wiecznych osadników odwiedzają stary kraj ojców, by wzbogacić swoją wiedzę o korzeniach. Szczególną rolę w przebudzeniu polskim w Nowej Zelandii odgrywają przedstawiciele najmłodszej, choć bardzo nielicznej, emigracji z lat 80. Jest wśród nich rodzina Kłobukowskich – Wojciecha, lekarza weterynarii oraz Cecylii, kiedyś nauczycielki, absolwentki Uniwersytetu Gdańskiego. Panią Cecylię gościliśmy w milenijnym roku gdańskim. Objechała i odwiedziła wówczas różne zakątki, w tym także Pelplin, z myślą m.in. o realizacji pierwszego Tygodnia Polskiego w Nowej Zelandii.

Pod koniec 1998 roku otrzymałem sporą porcję informacji prasowych, fotografii i przeróżnych pamiątek – dokumentację przebiegu Polskiego Tygodnia (27 IX – 4 X 1998) w regionie Otago. Polski Tydzień inaugurowały uroczystości kościelne z udziałem lokalnego biskupa, w tym wystawa dotycząca historii kościoła oraz piknik. W następnych dniach otwarto m.in. wystawę historyczną w muzeum w Dunedin, odbył się koncert muzyki polskiej, miejscowe radio nadawało rozmowy z przedstawicielami społeczności polonijnej, a na różnych spotkaniach dyskutowano o historii, dziedzictwie i wymianie kulturalnej oraz o przyszłości stosunków polsko-nowozelandzkich. Nie zabrakło występów zespołu Lublin, prezentującego tańce i pieśni ludowe starego kraju. Opublikowano sporo okolicznościowych artykułów, przygotowano przeróżne pamiątki, łącznie z koszulką z orłem. Obchody zakończyła druga uroczystość kościelna, z udziałem polskiego duszpasterza ks. Zenona Broniarczyka z Wellington. C. Kłobukow-

ska, przesyłając materiały towarzyszące obchodom, m.in. napisała:

„Okres przygotowań zmobilizował nas wszystkich, tydzień był wspaniały, niezapomniany, a najważniejsze jest to, że teraz potomkowie pierwszych pionierów mówią o sobie »jestem polskiego pochodzenia, z Kaszub«, »jestem z tego bardzo dumny«. W ich sercach zaiskrzyła się na nowo isierka polskości i to chyba było najważniejsze. Utworzyliśmy Polish Heritage of Otago and Southland Chirito Trust, którego celem jest utrzymanie i popularyzowanie polskości w NZ regionu Otago i Southland. Trust zrzesza głównie potomków pierwszych pionierów, Polonię z okresu II wojny światowej i Polonię lat 70.-80. Myślimy o nawiązaniu współpracy z Polską, kaszubskim regionem. W tej chwili przygotowujemy się do obchodów 100-lecia zbudowania polskiego kościoła w Otago. Kościół został zbudowany przez pierwszych osadników z Kaszub i kiedyś był miejscem nie tylko spotkań religijnych, ale także miejscem spotkań pierwszych pionierów. Wysyłamy teraz życzenia świąteczne z informacją o polskim Bożym Narodzeniu po angielsku (większość nie mówi po polsku, jest to 5-6 pokolenie). (...) W przygotowaniu jest kasetę wideo z obchodów, to prześlę ją Panu jak najszybciej. Wspominam spotkanie w Instytucie Kaszubskim, Polskę i »bliskie spotkania trzeciego stopnia z ziemią kaszubską«, mam nadzieję, że będzie to początek więzi NZ – Polska – Gdańsk. Załączam serdeczne pozdrowienia od nas wszystkich.

Cecylia Kłobukowska”.

Pozdrowienia te obejmują także redakcję i czytelników „Pomeranii”, która od czasu do czasu trafia do Nowej Zelandii, stanowiąc źródło wiadomości o współczesności i historii naszej ziemi – kolebki przodków tych, którzy przygotowali tydzień, świętowali Obchody Polskiego Osiedlenia i powołali związek, którego cele bliskie są także nam, a przy naszej współpracy mogą być pełniej realizowane. Życzymy pomyślności i satysfakcji w tej pracy. ■

WIATR OD MORZA

Czesław Skonka

Pod takim hasłem odbędzie się V Kongres Krajoznawstwa Polskiego – Gniezno 2000. Poprzedzą go regionalne sejmiki krajoznawcze. Jeden, o zasięgu ogólnopolskim, pod hasłem „Wiatr od morza – Gdańsk '99”, odbędzie się 18-20 czerwca br. w Gdańsku. Komitetowi honorowemu tej imprezy przewodniczy marszałek Sejmiku Województwa Pomorskiego Jan Zarębski. Jednym z tematów gdańskiego sejmiku, przygotowanym przez Regionalny Ośrodek Programowy Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego jest „Krajoznawstwo – źródłem tożsamości narodowej”, a ważnym elementem tego krajoznawstwa jest literatura krajoznawcza. Pomorze Nadwiślańskie, a szczególnie ziemia kaszubska, mają bogaty dorobek w tej dziedzinie. Warto z okazji zbliżającego się sejmiku i kongresu krajoznawczego zastanowić się nad tym, czy krajoznawstwo, w tym nasza literatura krajo-

znawcza, są nadal źródłem tożsamości narodowej.

Najpierw zacytuję fragment artykułu pisarza wybrzeżowego Franciszka Fenikowskiego, zamieszczonego w „Jantarowych Szlakach” (1974): „Okazało się, że słuszność miał generał gubernator Beseler, kiedy podczas wojny zakazywał rozpowszechniania książeczki Chrzanowskiego „Z Wybrzeża i o wybrzeżu», jako zagrażającej całości niemieckiego cesarstwa. Ona bowiem powiodła do szturm na Pomorze naszą literaturę. Nie można było przypuszczać, że ułani polscy pławić będą swe konie w Bałtyku. Pisarze zdobyli tę ziemię jeszcze przed żołnierzami.

Ciekawe to zjawisko powtórzyło się zresztą przed ostatnią wojną, kiedy Wasylewski, Kossak-Szczucka, Wańkowicz i Kisielewski wyznaczyli swymi książkami granice Polski, potwierdzone później przez układ poczdamski.

Żeromski, pierwszy z tropicieli Smętka, wcześniej rozpoczął literackie zdobywanie Pomorza. Już przecież w »Walgierzu« wysnuł z fantazją wizję króla polskiego uczującego na nadbałtyckich wydmach (...).

Właściwie aż do dziś patrzymy na skrawek naszego wybrzeża od Gdańska aż po Piaśnicę oczyma Żeromskiego”.

Przed Bernardem Chrzanowskim było wielu polskich pisarzy i dziennikarzy, którzy przed żołnierzami „zdobywali” wybrzeże dla Polski oraz swoimi opracowaniami wpływali na kształtowanie tożsamości narodowej. Należeli do nich: Tadeusz Krępowiecki, Wincenty Pol, Jadwiga Łuszczewska-Deotyma, Józef Ignacy Kraśzewski, Oskar Kolberg, Henryk Sienkiewicz, Konstanty Damrot, Zofia Hartwich i Adolf Nowaczyński.

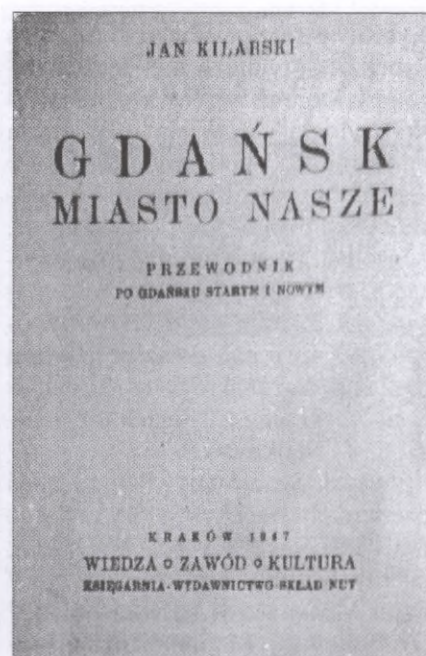
Szczególną rolę odegrał Bernard Chrzanowski z Poznania, który napisał i wydał pierwsze w języku polskim przewodniki po kaszubskim brzegu. Były to: „Poprzez Kępę Oksywską z kroniką oliwskiego klasztoru w ręku” (1906 r.), „Na kaszubskim brzegu” (1910 r.), „Nad polskim morzem” (1912 r.) oraz „Z wybrzeża i o wybrzeżu” (1917 r.). To jego wydawnictwa, a szczególnie przewodnik wydany w 1910 roku i przesłany Stefanowi Żeromskiemu, w walnym stopniu przyczynił się do tego, że ten



Bernard Chrzanowski



Aleksander Majkowski





Stefan Żeromski

wybitny pisarz przybył na wybrzeże i spędził tu twórczo pięć letnich sezonów, które zaowocowały „nadmorską trylogią” – „Wisłą”, „Wiatrem od morza” i „Międzymorzem”.

Chrzanowski wspomagał kaszubskie czasopismo „Gryf”, zachęcił dr. Aleksandra Majkowskiego do napisania artykułów o Kaszubach do czasopisma „Ziemia”, pomógł mu utworzyć pierwsze nad polskim morzem muzeum kaszubskie w 1913 roku w Sopocie. O jego zasługach tak napisał dr A. Majkowski:

„Wszak Szan[owny] Pan zrobiłeś dla Kaszub więcej, niż który z nas rodowitych Kaszubów (...) Nie wiem, jak my, Kaszubi, się wywdzięczymy Panu Mecenasowi za taką opiekę” (A. Bukowski, *Regionalizm kaszubski*. Poznań 1950).

Wydawnictwa Chrzanowskiego były bardzo ważnym źródłem tożsamości narodowej i nie zapomnieli o nim Kaszubi. W 1986 roku jego prochy sprowadzono ze Skolimowa i pochowano na cmentarzu w Gdyni Oksywiu, gdzie też odsłonięto poświęcony mu nagrobek. Poza tym, w 1987 roku Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku ustanowił medal Bernarda Chrzanowskiego Poruszył Wiatr od Morza, wręczany za zasługi dla Kaszub osobom spoza regionu.

Ważnym źródłem kształtowania tożsamości narodowej był A. Majkowskiego przewodnik z 1913 roku „Zdroje Raduni. Przewodnik po Szwajcarii Kaszubskiej”, w którym napisał: „turysta polski nigdy nie powinien zapominać, że jest w swoim, a nie w obcym kraju. Powinien zatem wszędzie i zawsze mówić po polsku, nie kupować nic w sklepach, ani mieszkać w hotelach czy karczmach, w których nie chcą języka polskiego rozumieć (...).

Wyjątek czynić trzeba jedynie w urzędach, na poczcie i na kolei. Choć i tam bardzo często się napotyka na urzędników Kaszubów, którzy by radzi z bratem z dalszych stron pomówić w ojczystym języku, jednak w obecności innych urzędników nie mogą się odezwać po polsku, jeżeli się nie chcą narazić na denuncjację i ewentualne przesiedlenie do czysto niemieckich stron”.

W czasach II Rzeczypospolitej ukazało się sporo przewodników i innych wydawnictw o wybrzeżu i Pomorzu, będących źródłem tożsamości narodowej. Ich autorami byli: Mieczysław Orłowicz, Alfred Świerkosz, Jan Kilarski, Józef Staśko, Jerzy Smoleński, wspomniany już Bernard Chrzanowski i inni. W jednym z wydawnictw – „Przewodniku po Wejherowie i okolicy Józefa Staśko, czytamy: „Bo czyż mamy jakiegokolwiek poezję polską o tej krainie pomorskiej? Czy znalazł się jaki muzyk, który by uchwycił melodię pieśni kaszubskiej? A więc przybywajmy na brzeg polski! Ale nie tylko po to, by krążyć między plażą a pokojem, ale też na to, by zwiedzić jego krainę, by poznać ją i jej lud, a może przyczynić się do utrwalenia tam polskości i

rozszerzenia świadomości o przybrzeżu pomorskim wśród krewnych, przyjaciół, znajomych i stowarzyszeń”.

Jerzy Smoleński, w książce „Morze i Pomorze”, opisując dzieje, piękno i zabytki tego regionu, podkreśla: „Poznanie własnego morza i polskiego ludu kaszubskiego stało się potrzebą dla całego naszego społeczeństwa. Z młodzieży naszej, zadomowionej już na pobrzeżu, wyrasta pokolenie, dla którego morze stanie się składnikiem pojęcia Ojczyzna równoważnym z ziemią”.

Po II wojnie światowej, tę pionierską działalność wydawniczą kontynuowało kilku przedwojennych i wielu nowych autorów. Byli to: Jan Kilarski, Mieczysław Orłowicz, Franciszek Mamusza, Zygmunt Brocki, Bolesław Polkowski, Izabella Trojanowska, Tadeusz Bolduan i wielu innych. W pierwszym po wyzwoleniu przewodniku po Gdańsku „Gdańsk – miasto nasze”, wydanym w 1947 roku, jego autor – Jan Kilarski napisał:

„Zadanie to ważne i zaszczytne. Pragnąłbym, by z wiedzą o Gdańsku czytelnik polski mógł wziąć z tej książki umiejętność czytania treści murów tego miasta, murów nasiąkniętych prawem Polski, bo wyrosłych z pracy polskiego rolnika i robotnika, by umiał związać się sercem z tym »miastem naszym«”.

Moim zdaniem nasza literatura krajoznawcza może i powinna być nadal źródłem kształtowania tożsamości narodowej. Dlatego też powinno się rozwinąć szeroką działalność w dziedzinie popularyzacji tych wydawnictw, szczególnie na terenie szkół, wśród młodzieży. Należy organizować szkolne sesje na temat wiedzy o poszczególnych miastach i regionach Polski, z referatami przygotowywanymi i wygłaszanymi przez uczniów oraz organizować z tej okazji wystawy wydawnictw krajoznawczych. Warto też organizować w szkołach spotkania z autorami literatury turystycznej i promocje nowych wydawnictw o tej tematyce. Niewątpliwie na sejmiku i kongresie krajoznawczym zgłoszonych zostanie wiele innych wniosków, dotyczących funkcji literatury krajoznawczej jako źródła tożsamości narodowej. ■

„CZASOPIS”

Józef Borzyszkowski

„Czasopis” – „Białoruskie pismo społeczno-kulturalne, poświęcone zagadnieniom współczesności, historii, literatury i sztuki, miejsca człowieka w świecie”, redagowany w Krynkach-Białymstoku, jest najważniejszym pismem Białorusinów w Polsce. Publikowane są w nim teksty po białorusku i po polsku. Te drugie nawet przeważają, bo, jak mówi z żalem Sokrat Janowicz, jest to odbicie rzeczywistości – dla niektórych rodzin białoruskich w Polsce język polski jest macierzystym.

Wydawcą „Czasopisu” jest Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich. Redaktorem naczelnym – Jerzy Chmielewski, Sokrat Janowicz sekretarzem redakcji. Pismo ma również liczne grono stałych współpracowników, w tym przedstawicieli Grodna i Mińska. Adres redakcji: Villa Sokrates, ul. Sokółska 9, 16-120 Krynki, zdradza, iż dominuje w niej duch Sokrata najwybitniejszego ze współczesnych pisarzy białoruskich w Polsce, mającego w swoim życiorysie niemało wspólnego z Kaszubami, znanego też z publikacji w „Pomeranii”. Jego dziełem jest nowa białoruska instytucja, swoiste centrum kultury, dom pracy twórczej – Villa Sokrates, zlokalizowana w jego rodzinnym domu w Krynkach. Zanim przyjdzie czas na przedstawienie kaszubskiego życiorysu białoruskiego pisarza, warto bliżej zaprezentować „Czasopis”.

W nr 2/99 Jerzy Chmielewski, przywołując 10 lat rozwoju „Czasopisu”, od nowego roku wychodzącego w nieco zmienionej formule, odnotowuje incydentalne głosy czytelników, jakoby pismo straciło swoje białoruskie oblicze na rzecz dialogu polsko-białoruskiego, i tak pisze: „Żeby nie było już wątpliwości, zmieniliśmy poprzednią definicję. Obecny zapis, myślę, bardziej odzwierciedla rzeczywistość, wypracowaną w ciągu niemal dziesięciu lat, formułę »Czasopisu«. Jesteśmy białoruskim (redagowanym przez Białorusinów i troszczącym się o swą,

szeroko pojętą, białoruskość) czasopismem literatury faktu, ale mieszkamy w Polsce, wśród Polaków, co narzuca nam naturalne związki z polskością (niestety, także polonizację), czego wyrazem chociażby przewaga tekstów polskojęzycznych”. Odnotowuje też inne głosy, m.in. „dyskryminowanych” i zastrzega, że o nich pisać nie będzie, natomiast redakcja zajmie się postępującą degradacją gospodarczą regionu, zubożeniem zwykłych mieszkańców. Tymczasem są już ich prawosławni „obrońcy”, w czym nie byłoby nic złego, gdyby „nie byli właścicielami firm i nie mieszkali w pałacach z basenami”, gdyby nie byli „na bakier z prawosławną moralnością, nakazującą życie w skromności i pokorze”.

W tymże numerze w ciekawej rubryce „Opinie, cytaty” przywołana została wypowiedź Sokrata Janowicza z „Gazety Wyborczej” (5 I 99), dotycząca m.in. wojewody białostockiego, a zawierająca stwierdzenie „stosunek pani Łukaszk i pana Łukaszenki do Białorusinów jest dla mnie identyczny”. – To musi wzbudzać i u nas niepokój!

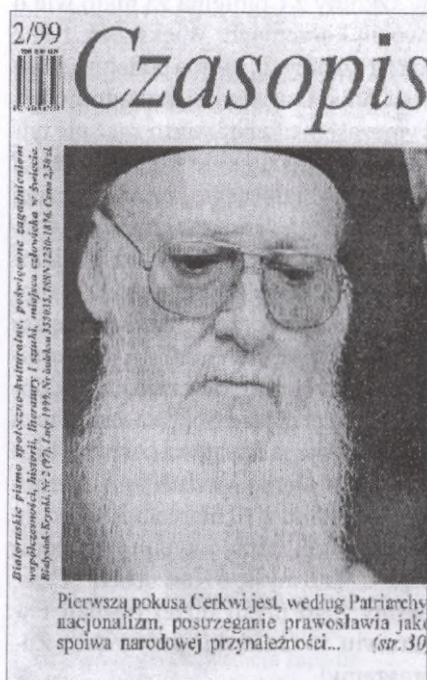
Dalej w numerze stała rubryka Sokrata Janowicza „Bycie sobą”. Tym razem analizuje stan duchowy i świadomość Białorusinów w Polsce, pod pewnymi względami zbliżone do kondycji Kaszubów. W numerze są też: tekst białoruski S. Janowicza, reportaże, artykuły wspomnienia, fragmenty powieści, listy. Wśród nich artykuł Barbary Toporskiej „Polityka polska wobec Białorusinów”, a właściwie jego obszernie fragmenty, bo jest to przedruk z „Polityki” z 26 XII 1998. Warto się z nim zapoznać, by tym samym lepiej znać i rozumieć nie tylko białoruskie, ale i polskie dzieje.

W nr 3/99, poza ciekawym komentarzem naczelnego, dotyczącym nowej rzeczywistości wojewódzkiej i polskiego patriotyzmu (jego wewnętrznego zróżnicowania, jak i postaw tych, którzy nami rządzą), wieloma innymi tek-

stami, znajduje się bardzo ciekawa rozmowa z pisarką Tamarą Bałdak-Janowską o sprawach narodowości i świadomości, o małej i dużej ojczyźnie, w kontekście przemian zachodzących wewnątrz społeczności mniejszościowych i w całej Europie. Rozmowa ta, podobnie jak w poprzednim numerze z patriarchą Konstantynopola, koresponduje z inną, wcześniejszą, opublikowaną w nr 11/94 z 1998 roku. Tamże w tekście zatytułowanym „Wanożnik na kaszubskich stęgnach” ze Stanisławem Klimowiczem, laureatem Skry Ormuzdowej, rozmawiała Helena Kozłowska-Głogowska.

Czytelnicy „Pomeranii” znają osiągnięcia kaszubskie S. Klimowicza, a niektórzy może także rodziny Kostuchów w Chmielnie, skąd ma on żonę, dzięki której w dużej mierze mocno się w kaszubszczyźnie zakorzenił. Warto zwrócić uwagę na jego opinię dotyczącą istotnych różnic między Sokółszczyzną a Kaszubami. „Na Sokółszczyźnie rodzice starają się zapewnić dzieciom jak najlepszą edukację. Tutaj uważa się, że dzieci powinny umieć czytać i pisać. I tyle.

Kilka lat traktowano mnie jak obcego. Stosunek Kaszubów do ludzi z naszych stron nie jest przychylny, uważają nas za zaniedbanych biedaków bez kultury. Pamiętam pierwszy rok mojego wędrowania z młodzieżą po Kaszubach. Wówczas na sesji rady



gminy jeden z jej członków oświadczył, że moja praca z dziećmi sprowadza się do „łazenia do polach, niszczenia upraw i odrywania dzieci od prac gospodarskich”. Ci ludzie nie mogli zrozumieć, że ktoś może bezinteresownie poświęcać własny czas cudzym dzieciom. Ksiądz z ambony też krzyczał, że odciągamy dzieci od wiary. Zmienił nieco zdanie, gdy zobaczył, że chodzę do kościoła. Po czterech latach ten sam radny, który oskarżał mnie o niszczenie pól, dziękował mi za zaangażowanie społeczne. Jego syn okazał się zapalonym etnografem”.

Warto nad tym sygnałem głębiej się zastanowić. Zapewne wielkie tu uproszczenie, ale i sporo prawdy. Smutkiem równie wielkim napawa odpowiedź rozmówcy na pytanie: – Jak po latach postrzegasz swoją rodziną wieś?

„Połowy wsi już nie ma: ludzie wymarli lub wyjechali za łatwiejszym chlebem. Jedyna rozrywka to sklep z piwem. Przychodzą tu młodzi ludzie, którzy nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Obok świetlicy jest remiza strażacka, którą policja kazała zabić deskami, bo miejscowi pili tam na umór. Boli mnie, że moje strony rodzinne są tak bardzo zaniedbane, przede wszystkim zaś – że tak mało wiem o swoich korzeniach”.

Może, i na pewno, Kaszuby nie są tak zaniedbanym regionem jak Sokółszczyzna, jednak i u nas nie tylko belny szkolny z Chmielna za mało wie o swoich korzeniach. Większość, także wśród szkolnych, nie ma podobnego zapisu nawet w swojej świadomości. Tymczasem trzeba i warto znać nie tylko swoje kaszubskie korzenie, ale i drugich – białoruskie, co w znacznej mierze osiągnęli Sokrat Janowicz i Stanisław Klimowicz. Warto też wzajemnie i nieustannie się poznawać, wzbogacać, także poprzez kontakty między redakcjami – „Pomeranii” i „Zasopisu”, na co cierpliwie czekam, podobnie jak na przyjazd Sokrata Janowicza do Gdańska i naszą kaszubsko-białoruską, w Domu Kaszubskim, rozmowę. W liściku z 10 marca Sokrat m.in. pisze: „Regularnie czytam »Pomeranię«. Często myślę o Kaszubach”. Czas, byśmy Jego myśli bliżej poznali i w zdrowiu w Gdańsku przywitali. Zapraszamy!

POSEŁ LECHISTANU JESZCZE NIE PRZYBYŁ

Czesław Skonka

Gdzież nie było naszego Józefa Wybickiego? Z jakimż on i jego „Mazurek Dąbrowskiego” nie wiążą się państwem Europy? Jego związki i „Pieśń Legionów Polskich we Włoszech” sięgają nawet dalekiej Turcji! Z państwem tym wiążą nas stosunki liczące blisko tysiąc lat. Polska już w 1414 roku nawiązała stosunki dyplomatyczne z Osmanską Portą, a w 1777 roku król Stanisław August Poniatowski utworzył stałe poselstwo polskie w Turcji. Państwo to nigdy też nie uznało rozbiorów Polski. W tym okresie, podczas obrad parlamentu tureckiego, podobno zawsze był wolny fotel dla przedstawiciela Polski, a przewodniczący parlamentu, witając dyplomatów miał wypowiadać słowa: „Poseł Lechistanu jeszcze nie przybył”, przypominając, że Turcja oczekuje wskrzeszenia Polski i przybycia posła polskiego. Nawet jeżeli jest to legenda, to i tak odegrała ona bardzo ważną rolę w podtrzymywaniu Polaków na duchu.

O zetknięciu się Józefa Wybickiego z Turkami pisze Stefan Majchrowski, autor powieści historycznych o wybitnych Polakach. W książce „Opowieść o Józefie Wybickim” (Warszawa 1973) opisuje wydarzenia dotyczące konfederacji barskiej 1768 roku, której Wybicki był kosyliarzem generalnym. Po upadku pierwszej siedziby konfederatów (Bar na Podolu), musieli oni uciekać przed wojskami rosyjskimi i królewskimi w stronę ówczesnej granicy z Turcją. Liczono, że konfederatom pomoże Turcja. A oto fragmenty książki dotyczące przeprawy przez Dniestr i pobytu na terenach będących wówczas pod panowaniem tureckim:

„Wybicki nie zdobył miejsca w łodzi, ale zawdzięczając pomocy Łukowicza udało mu się wpełznąć na chy-

boczącą tratwę i przedostać na turecki brzeg.

Nieprzyjaźnie ich tam przyjęto. Ludność, podburzona przez emisariuszy przedtem wysłanych ze Lwowa, odmawiała konfederatom strawy i dachu nad głową. Wody im żałowano. Kto nierozważnie oddalił się samopas, szukając pożywienia, z reguły nie wracał. Trzymano się więc gromadą i wędrowano o głodzie pod Chocim sprzedając, co dało się spieniężyć, dla kawałka chleba.

Joachim Potocki wyruszył naprzód, baszę chocimskiego przycisnął do muru, nastraszył odwołaniem się do Konstantynopola i wyjednał dla Polaków bezpieczeństwo i opiekę. Część uchodźców zatrzymała się w Chocimiu, część w pobliskich wioskach. Czekało na odmianę losu, na wystąpienie Turków. Potocki wysłał posła do Konstantynopola, żeby wszcząć układy z sułtanem.

Wybicki zatrzymał się z Marianem Potockim w Filipowicach, małej wiosce pod Chocimem. Znalazł tu przytułek u tureckiego gospodarza, który umieścił go w szopie na podwórzu. I w Filipowcach rozchorował się. Leżał w gorączce, nie był w stanie zwlec się z posłania.

– Już nie wstanę – mówił do Łukowicza. – Śmierć mnie zabierze z tego barłogu.

Nawet Marian Potocki, nie tracący nigdy ducha, nie potrafił go natchnąć optymizmem. A ludzono się jeszcze, że wystąpienie Turcji radykalnie zmieni położenie. Odpowiedź z Konstantynopola rozwiała te nadzieje: sułtan toleruje obecność konfederatów na swym terytorium – i to do czasu – ale nie zamierza z nimi pertraktować”.

Do Turcji zawędrowała też „Pieśń Legionów Polskich we Włoszech”. Z Polakami, którzy, prześladowani przez władze Rosji, musieli opuszczać kraj i osiedlać się we wsi Adampol. Wioska ta – dawny „Cingâne Konak” – „Cygański Dwór” – usytuowana jest około 40 kilometrów od Stambułu, po azjatyckiej stronie Bosforu. Założycielem osady był książę Adam Jerzy Czartoryski – przywódca monarchistycznego skrzydła emigracji polskiej, z siedzibą w Hotelu Lambert w Paryżu. Nazwę wsi nadano na cześć tego fundatora (książę Adam – Adampol). Jako pierwsza, myśl założenia osady polskiej w Turcji poddała Ludwika Śniadecka (córka wybitnego uczonego – Jędrzeja Śniadeckiego i bratanica Jana Śniadeckiego). Pionierem narodzin i rozwoju Adampola był Michał Czajkowski – główny reprezentant Polaków na wschodzie z ramienia księcia A. J. Czartoryskiego (poselstwo rosyjskie domagało się ciągle wydalenia go z Turcji). Obecna nazwa – Polonezkoy.

Za oficjalną datę narodzin wsi przyjęto 3 sierpnia 1856 roku (przywilej sułtana tureckiego, zwalniający od podatków żołnierzy polskich pragnących pozostać w Turcji). Mieszkało tu stale kilkanaście rodzin, ale w okresie zaborów naszego kraju, przewinęło się przez Adampol kilka tysięcy rodaków, zagrożonych rosyjskimi więzieniami lub zsyłką na Sybir. Wielu z nich przyjmowało na stałe lub przejściowo islam, gdyż wówczas władze rosyjskie nie miały prawa domagać się ich wydalenia z Turcji (dla dobra Polski, na islam przeszedł gen. Józef Bem). Adampol, aż do 1918 roku, to symboliczny skrawek wolnej Polski. Wygnancy polscy otrzymywali tu dach nad głową i wyżywienie, a także zapomogi, fundowane przez księcia Czartoryskiego. Stąd szli prowadzić dalszą działalność niepodległościową lub osiedlać się w innych państwach. Gdy w Stambule zmarł Adam Mickiewicz, administrator Adampola – Michał Czajkowski zaproponował, by jego zwłoki spoczęły na tutejszym cmentarzu (spoczywa tu wielu zasłużonych dla Adampola Polaków, w tym wspomniana Ludwika ze Śniadeckich Sadyk).

W Adampolu był i jest kościół katolicki. Odbywały się tu zajęcia szkolne dla dzieci polskich, ale w domach

prywatnych. Budynek szkoły polskiej otwarto dopiero w 1914 roku (w 1926 r. władze tureckie zlikwidowały szkołę polską i zamieniły ją na turecką, zagrożono nawet karą za naukę języka polskiego w domach prywatnych. Adampolscy Polacy organizowali uroczystości z okazji rocznic narodowych. Śpiewano na nich patriotyczne pieśni, a w tym: „Boże coś Polskę...” i „Mazurka Dąbrowskiego”. O tym, jak popularna była „Pieśń Legionów...” świadczy następujące wydarzenie z czasów I wojny światowej, opisane przez Jerzego S. Łątkę w książce „Adampol” (Kraków, 1981): „Częstymi wówczas gośćmi wsi byli oficerowie i marynarze z niemieckich krążowników »Breslau« i »Goeben«, stacjonujących na życzenie rządu tureckiego w Dardanelach. Wieś im się spodobała. Pewnego razu przyszła niemiecka orkiestra. Ujęci gościnnością gospodarzy marynarze proponowali, że zagrają im wszystko, czego sobie tylko zażyją. Patriarcha wioski Ignacy Kępka poprosił wtedy o »Mazurka Dąbrowskiego«. Wśród Niemców zapanowała konsternacja, niemniej spełnili tę prośbę”.

Z faktu tego wynika wniosek, że żołnierze niemieccy znali melodię „Mazurka Dąbrowskiego”, może dlatego, że byli wśród nich Polacy z Wielkopolski, Pomorza i Śląska, przymusowo wcieleni do armii pruskiej.

Jerzy S. Łątka wspomina, że osobiście poznał jednego z najstarszych mieszkańców Adampola – Józefa Biskupskiego (prawnuka Mateusza Biskupskiego herbu Niesobia z Ostropy koło Gliwic). W maju 1975 roku, mając prawie sto lat, zaśpiewał mu pieśni polskie, w tym bezbłędnie „Mazurka Dąbrowskiego”, przy akompaniamencie małej harmonii, (gdy był młodszy, grał na skrzypcach). Zmarł w wieku stu lat.

W Adampolu osiedlali się głównie mężczyźni – byli żołnierze. Potrzebne im były żony. Podejmowano więc różne inicjatywy. Na przykład księżna Sapieżyńska zwerbowała i wiozła do Turcji trzydziści młodych Polek. Ale gdy opuszczały granicę polską tak je nastraszyło, że dziewczęta z płaczem wróciły do domów, a tylko trzy najważniejsze dotarły do Adampola (jedna z nich dożyła prawie stu lat). Niektórzy adampolanie sami szukali żon.

Ówczesne czasopismo „Kraj” w jednej z informacji podało, że żony tutejszych Polaków „należą do różnych narodowości, a mianowicie: jest 8 Polek, 2 Rusinki, 1 Włoszka (rzymsianka), 1 Gruzinka, 1 Ormianka i 1 Cyganka”.

Adampolanie zawarli też związki małżeńskie z kilkoma Greczynkami, Niemką i Austriaczką, natomiast nie żenili się z Turczynkami, których dobrze strzegali ich rodzice. Aby kupić dziewczynę na żonę – za wysoką cenę – chrześcijanin musiał przyjąć islam i dać się obrzezać.

Podczas wojny krymskiej, którą od 1854 roku Turcy prowadzili z Rosją, władze tureckie zezwoliły na utworzenie polskich oddziałów wojskowych na swoim terenie (Michał Czajkowski, gen. Józef Wybicki i Władysław Zamoyski byli inicjatorami i organizatorami tych jednostek). Jak podaje wybitna autorka książek o „Mazurku Dąbrowskiego”, Dioniza Wawrzykowska-Wierciochowa („Mazurek Dąbrowskiego”, Warszawa 1977), narodziły się tu i śpiewane były trawestacje tej pieśni. Była nią „Pieśń uchodźców zjednoczonych”, powstała w 1854 lub 1855 roku i zawierająca następujące słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy, / Cośmy niezgodą stracili, zgodą odbierzemy, / Serce do serca, do ramienia ramię, / Na naszym czele Jagiellonów znamię”.

Niestety, wojna krymska zakończyła się podpisaniem w 1856 roku traktatu pokojowego w Paryżu. Prysły nadzieje Polaków, że wojna ta, w wyniku osłabienia Rosji, przyczyni się do odzyskania przez Polskę niepodległości. Nie spełniły więc zadania organizowane w Turcji polskie formacje wojskowe. Wtedy to przyjaciel Polaków, przedstawiciel Wielkiej Brytanii w Turcji lord Stratford de Redcliffe, by pocieszyć naszych rodaków, napisał wiersz „Poland is not yet lost” („Jeszcze Polska nie zginęła”). A oto jego fragmenty:

Kiedy los Polskę na zabój ugodził,
A dzwon pogrzebny już lament rozwodził
Z domu do domu i z grodu do grodu,
Nim ostatnie tchnienie wyzionęła,
Ktoś tam się ozwał: Jeszcze nie zginęła!

Nie, nie zginęła! – szło echo narodu.
Nie, nie zginęła, tylko lica zbłądłe
I oczy wrzącym czuwaniem zapadłe
Znoszonych tortur wyjawiają znoje.

recenzje

TADEUSZ LINKNER

„DOBROGÒST I MIŁOSŁAWA”

W pierwszych dniach kwietnia tego roku ukazała się kaszubska epopeja ks. dr. Leona Heykego „Dobrogòst i Miłosława”, przygotowana przez Stanisława Jankego. Długo nie mogła doczekać się edycji, bo najpierw przeszkodziła wojna, a potem nie było nią zainteresowane gdańskie Wydawnictwo Morskie. Prawdą bowiem jest, że książki mają swoją historię. Podobnie było z „Remusem” Majkowskiego, chociaż czas nie obszedł się z nim tak okrutnie, jak z utworem Heykego. Kiedy w roku 1923 w „Pomorzu”, literackim dodatku do „Dziennika Gdańskiego”, zaczęły się ukazywać pierwsze pieśni „Dobrogòsta i Miłosławy” niejakiego Hugo Léwona, bo taki obrał sobie wtenczas Heyke literacki pseudonim, nikt nie przypuszczał, że cały utwór ukaże się dopiero po ponad siedemdziesięciu latach, wszak ostatnia „spiewa” pierwszej części, nosząca tytuł „Miłosława”, została tam opublikowana w roku 1925. Po trzech latach nakładem autora wydano drukiem w Toruniu w 1928 roku część drugą „Wojewoda”, też publikowaną wcześniej w odcinkach w „Mestwinie” (1926-28), dodatku do „Słowa Pomorskiego”. Natomiast trzecią część, mającą wiele mówiący tytuł „I sę stało”, publikowano najpierw (1931-1933) w „Gryfie”, a potem w „Kaszubach” (1938-1939), regionalnym dodatku do „Ga-

zety Kartuskiej”. Wybuch II wojny światowej nie pozwolił już wydać jej ostatnich pieśni, ostały się zapewne w maszynopisie, lub może nawet w rękopisie, i zaginęły. Ze ta licząca ponad 200 stron kaszubska epopeja w całości została ukończona, potwierdzają słowa listu Heykego, pisanego 1 czerwca 1939 do Andrzeja Bukowskiego: „W połowie maja ukończyłem, raczej dokończyłem przepisywanie choranek o Dobrogòście i Miłosławie. Wyjdą w »Kaszubach«”. Ósma pieśń ukazała się w lipcowym numerze kartuskiego pisma, ale ponieważ było ich w poprzednich dwóch częściach po dwanaście, więc należy przypuszczać, że i trzecia miała tyleż części, a więc zaginęły cztery pieśni.

Wydanie poematu wymagało sporego zabiegu. Najpierw trzeba było dotrzeć do jego treści rozproszonych w odcinkach po różnych czasopismach. Tu jednak znacznym ułatwieniem było skrupulatne ich skatalogowanie i spisanie na ponad 250 kartach maszynopisu przez Leona Ropplę, który starał się o publikację „Dobrogòsta i Miłosławy” już w roku 1970 w Wydawnictwie Morskim. Ale wtenczas edycja poematu nie została zrealizowana. Kiedy więc Stanisław Janke zainteresował się życiem i twórczością Heykego i wydał o nim biograficzną książkę „Poeta z kaszubskiej nocy” (1998), można było się spodziewać, że nie pominię twórczości księdza poety i pojejmie wydanie „Dobrogòsta i Miłosławy”. „I sę stało” – można by powiedzieć słowami tytułu ostatniej części utworu.

Pół roku po wydaniu książki o Heykem, ukazał się nie tylko w jego redakcji poemat „Dobrogòst i Miłosława”, ale i tomik wierszy Heykego „Kaszëbscë spiewë”. Poezje miały to szczęście, że zostały wydane jeszcze za życia autora w roku 1927. Potem były wydawane dwukrotnie przez L. Ropplę po wojnie. Ponieważ w poprzednich edycjach „Kaszëbscë spiewë” wzbogacano także innymi wierszami Heykego, więc w nowej redakcji trzeba było im tylko przywrócić pierwotny stan i zapisać wedle ostatnich zasad kaszubskiej pisowni. Reszty można dowiedzieć się z przydanego do nich „Postłowa” Edmunda Puzdrowskiego, a jeżeli tego za mało, to z „Postłowa” Leona Ropplę, danego w edycji poprzedniej. Więcej natomiast trzeba powiedzieć o wydany po raz pierwszy epopei.

We „Wstępie” do „Dobrogòsta i Miłosławy” przypomina Janke nie tylko biografię Heykego, ale wskazuje także na takie walory poematu, jak chociażby na czytelne w nim mity kaszubskie i słowiańskie oraz na treści z literatury starożytnej Grecji, średnio-

wieczy i z Biblii. Nie zapomina o bogatym słownictwie kaszubskim, stylu i artyzmie poematu. Mówi też o jego innych zaletach: „Odkryłem w tym eposie nie tylko walory literackie, chociaż piękno poetyckiego obrazowania wywarło szczególne wrażenie. Podobnie bogactwo metaforyki, ale też wielowątkowa fabuła poematu z wieloma epizodami, składającymi się na rozległe tło obyczajowe i społeczne Pomorza w okresie panowania księcia Świętopelka Wielkiego. Autor stworzył także oryginalny język utworu, składający się głównie z rodzimej leśsockiej kaszubszczyzny i wykorzystanych do stylizacji innych gwar północnych Kaszub”. Spełniło się więc oczekiwanie Heykego, wyrażone w liście pisanym przed wybuchem wojny do Andrzeja Bukowskiego: „Może potomne pokolenia się nim zajmą i wydadzą jako całość”. Pomogła zaś finansowo w tym przedsięwzięciu Eudoxia Rakowska z Australii.

O treści epopei rozpisanej na ponad dwustu oszczędnie zadrukowanych stronach nie sposób mówić w recenzyjnym omówieniu. Można jedynie powiedzieć, że w pierwszej części opowiedziano w dwunastu pieśniach, jak doszło do spotkania Miłosławy z Dobrogòstem oraz przedstawiono szczęśny tego finał. Ale nie tylko wątek miłosny tu poznamy, lecz także zostaną zapowiedziane zmagania Świętopelka z Krzyżakami. O nich dowiemy się z drugiej części, nie przypadkiem zatytułowanej „Wojewoda”, bo taką funkcję otrzymał wtenczas Dobrogòst od księcia. Tam będzie się tylko mówiło o potyczkach i bitwach z wrogiem,



Leon Heyke
**Dobrogòst
i Miłosława**



zakończonych zwycięską obroną Pomorza i pokojem zawartym z Krzyżakami. W trzeciej części Dobrogost i Miłostawa będą mogli być nareszcie razem, ciesząc się otrzymanym w weselnym wianie od Świętopółki garem i grodem, ową Garecznicą z „Remusa” Majkowskiego. Małżeńskie szczęście zakłóci im jednak Dagomir, którego oświadczy Miłostawa niegdyś (w pierwszej części) odrzuciła. Co z tego wynika, trudno powiedzieć, ponieważ epopeja kończy się na ósmej pieśni. Można jedynie przypuszczać, że finał nie był szczęśliwy, na co wskazują ostatnie słowa inwokacyjnej „Przedmowy”:

Spiw     e Swi  top  lka, jeg   dw  r
i jeg   b  je,
Dobrog  sta, Mi  stawa, redosc jich
i rozestani  .

Bogata jest tre   „Dobrog  sta i Mi  stawy”. Wiele mamy w niej postaci, epizod  w oraz mi  sny w  tek tytu  owych bohater  w i w  tek pomorsko-kaszubskich zmagani   z Krzy  akami w XIII wieku. Oczywi  cie pierwszy z nich jest fikcyjny, ale w nast  pnym spotykamy wiele historycznej prawdy. Taki jest w  lno   charakter epopei, ale zarazem ballady i romancy, z którymi to gatunkami Heyke utw  r ten kojarzy  . Pisa   wszak do Jana Karnowskiego 5 maja 1933, kiedy to wychodzi   w „Gryfie” trzecia jego cz    : „Nie jestem Homerem ani nawet epikiem, lecz tylko »balladyst  «, kt  remu chodzi nie o epiczny opis, a jedynie o wytworzenie zachwytu, nastroju etc. Ca   epopeja chce by   jedn   wielk   ballad   czy roman  . Jest synteza r    nych pogl  d  w i technik poetyckich, syntez   budowan   na tzw. prawie kojarzenia. Oto m  j cel, dzie   maj  ce swoj   w  asn   tylko miar  . Chodzi   mi o nowoczesny typ epopei”.

Edycj   poematu Heykego uzna   trzeba za szczeg  lne wydarzenie w dziejach literatury kaszubskiej. I to nie tylko ze wzg  du na jego literack   warto    , a tak  e i artystyczne walory, kt  re nie zawsze by   zauwa  ane i doceniane. Poniewa   poemat istnia   dot  d w zdekompilowanych rocznikach czasopism, w kt  rych wydawano go przed wojn   w odcinkach, i w maszynopisie Roppla, wi  c ograniczony by   do niego zar  wno dost  p, jak i nie zawsze mo  liwe by   pe  ne odczytanie jego tre  ci, maj  c oczywi  cie na uwadze w wielu miejscach nieczytelny maszynopis dost  pny w zbiorach Biblioteki Gda  skiej PAN. Zreszt   inaczej odbiera si   tekst zwarty, opublikowany, a inaczej w maszynopisie. Uwa  nemu odbiorcy poematu nie powinny umkn     doskonale por  wnania, tre  ci oniryczne czy obrazowanie przestrzenne, w kt  rym morze i przyroda

Kaszub odgrywaj   tak znacz  n   rol  . Nieoboj  tne te   w ocenie artyzmu tego utworu powinny by   jego tre  ci wi  rozr  nawcze, a w nich nie tylko ludowe wierzenia kaszubskie, ale tak  e s  wia  skie mity, doskonale rekonstruowane przez poet   wedle mi  dzywojennej wiedzy o solaryzmie przedchrze  cija  skich wierze  . Co prawda Heyke nie stworzy   klasycznej epopei, ale uczyni   to umy  lnie. Specjalnie zrezygnowa   z heksametru na rzecz bli  szego romancy „trocheicznego czterostopowca”, aby lepiej mo  na by   odda   kaszubsk   mow  . A poza tym my  la   stworzy   „nowoczesny typ epopei”.

Dobrze wi  c,   e mo  na odda   si   lekturze „Dobrog  sta i Mi  stawy”, nie m  cz  c oczu wpatrywaniem si   w niewyra  ny maszynopis, lub, jak w przypadku drugiej cz    i tego poematu wydanego „czcionkami Drukarni Toru  skiej”, czytaj  c go w pisowni, kt  ra by   tak bardzo inna od obecnej. Tak  e zwrotki nie by   tam dwuwiersowe, ale czterowersowe. Chcia  by si   wiedzie  , czy takimi zwrotkami pisano tak  e cz     pierwsz   i trzeci  , kiedy drukowano je odcinkami w „Pomorzu”, „Mestwinie”, „Gryfie” i „Kaszubach”. Zagl  daj  c jednak do maszynopisu Roppla, widzimy najpierw zwrotki dwuwiersowe, takie jakie s   w obecnej edycji, a czterowersowe pojawiaj   si   dopiero od po  owy dziesi  tej pie  ni pierwszej cz    i. We „Wst  pie” o tym si   nie m  wi, dlaczego zdecydowano si   na dwuwiersowy zapis stroficzny tego utworu. Czy Heyke by  by z tego zadowolony, trudno powiedzie  , je  eli zgodzi   si   wyda   „Wojewod  ” w zwrotkach czterowersowych. Wiemy wszak,   e w edytorstwie przestrzega si   prawa autora i ostatniego wydania dokonanego za jego   ycia. Nadto, je  eli jeste  my ju   przy sprawach edytorskich, warto by   zaopatrzy   tre   „Dobrog  sta i Mi  stawy” w przypisy, kt  re wyja  nia  by kwestie historyczne, nazwy w  asne itp. „Wst  p” bowiem, chocia   jest interesuj  co napisany, nie za  atwia wszystkiego. A tak naprawd  , to by  oby najlepiej, gdyby zaistnia   symultaniczne wydanie kaszubskiej epopei Heykego. Poniewa   niewiele mamy w niej rym  w, wi  c translacja nie by  aby tak k  opotliwa. Wiadomo przecie  ,   e o wiele trudniej t  umaczy si   wiersz rymowany. Ponadto symultaniczne wydanie, w kt  rym Oficyna Cze   Renaty i Wojciecha Kiedrowskich ma ju   do  wiadczenie, pozwoli  by pozna   „Dobrog  sta i Mi  staw  ” ca  ej Polsce, a o to przecie   chodzi  !

L. Heyke, Dobrog  st i Mi  stawa. Oficyna Cze  , Gda  sk 1999

J  ZEF BORZYSZKOWSKI

HISTORIA I TERA  NIEJSZO   DEKANATU NOWOMIEJSKIEGO

W znanej ju   czytelnikom „Pomeranii” serii „Diecezja toru  ska. Historia i tera  niejszo  ” ukaza   si   kolejny – 13 tom, po  wi  cony dekanatowi nowomiejskiemu, jako praca zbiorowa pod redakcj   Stanis  awa Kardasza. Dekanat ten sk  ada si   z 14 parafii. Teksty r    nych autor  w prezentuj   ca  y dekanat i jego poszczególne wsp  lnoty parafialne; generalnie   rodowisko geograficzne, histori   (osobno dzieje Ko  ci  la w czasie II wojny – mocna strona ca  ej ksi    ki), zabytki oraz osadnictwo, demografi   i wsp  lczesno  .

Parafie prezentowane s   w porz  dku alfabetycznym – od Bratiana do Tylic przez Brzo  ie Lubawskie, Gwi  dziny, Krotoszyny, Kur    nik, Lipinki,     karcz, Miko  ajki, Nowe Miasto Lubawskie, Radomno, Skarlin, Szwarcenowo i Tereszewo. Lektura tekst  w pozwala odkry   wsp  lnot   dziej  w i kultury r    nych zak  tk  w Pomorza dawnej diecezji che  mi  skiej. Co rusz w tych odleg  ych od Gda  ska, Kaszub i Kociewia miejscowo  ciach natrafiamy na ludzi z lewej strony Wis  y, zapisanych mocno w literaturze i   r  d  ch oraz lokalnej tradycji i pami  ci historycznej mieszka  c  w. Zarazem w  r  d wsp  lczesnie pracuj  cych tam kapla  n  w sporo pochodzi z zachodnich kra  c  w Pomorza Nadwi  la  skiego.

Jako   e teren dekanatu, po  o  ony nad Os   i Drw  c   na granicy z by  lymi Prusami Wschodnimi, to w znacznej cz    i ziemie dawnych Prus  w, w jego historii wa  ny jest w  tek ba  to-krzy  acki. Z tamtego czasu bior   sw  j pocz  tek pisane dzieje wielu miejscowo  ci, a w  r  d nich, zwi  zane imieniem z Bratianem, najs  ynniejsze swego czasu i najwi  ksze na p  lnocy Rzeczypospolitej sanktuarium maryjne w     kach Bratia  skich – dzi  s w Nowym Mie  cie Lubawskim.

Parafia w Bratianie jest m  loda (erygowana w 1991 r. przez ks. bp. Mariana Przykuckiego), ale sama miejscowo    , z wa  nym kiedy  s zamkiem krzy  ackim (dzi  s ruiny), nale  a   do wa  -

niejszych w regionie. Sądzę, że jej mieszkańcy, podobnie jak z innych parafii, z przyjemnością poznają swoje dzieje z prezentowanej książki. Z kolei Tylice – równie stare jak Bratian – od początków XIV wieku mogą się szczycić posiadaniem kościoła, a jako centrum parafialne były kiedyś także częścią dóbr biskupów chełmińskich, w XVIII wieku przekazanych w ręce kapituły. Autorzy książki podkreślili, iż z tą parafią związana jest postać ks. Jana Januszeńskiego (1837-1894) pochodzącego z pow. chojnickiego (z Męcikału), który będąc tam proboszczem (od 1874 r.) zasłużył się jako animator pracy organicznej, współzałożyciel i przewodniczący instytucji obejmujących całą okolicę – w tym Towarzystwa Rolniczo-Przemysłowego dla Nowego Miasta i okolicy oraz Banku Ludowego w Nowym Mieście. O ile kościół w Bratianie to jeszcze skromna nowa kaplica, świątynia tylicka jest drewnianą budowlą z lat 1700-1702, posiadającą bogate późnobarokowe wyposażenie. W dekanacie równie starych i pięknych drewnianych i murowanych świątyń jest więcej. Drewnianą może się jeszcze poszczycić Szwardcenowo, gdzie kiedyś proboszczami byli m.in. zasłużony ks. Feliks Dobbek (1859-1938), członek Towarzystwa Naukowego w Toruniu oraz kaszubolog ks. kan. Ludomir Warnke, aktualny proboszcz w Silnie. Natomiast kamiennie-ceglane gotyckie kościoły zachowały się m.in. w Kurzętniku, Lipinkach, Łąkorzu (ten z XVII wieku), Nowym Mieście (bazylika) i Skarlinie oraz (udany neogotyk z początków XX w. w Radomnie). W innych parafiach mamy obiekty mniej stylowe, ale niektóre rów-

nież piękne, a wszystkie zadbane, tętniące życiem.

Najbogatszą działalnością duszpasterską, jednocześnie historią, mnogością i jakością zabytków wyróżnia się Nowe Miasto, w którego bazylice pw. św. Tomasza Apostoła od czasów Kulturkampfu znalazła schronienie Matka Boża Łąkowska po zamknięciu i zniszczeniu klasztoru Reformatów w Łąkach Bratiańskich. Do owych Łąg udawały się m.in. pielgrzymki z całego Pomorza, także z Kaszub i Kociewia. Najbardziej znana wychodziła z Pelplina, a w Gniewie przeprawiała się przez Wisłę. Jej opis zostawił nam ks. Stanisław Kujot, jej przewodnik w 1872 roku. Ostatni odpust w Łąkach odbył się w 1875 roku; w Nowym Mieście pierwszy dopiero w 1943 roku za przyczyną ks. Jana Mantheya, (czy to pewne?).

Wojenne losy Nowego Miasta były szczególnie tragiczne i skomplikowane, a przeżycia tamtejszych proboszczów jakby bardzo typowe dla całego Pomorza. Proboszczem nowomiejskim w momencie wybuchu wojny był ks. Leon Pryba rodem z Przytarni koło Wiela, znany m.in. jako chojnicki katecheta i współpracownik czasopisma „Zabory”. Aresztowany po raz pierwszy 5 września 1939 roku, zwolniony po miesiącu, powtórnie uwięziony 15 listopada przeszedł gehennę wielu więzień i obozów w Stutthofie i jego filii Grenzdorf, skąd został przewieziony do Sachsenhausen-Oranienburg, a po paru miesiącach do Dachau, gdzie zginął w 1942 roku. Podobną drogę przeszedł jego wikariusz ks. Aleksander Wilamowski, który zginął w Dachau, mając lat 30. Ofiarami zbrodni hitlerowskich stało się też bardzo wielu parafian, w dużej mierze za sprawą Selbstschutzu. Spośród duchownych swoje życie uratował ks. Józef Dembieński, który zbiegł do Generalnej Guberni, a w naszej pamięci zapisał się jako redaktor wychodzącej przed wojną w Nowym Mieście endeckiej „Drwęcy” i autor interesujących wspomnień „Radości mało – goryczy dużo...”, wydanych w części przed laty za przyczyną prof. Andrzeja Bukowskiego. W samym Nowym Mieście ukrywał się m.in. ks. Franciszek Chylewski, po wojnie proboszcz w Brusach. Z nominacji ks. bpa S. M. Spletta parafią, dekanatem od 1940 roku zarządzał najpierw ks. Franciszek Manthey – znany jako profesor pelplińskiego seminarium i autor m.in. eseju napisanego po wojnie w Niemczech „O Kaszubach. Prawda i świadectwo”, wydanego w Gdańsku w 1997 roku. W tymże roku w listopadzie opiekę nad parafią przejął jego brat ks. Jan, a ks. Franz przeszedł do Torunia. W styczniu 1945 roku duszpasterstwo w parafii (po przymusowej ewakuacji ks. Jana Mantheya, który zbiegł z transportu spod opieki gesta-

po i dotarł do zachodnich Niemiec, a potem pełnił ważne funkcje w Rzymie) przejął ks. Alfons Mechlin, poprzednio kuratus w Kiełpinach, zwolniony z obozu w Dachau w 1941 roku, później pracujący w Kurzętniku, rodem z Zaborów, długoletni proboszcz i dziekan nowomiejski po odzyskaniu niepodległości.

Bogate dzieje i bogactwo skarbów dziedzictwa kultury Pomorza zachowane w Nowym Mieście są prezentowane w omawianej książce, a także m.in. w monografii miasta, wydanej przed kilkoma laty. Niemniej wciąż zasługują na osobną monografię, na dalsze badania, w czym mogą pomóc różnorodne materiały archiwalne przechowywane w parafii. Brak pełniejszej informacji o zasobach archiwalnych poszczególnych parafii, to jedna z niewielkich słabości omawianej książki. Szkoda, że nie uwzględniono tego ani we wstępie, ani nie podano na końcu wykazu źródeł, a jedynie „Literaturę”, w której są pozycje ułatwiające dalsze badania, a także jak najdalsze odniesienia ogólnopolskie np. N. Daviesa „Serce Europy” (Londyn 1995), ale jednocześnie brak sporo ważnych opracowań, choćby artykułów publikowanych w „Studiach Pelplińskich”, w tym autorstwa pelplińskich, toruńskich i gdańskich historyków.

Dzieje większości parafii dekanatu nowomiejskiego zasługują na osobną prezentację także na łamach „Pomeranii”, gdzie o niektórych pisano już w przeszłości, ale tylko pośrednio, np. o Kurzętniku jako miejscowości, w której w XIX wieku funkcjonowało znane gimnazjum ks. Antoniego Hunta (1811-1874), rodem ze Śląska, któremu obce były tendencje germanizacyjne Kościoła i państwa w Prusach i Niemczech. W tymże Kurzętniku do 1939 roku proboszczem był ks. Leon Pelka (1886-1939) rodem z ziemi chełmińskiej, związany z Brusami i młodokaszubami (absolwent gimnazjum w Chojnicach, kolega Jana Karnowskiego), zasłużony jako współorganizator wielu ważnych przedsięwzięć i instytucji, m.in. I Wystawy Sztuk Pięknych i Stowarzyszenia Artystów Pomorskich w Grudziądzu w 1921 roku. Wydał też jako doskonały muzyk „Śpiewnik religijny z dodatkiem najwięcej używanych melodii” (Nowe Miasto, 1936). Zginął jako proboszcz świekatowski zamordowany przez hitlerowców w 1939 roku w Górnej Grupie. Jego następca na probostwie w Kurzętniku, ks. Józef Borzyszkowski rodem z Kiedrowic, znany m.in. ze swojej działalności w Chojnicach, aresztowany w październiku 1939 roku przez Selbstschutz, przeszedł męczeńską drogę podobną do losu wspomnianego ks. L. Pryby, zakończoną śmiercią w Dachau w wieku 42 lat. Na

DIECEZJA TORUŃSKA

HISTORIA I TERAZNIEJSZOŚĆ



T. 13

DEKANAT NOWOMIEJSKI

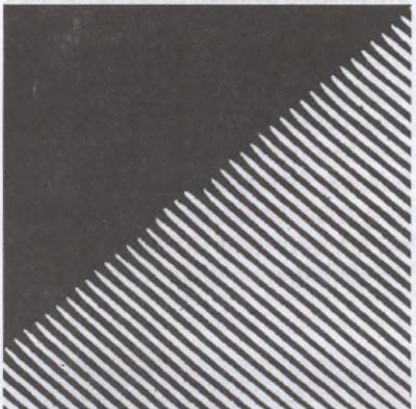
terenie parafii i całego dekanatu funkcjonowały też filie Stutthofu, w których więziono i męczono Żydów, wspomnianych w przeżyciu gehenny obozowej m.in. przez mieszkańców Krzemienia.

Można by dalej przywoływać fakty z dawnej i wojennej przeszłości tegoż dekanatu. Niemniej istotne są informacje o aktualnym stanie poszczególnych parafii, specjalnych formach duszpasterstwa, aktywności świeckich, pracy siostr zakonnych, o powołaniach kapłańskich i zakonnych itp. W lakonicznych informacjach dotyczących poszczególnych archiwów parafialnych, obejmujących najczęściej tylko księgi metrykalne, w przypadku ciekawej, zapisanej w dziejach pomorskich miejscowości Radomno (rodzinna parafia ks. J. Dembieńskiego, obejmująca Rakowice – majątek przed I wojną – do 1939 roku należący do Sikorskich z Wielkich Chelmów), której proboszczem był m.in. znany społecznik ks. Jan Batke (1842-1917; brak jego życiorysu), a wikariuszem do wojny ks. Zygfryd Piechowski, ukrywający się od końca 1942 r. u Niemców w parafii, czytamy: „Kronika parafii od 1953 r.” Mam nadzieję, że obecny proboszcz Radomna, ks. Zygmunt Leyk z Borzestowa rodem, w czasie studiów członek Klubu Studentów Kaszubów, za przykładem jego założyciela Jana Karnowskiego, docenia historię i skrzętnie wzbogaca zapisy w tej kronice z myślą o współczesnych i potomności. Problem kronik parafialnych, swego czasu zalecanych proboszczom przez księży biskupów, to rzecz godna osobnej dyskusji. Bez wątpienia kroniki należą do skarbów równie cennych, jak gotyckie kielichy czy barokowe ornaty, uwzględnione przez autorów prezentowanej, cennej monografii.

Współtwórcami tekstów z tej książki, gdzie ważne są też ilustracje, wraz z redaktorem ks. S. Kardaszem są: Marian Dorawa, Jerzy Dygdała, Andrzej Pabian, Waldemar Rozyński, Marek Rubnikowicz, Jan Sziling, Zdzisław Tomaszewski i Małgorzata Rodyło – reprezentanci toruńskiego środowiska historycznego. Książkę zamykają wykazy: „Ważniejsze adresy” oraz spis zawartości – „Seria wydawnicza „Diecezja toruńska. Historia i teraźniejszość”, obejmujący 24 tomy, z których pierwszy wyczerpany, a t. 6., 10., 19. i 23. w przygotowaniu. Stąd nadzieja, że w niedługim czasie się ukażą i będziemy mieli całość serii w domowej czy publicznej bibliotece do dyspozycji. To dobra seria i także robota.

Diecezja toruńska. Historia i teraźniejszość. T. 13. Dekanat nowomiejski, pod red. ks. Stanisława Kardasza. Toruńskie Wydawnictwo Diecezjalne, Toruń 1998

REGAŁ REGIONALNY



PAWŁA DZIANISZA

Na pomorskich drogach i ścieżkach

Staranny edytorsko – do czego nas już przyzwyczaiło Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego – tom publikacji, mógłby zwać się bardzo ogólnym, a równocześnie dość ściśle lokalizującym w temacie tytułem. Chciałoby się już na wstępie domagać od autora (ów?) objaśnienia, o jakim Gdańsku i jakim Pomorzu w XIX i XX wieku będzie mowa w tej ćwierć setce publikacji o charakterze naukowym i publicystycznym. Skupione z wcześniejszego rozproszenia w różnych publikacjach „studia z dziejów i kultury regionu” – jak je nazwano w podtytule książki – mają, co uderzające, spory rozrzut tematyczny, świadczący o zainteresowaniach tak szerokich, jak pojemne jest pojęcie regionalizmu. Dla autora piękna legitymacja twórczego działania i gorącego serca, dla czytelników sporo wiedzy „wprost” i „na okółkę”, często z interesującą ciekawostką i błyskotliwą anegdotą. Nie trudno w kilku publikacjach dostrzec, ile wyziera się z nich wyobraźni i odwagi publicystycznej.

Józef Borzyszkowski, Gdańsk i Pomorze w XIX i XX wieku. Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1999

Białe habity

W dzieje miasta wyraźnie wpisywali się gdańscy dominikanie. Jerzy Kłoczowski, powołując się na lektora Stanisława przypomina pobyt św. Jacka w Gdańsku. Najstarszy ten żywot Jackowy, spisany w połowie XIV w. przez Stanisława, lektora krakowskich dominikanów mówi, że Jacek był fundatorem klasztoru w Gdańsku, zapewne jako przewodnik grupy, która na przełomie lat 1225/26 z Krakowa wyruszyła na północ z misyjnymi planami. Książka o początkach domini-

kańskiej prowincji polsko-czeskiej, z całym warszatem naukowym, a więc i najeżona odsyłaczami, może trafić i w ręce niespecjalistów, czego jej życzę; nie mogą jednak mieć nadziei łatwego odnalezienia się w gąszczu zdarzeń, choćby były opowiedziane najbardziej atrakcyjnie. Ale nie takie przecież jest przeznaczenie tej skróconej wersji pracy doktorskiej, jaką był jej pierwowzór zatytułowany „Święty Jacek. Biografia historyczna”.

Dariusz A. Dekański, Początki zakonu dominikanów prowincji polsko-czeskiej. Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1999

Jezuici uczą historii

W XVI wieku między Braniewem a Poznaniem nie było jeszcze żadnej szkoły jezuickiej. Mapa Polski z I połowy XVII wieku notuje już te ośrodki i to wcale gęsto na Pomorzu rozmieszczone: Gdańsk, Chojnice, Grudziądz, Toruń, Bydgoszcz... Jak więc wyglądała edukacja historyczna w jezuickich kolegiach Rzeczypospolitej lat 1565-1773? Jezuici, którzy z zamysłu swego założyciela św. Ignacego Loyoli wcale nie mieli być zakonem nauczającym, rychło zorientowali się w znaczeniu oświaty dla samego zakonu i dla społeczeństwa, w którym byli osadzeni. „Jezuici – przypomina autor książki – wybrali w nauczaniu system humanistyczny, historia była więc dla nich, jak i wielu ówczesnych humanistów, częścią retoryki, uznawanej za koronę szkolnego wykształcenia i służyła moralnemu i chrześcijańskiemu wychowaniu młodzieży”.

„Historia est magistra vitae” – mawiali starzy Rzymianie. Także ta historyczna książka o nauce historii jest nauczycielką (czy mistrzynią) życia. Przypominając przeszłość, wyciągniemy jakąś naukę dla naszych reformatorskich w oświacie zapędów?

Kazimierz Puchowski, Edukacja historyczna w jezuickich kolegiach Rzeczypospolitej 1565-1773. Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1999

Dwa razy Heyke

Literacki testament poety – w odniesieniu do jego „dzieła życia” – spełniony został przez wielce zasłużonych kaszubskich wydawców Renatę i Wojciecha Kiedrowskich, przy finansowym wsparciu Eudoxii Rakowskiej (aż z Australii!). Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że pełne wydanie „Dobrogosta i Miłosławy”, a także poetyckiego tomiku „Kaszebszcze spiewe” wykołatał Stanisław Janke swoim zainteresowaniem osobą poety z Cierzni, przejawionym szczególnie przez

książkę „Poeta kaszubskiej nocy”. Znosi się więc na heykowską serię, oznaczoną portretowym rysunkiem Wawrzyńca Sampa. I więcej spodziewać się można: po Heykem przyjdzie pora na inne klasyczne pozycje kaszubskiej literatury, dawno już nie przypominanego Jarosza Derdowskiego – na przykład. Nie wiem, skąd to skojarzenie: tak różni przecież – Remus, Czorliński, Dobrogost – jakby stawali w jednym szeregu, żeby utwierdzać w wierności kaszubskie serca. Wydawca „Dobrogosta i Miłosławy” ma powody pochwalić się, że poemat Heykego w zwartej formie udostępniany jest po raz pierwszy. Poezje Heykego w tomiku „Kaszebście śpiewe” prezentuje także Edmund Puzdrowski, który nam przypomina, że Heyke był przede wszystkim lirykiem „i jako taki żyje w naszej pamięci i wrażliwości”. Jak głęboko tkwi w tradycyjnej strukturze kaszubskiego poetyzowania? Janke, mając na myśli „Dobrogosta i Miłosławę”, wyraża nadzieję, że dzieło to stanie się także przedmiotem krytycznych analiz i prac badawczych. To samo pewnie można by odnieść do „Kaszebskich śpiewów”.

Leon Heyke, Dobrogost i Miłosława; Kaszebście śpiewe. Wyd. Oficyna Czac, Renata i Wojciech Kiedrowscy, Gdańsk 1999

Sychta odnaleziony

Oczywiście przede wszystkim ważny jest sam Sychta, do którego portretu jako etnografa otrzymaliśmy ważny szczegół: zaginiony rzekomo skrypt jego pracy doktorskiej o materialnej kulturze Borów Tucholskich. Ciekawość ten, a mało dotąd w swej oryginalności poznany region pod skrupulatnym spojrzeniem autora słowników kaszubskiego i kociewskiego nabiera barw samoistnych. Praca ks. Bernarda Sychty jest więc pionierska i zaświadcza o jej bardzo wysokim poziomie. Ukazała się w czasie, w którym na jej odnalezienie była nikła już tylko nadzieja. A jak się stało – opowiada Józef Borzyszkowski we wstępie pobrzmiewającym prawdziwą sensacją.

Bernard Sychta, Kultura materialna Borów Tucholskich. Wyd. Instytut Kaszubski w Gdańsku, Wyd. Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”, Gdańsk-Pelplin 1998

Szlachetny plan Gdańska

Można go kupić, owszem, dla praktycznego użytkownika, ale dzięki bibliofilskiemu wydaniu zostanie też do smakowania. Nie mogło być inaczej, skoro wydany został staraniem Biblioteki Głównej Uniwersytetu Gdańskiego (przy wsparciu finansowym Urzędu

Miasta Gdańska) w Wydawnictwie Via Mercatorum. Trzeba odnotować, że koncepcja wydawnictwa powstała za przyczyną Marii Rucińskiej, opracowanie kartograficzne jest dziełem Przemysław Jujki, a autorem tekstu jest Dariusz Piasek. Opracowanie graficzne – Jan Misiek. Planowi towarzyszą XVII-wieczne sztychy Willera i Dickmanna.

Gdańsk. Plan śródmieścia ilustrowany rycinami ze zbiorów Biblioteki Głównej Uniwersytetu Gdańskiego. Wyd. Via Mercatorum, Gdańsk 1998

listy

Którego Kresztosa pocałować

● W szkicu „Bóstwa i demony Derdowskiego” („Pomerania” 3/99) Tadeusz Linkner pisze o przygodzie Czorlińskiego z gdańskimi bufkami, „którzy chcieli go nakłonić, aby pocałował »Kresztosa« w znane wszystkim miejsce”. Autor twierdzi, że owym Kresztosem jest Dyl Sowizdrzał, widniejący na jednej z kafli renesansowego pieca w Dworze Artusa. Na potwierdzenie tej tezy przytacza teksty ks. Konstantego Damrota i hr. Stanisława Tarnowskiego, którzy właśnie utożsamiali Kresztosa z Sowizdrzałem. Teza ta całkowicie nie zgadza się z tradycją kaszubską, którą na pewno przywołał Hieronim Derdowski i o której wspomniał w przypisie do gdańskiego wydania poematu „O Panu Czorlińskim...” Leon Roppel. W „Słowniku gwar kaszubskich...” Bernard Sychta napisał, że „Kręsztof” to „posąg Neptuna na Długim Targu w Gdańsku”. W objaśnieniu tego hasła zanotował: „Pewien lęk wśród nieświadomych, szczególnie wśród dzieci północnych i środkowych Kaszub budzą pierwsze odwiedźny Gdańska. Opowiada się im, że tego właśnie Kręsztofa należy powitać pocałunkiem poniżej pleców, czyli jak mówią dosadnie: Chto pierwszy róż jedze do Gdańska, ten musi Kresztosa kusznać w rżec”.

Stanisław Janke
Wejherowo

KŁĘKA

Kaszuby zawsze

■ Pod takim hasłem odbywało się w Somoninie 17-18 kwietnia I Forum Twórczości Ludowej Ziemi Kaszubskiej. Impreza zorganizowana została przez Gminny Ośrodek Kultury w Somoninie i miejscowy Zespół Szkół Agroturystyki, skupiający szkołę zawodową i technikum o profilu turystycznym. Do siedziby szkoły na forum zjechało liczne grono twórców z Kaszub i Borów Tucholskich. Najliczniej reprezentowane były hafciarki, nie zabrakło także rzeźbiarzy, twórców plecionek i rogarstwa. Rękodzielnicy mieli możliwość wystawienia swoich wyrobów i ich sprzedaży, a także, wraz z pozostałymi uczestnikami, brali udział w sesji poświęconej zagadnieniom twórczości ludowej na Kaszubach.

Krystyna Szałańska z Muzeum Etnograficznego w Gdańsku, omawiając poszczególne dziedziny twórczości ludowej na Kaszubach podkreśliła, że chociaż rękodzielnictwo zatraciło pierwotny charakter i przeznaczenie, to jednak wciąż jest bardzo żywotne, podtrzymywane dzięki pasji twórców i zabiegom środowisk muzealnych oraz organizacji społecznych. Za fenomen można uznać rozwój haftu kaszubskiego, głównie za przyczyną wydawanych przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie na przełomie lat 70. i 80. teczek z wzornikami. Licząca na początku lat 50. 20-osobowa grupa twórców powiększyła się obecnie do ponad 100 osób zarejestrowanych w dość elitarnym gdańskim oddziale Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Teresa Lasowa, dyrektorka Kaszubskiego Parku Etnograficznego we Wdzydżach, również zaznaczyła, że zapoczątkowane przed 90 laty dzieło Teodory i Izidora Gulgowskich nie tylko się rozwija, ale także przyjmuje różnorodne nowatorskie formy. Dyrektor wdzydzkiego skansenu do sukcesów tej placówki zaliczyła m.in. istnienie na co dzień wykorzystywanego do celów kulturalnych kościoła, powstanie karczmy proponującej tradycyjne potrawy kaszubskie, warsztatów rzemieślniczych pracujących na potrzeby muzeum. Mówiąc o ożywianiu tradycyjnych warsztatów rzemieślniczych i

dawnych zajęć w skansenie opowiedziała się za umiarkowaną komercjalizacją, nie godzącą w samą istotę powołania muzeum, jaką jest szeroko pojęta funkcja gromadzenia i przechowywania muzealiów.

Prof. Brunon Synak przedstawiając najważniejsze zjawiska składające się na tożsamość kaszubską, zwrócił m.in. uwagę na potrzebę zachowania dziedzictwa językowego i kulturalnego oraz wzbogacania ich o nowe wartości. Jego zdaniem, w nowej sytuacji ustrojowej Kaszubi nie tylko odzyskują podmiotowość, ale także dobrze potrafią wykorzystać możliwości płynące z wolności w sferze publicznej i funkcjonowania samorządności gminnej.

Somonińskie forum przekonało uczestników, że nawet jedna gmina w współpracy z instytucjami i organizacjami może zorganizować znaczącą, ponadlokalną imprezę. Poza prezentacją twórców ludowych, sesją popularnonaukową organizatorzy zaprosili uczestników na degustację potraw regionalnych, a drugiego dnia na występy artystyczne – zespołu Garecznica z Borzestowa, gawędziarza Zdzisława Dawidowskiego oraz na spotkanie z Edmundem Zielińskim, prezesem oddziału gdańskiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych, który mówił o udziale rzeźbiarzy z Pomorza w powstawaniu papieskiego ołtarza w Sopocie.

Ogromne wrażenie na uczestnikach forum wywarł program artystyczny złożony z fragmentów powieści Aleksandra Majkowskiego „Żćć i przigodę Remusa”. Program, przeplatany współczesnymi przebojami muzycznymi, przedstawiła liczna grupa młodzieży z miejscowego Zespołu Szkół Agroturystyki. Młodzi artyści wystąpili pod kierunkiem polonistki Aleksandry Maciborskiej, znanej już od wielu lat z promowania ambitnej literatury kaszubskiej.

Organizatorzy obiecali, że somonińskie spotkania na stałe zostaną wpisane do kalendarza imprez kulturalnych gminy.

s.j.

W zamku po kaszubsku

■ Urząd Gminy w Krokowej wspólnie z Kaszubskim Centrum Europejskich Spotkań i Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim w Krokowej i Wierchucinie przygotowali Dzień Kaszubski na zamku. Imprezę rozpoczęli uczniowie ze Szkoły Podstawowej w Żarnowcu, którzy wystawili „Legendę o Górze Zamkowej”. Tytułowa góra to najwyższe wzniesienie nad Jeziorem Żarnowieckim. Legenda mówi o śpiących w jej wnętrzu rycerzach, którzy powstaną, gdy Polska znajdzie się w potrzebie. Później na scenie wystąpiły zespoły kaszubskie działające na terenie gminy. Rozpoczęły Nasze Strone, prezentując nowy repertuar, do którego włączyli, w związku z wizytą Ojca Święte-

go, pieśni religijne. Zespół, który niedługo będzie obchodził drugą rocznicę powstania, rozwija się dynamicznie. Nad poziomem artystycznym czuwa jego kierownik Jerzy Łysk, jednocześnie kompozytor wielu piosenek. Do zespołu wstępuje coraz więcej dzieci. Początkowo śpiewały, obok swych mam, tylko dwie dziewczynki, teraz jest ich już dziesięć. Później widzowie mogli podziwiać tańce kaszubskie wykonane przez dziecięcy zespół Jurczy. Powstał on w maju ubiegłego roku przy krokowskim oddziale ZKP. Dzieci po raz pierwszy zatańczyły w lipcu w trakcie festynu w Dębkach. Na scenę weszło wtedy zaledwie sześć par, obecnie jest już osiemnaście. Stroje dla dzieci szyły członkinie Zrzeszenia. Ostatnio zespół wzbogacił się o buty dla dziewczynek. Kierownik zespołu Gerard Renuz wprowadza do repertuaru coraz to nowe tańce. Niektóre z nich zostały przez niego niejako ponownie odkryte, jak chociażby „Trzy Diabły”. W drugiej części swego występu dzieci zaprosiły do tańca widzów, którzy całkiem nieźle sobie radzili. Po tańcach przyszedł czas na śpiewy. Chór szkolny, działający przy krokowskiej szkole podstawowej, wykonał wiązanek kaszubskich piosenek. W przerwach między występami dzieci recytowały wiersze kaszubskie. Dzień Kaszubski był także okazją do poznania książek o Kaszubach i po kaszubsku. Mówił o nich prof. Jerzy Treder z Uniwersytetu Gdańskiego. Niektóre z nich można było kupić na stoisku prowadzonym przez ZKP. Na innym stoisku prezentowano hafty kaszubskie i metody ich wykonywania oraz lalki w stroju kaszubskim, które nazwano Kaszubską Barbie. Serwetkami, obrusami i bluzkami wyhaftowanymi w kaszubskie wzory wystrojono dwie ściany. Autorkami tych haftów były członkinie ZKP z Krokowej i Wierchucina – Aleksandra Bach z Rumi i uczennice Zespołu Szkół Rolniczych w Kłaninie. Obok haftów, Urszula Białk i Scholastyka Abraham przedłożyły wełnę na kołowrotek. Nie mogło zabraknąć wyplatanych koszyków. Jak się je wykonuje, demonstrował Jan Lieske z Domatówka. Stanisław Czapp z Dębek pokazywał, jak naprawia się sieci rybackie. Sporą atrakcją był pokaz rzeźbienia w drewnie, w wykonaniu znanego rzeźbiarza Stanisława Łulka. Dzieci, pod okiem Bożeny Witkowskiej uczestniczyły w pokazie malowania na szkle. W programie przewidziano także konkurs na ciasto z rodowodem kaszubskim. Były tu ribczy ujka Izidora, kaszebszi serca, marchewny kuch, kuleczki dło dzotków, pulwer kuch, kuczer kuch i pulele, które zostały zostały najwyżżej ocenione przez jurorów. Przygotowała je Renata Szymańska z Wierchucina. Szef zamkowej kuchni przygotował specjalny kaszubski. Były śledzie w śmietanie z pulkami, ogórki kiszzone i chleb ze smalcem. Cały zamek był udekorowany dawnym sprzętem gospodarstwa domowego. Oczywiście była też i tabaka. Tradycja jej zażywania, mimo zakazu obrotu, jest na Kaszubach wciąż żywa. Imprezy takie jak Dzień Kaszub-

ski uaktywniają środowiska kaszubskie. Dowodzą, że tradycja i folklor kaszubski są żywe, że i kultura kaszubska przyciąga młodzież. Można mieć nadzieję, że w przyszłości będziemy mogli pochwalić się pięknym folklorem kaszubskim.

Roman Kościelniak

Książ Patron łączy Krajnę z Kaszubami

■ 11 kwietnia br. odbyło się niezwykle miłe spotkanie dwu oddziałów ZKP – wierzchucińskiego z północy Kaszub i buczkowskiego, jednego z najdalej na południu leżących – na Krajnie. Wierchucinie gościli we wrześniu ub.r. u siebie Krajniaków, którzy zwiedzili wtedy wiele ciekawych miejsc nad morzem, w tym cały Półwysep Helski. Była to więc rewizyta. Autokar z pięćdziesięcioma osobami przyjechał do Wielkiego Buczka, gdzie Krajniacy przywitani gościli śniadaniem. Bardzo ważnym punktem programu był wyjazd do pobliskiego Zakrzewa zwanego przed wojną przez Niemców Małą Warszawą. Tu skierowaliśmy się najpierw na grób Księdza Patrona – Bolesława Domańskiego, gdzie nasi goście złożyli kwiaty i zapalili znicze. Tu też uświadomiliśmy sobie, że nasze spotkanie przy tym grobie ma wymiar symboliczny. Książ Patron, którego matka była Kaszubką, ojciec Krajniakiem, połączył silnym węzłem wspólnych celów i zadań te dwa regiony, kiedy patronował V Dzielnicy Związku Polaków w Niemczech. My też – Krajniacy i Kaszubi – połączyliśmy się we wspólnej modlitwie, a dodatkowym wyznacznikiem tej łączności było poczucie współnależenia do tej samej organizacji, też ta sama potrzeba rozwijania i kultywowania tradycji naszej, najbliższej ojczyzny.

Dom Polski, po którym oprowadzała nas jego gospodyni Barbara Szopińska, wybudowany dzięki inicjatywie i staraniom księdza Domańskiego, to miejsce, w którym znów odkrywaliśmy co krok naszą wspólnotę. W Izbie Pamięci – mapa Pogranicza i Kaszub, te same losy obu miejscowości – Wierchucina i Wielkiego Buczka w okresie międzywojennym, kiedy te wioski z przewagą Polaków pozostały w granicach Rzeszy, a granica z Polską przebiegała tuż, tuż. To wspaniała sala Domu Polskiego z jeszcze wspanialszymi freskami Janiny Kłopotkiej, w której to sali podczas spotkań działaczy V Dzielnicy spotykali się znów Kaszubi z Krajniakami.

Wracamy do Buczka, by uczestniczyć tu w nabożeństwie, podczas którego Nasze Strone śpiewają po kaszubsku pieśni przygotowywane na przyjazd papieża. Po mszy zwiedzanie kościółka, który liczy sobie już prawie 270 lat i jest zabytkiem klasy zerowej. Wreszcie szkolna Izba Pamięci, gdzie

sporo jest pamiątek związanych z historią okresu międzywojennego. Po zwiedzaniu wspólny posiłek w Wiejskim Domu Kultury. Po południu występy. Najpierw Nasze Strone prezentują kaszubskie pieśni, wiersze, gadki (znakomity w swej roli prowadzący Jerzy Łysk), zazdrościmy zespołowi wspaniałej kapeli, potem Krajniacy prezentują swój program przygotowywany na zbliżającą się sesję naukową „Siedemdziesięciolecie szkół polskich na Złotowszczyźnie”. Po występach zrzeseńcy wierzchucińscy obdarowują nas przygotowanymi własnoręcznie upominkami, są to rzeźby, serwetki z haftem kaszubskim, breloczki, chusteczki pięknie obdziergane, wzory haftów kaszubskich, ceramika z motywami kaszubskimi.

Po tych artystycznych wzruszeniach (w których brali też udział mieszkańcy wsi) zasiadamy do wspólnej kawy, kucha na młodzicach (placka drożdżowego) i innych wspaniałości przygotowanych przez Krajniaków. Po kawie wspólnie śpiewamy pieśni przygotowywane na mszę papieską. Cieszymy się, że już wychodzi nam po kaszubsku „Kaszubska Królowa”, „Hej, morze, morze”. Przysłuchujemy się pilnie pozostałym.

Goście muszą się już zbierać, do Wierchucina cztery i pół godziny jazdy. Na zakończenie nasza pieśń w krajniackiej gwarze: „Na krajniaccich smugach”, którą kończy strofa:

Wreście przy wieczery
Krajnioci, Kaszuby
Pogodają, pośpiwają
Nie przyńdą do zguby.

Nawiązały się znajomości, sympatie, przyjaźnie. Odprowadzamy gości do autobusu ze śpiewem. Bywajcie! Do zobaczenia na Kaszubach!

Dzięki ci, Księżu Patronie, że stanęliśmy wspólnie – Krajniacy i Kaszubi – na ziemi, którą wybrałeś i której poświęciłeś życie.

Jowita Kęcińska

Kaszëbskô pòstnô uczba w Pelplinie

■ Pelplin mô wiedno apartną atmosferã. Tak bëło i tą razã, chòc mòże jész barzi òsobliwie. Wieczór, mòłò zala wëkładowô Wëszégò Seminarium Dëchòwnégò, w chtërn przòdë bëła seminarijnô kaplëca. Z rozmajitëch zajãcòw schòdzą sã tu pòspieszno, w kòloratkach pòd szëją, młòdi klericë. Co chwilà wpòdò chtos, tłomaczãc swòje spòznieńie próbã chóru, słuženim w reflektarzu, przë chòrim w domù pòmòcë. Młòdò szkòlnò, Bòżena Szëmańskò, wërozumiało jich witò i ròczy na „òsobliwë zëńdzenië z dzysdniowim gòscem”.

Z ti tãż leżnoscë wëpòdò jim, kò nie dło „pani profesor”, bò òna jich dobrze zna, kãsk ò se pòwiedzëc. Znajãc zainteresowa-

niò swòjégò gòsca, klericë starelë sã przekòzac jak nòwicy ò swòjich rodnëch mòlach, jich òsobliwòcach, czekawëch lëdzach, ròczãc tam na gòscëniã. Mni dzëwiła kòrbiònka w rodny mòwie tich z Gniewina, Kiełpina, Łączëcòw, ale milecznym zadzywienim bëła snòżò kaszëbizna Tomka z Mielca, Roberta z samégò Pelplina, Michała z Gniewu i jész pòrã jinëch.

Uczba w tim mòlu, na kaszëbsczim lektorace, prawie domògò sã wpleceniò w pòzdrzatk na kaszëbsczì zwëczy, òbrzãdë, lëteraturã, tradicëjã wiedzë z teologii, lëturгии, co doch tãż je wiedno sparãczonò z žëcym Kaszëbów i ò co mò starã szkòlnò. Temat tegò prawie lektoratu wëznacził czas pòstu. Sztudentë, króm te, że przëbòczelë pòczãtzi twòrzeniò sã misteriów paschalnëch, a westrzòd nich Drodzi Krziżewi i Gòrczczëch Żòłów, dzelëłë sã wspòminkama ò domòwëch zwëkach pòstnëch. Niejedn jész pamiãtelë, z òpòwiescòw starksów, wëwieszonë na płotach, żdajãcë swiãtów gròpczi, panewczì czë zbònczi. Jiny òpòwiòdelë, jak nò przòdë jadło sã w nen czas pùlczì ze sledzã, piło le czòrnã kawã, chlëb smarowa sã marmeladã nòwëżi w niedzielã. „Ùprzëwilejowónë bëłë blòs dzecë”. Wëdòwò sã, że szkòlnò Bòżena Szëmańskò, je ùrèdònò òdpòwiedzama. Uczniowie z zadania domòwégò spiselë sã dobrze. Przësłòwia ò swiãtëch z gromicznika znają. Kòżdi dostòwò terò skòpiowóny tekst „Rëza do Westfalii” Czesława Birra. Czëtają pòsobicã. Szkòlnò wiele sã nie nabiedza z pòpròwianim czëtaniò, a smiëchë i ùwòdżi swiòdczą ò zrozumienim òpòwiadaniò, chòc równak czasã nie wiedzą, kò òznòczają słòwa: bëniel, banowi, rëza, nalemic w bükse.

Szkòda, że nie mdã na pòsobny ùczbie, na jakã szkòlnò wëznaczelã baro ambitny cël – przëłożenië na kaszëbsczì wierzëtów ks. Janusza St. Pasierba. Na tim lektorace równak mia jem leżnosc òpòwiedzec ò Remùsòwim Lipnie, kaszëbsczich szkòlach, òbròzkach z žëcégò, czasã zatrzimónëch w fòrmie wiërszta. Czas przë žëczlëwi atmosferze minal tak chùtkò i niespòdzajno, że przinđny ksãża wnet bë zabëlë ò wieczorny mòdlëtwie i gòdzënie kanoniczny przed spanim.

Felicja Baska-Borzyszkowska

Bydgoski Słownik Biograficzny

■ Ukazał się kolejny, 5. tom „Bydgoskiego słownika biograficznego”.

Otwiera go biogram poświęcony Karolowi Wilhelmowi Adamkowi, opracowany przez Marka Romaniuka, autora ok. 30 słownikowych biogramów. Wśród nich na uwagę zasługują noty o b. prezydentach Regencji Bydgoskiej, w tym Christophera Willersa Tiedemanna, szefa Kancelarii Rzeszy i bliskiego współpracownika kanclerza Otto

von Bismarcka. Ponadto M. Romaniuk jest autorem biogramów kolejnych burmistrzów Bydgoszczy, nauczycieli, pisarzy, adwokatów oraz działaczy niemieckiej mniejszości narodowej i historyków. Na szczególną uwagę zasługuje postać Augusta Carla von Holsche (1748-1830) prawnika, autora pierwszego historycznego opisu Bydgoszczy.

Stanisław Błajewski opracował 6 biogramów nauczycieli, działaczy i inżynierów. Z tych ostatnich ciekawa jest postać inż. Tadeusza Gayczaka (1880-1939) dyrektora fabryki „Kabel polski” w Bydgoszczy.

Największą liczbę not opracował jego redaktor naczelny Janusz Kutta. Autor starał się uwzględnić postacie reprezentujące różne profesje. Na szczególną uwagę zasługują biogramy Tadeusza Nowakowskiego (1917-1996) literata, działacza polskiego na uchodźstwie i honorowego obywatela Bydgoszczy oraz ks. bp. Jana Michalskiego (1914-1989) kapelana AK, powstańca warszawskiego, wiceprzewodniczącego komisji episkopatu ds. duszpasterstwa rolników.

RM

Bë nie zabëc mowë starksów

■ Osiem lat temu Jan Drzeżdżon zaproponował zorganizowanie konkursu mowy kaszubskiej dla uczniów z terenu ziemi puckiej, któremu nadał nazwę „Bë nie zabëc mowë starksów”. Organizacji konkursowi podjęło się Muzeum Ziemi Puckiej. Niestety, kilka miesięcy po pierwszym konkursie Jan Drzeżdżon zmarł. W następnym roku muzeum zorganizowało drugi konkurs mowy kaszubskiej. I tak wpisał się on na stałe do kalendarza imprez. W piątą rocznicę śmierci pomysłodawcy, nadano konkursowi jego imię. Wtedy też postanowiono, że konkurs odbywać się będzie w miejscowości, gdzie żył i pracował Jan Drzeżdżon.

Tegoroczny VII konkurs zorganizowano w Szkole Podstawowej w Krokowej. Dyrektor muzeum Elżbieta Lewandowska wprowadziła także zasadę, że po każdym konkursie pozostaje trwała pamiątka. W tym roku zdecydowano, że będą to drzewka, które posadzono przy szkołach w Lubocinie i Tyłowie, gdzie przed laty uczył patron konkursu. W tym samym czasie delegacja uczestników konkursu składała kwiaty na grobie Jana Drzeżdżona w Mechowej.

W tegorocznej edycji wystartowało 60 uczniów szkół z powiatu puckiego. Zostali oni podzieleni na cztery kategorie wiekowe: klasy I-III, klasy IV-VI, klasy VII-VIII i szkoły ponadpodstawowe. Poza konkursem wystąpili uczniowie klas specjalnych szkół w Krokowej. Patronat nad imprezã objął starosta pucki Artur Jabłoński, który zasiadał w jury obok Krystyny Muzy-Kaczmarek i Romualda Łukowicza. Uczestnicy recytowali fragment literatury kaszubskiej oraz

tekst własny. Organizatorzy zaproponowali tu kilka tematów: „Lědže a kompüter”, „Mojō nōjwkszo marzeniē”, „Mojō nōjlepszo ksążka” (film, zespół muzyczny), „Jak jō dorosna to bdā”, „Czē kaszēbizna zadżinie?” „Chcemē le so zažēc”. Najmłodszy najczęściej opowiadali, co będą robić, gdy dorosną. W tej grupie jurorzy najwyżej ocenili Annę Wojtowicz z Wierzhucina, drugie miejsce przyznano Damianowi Kuncowi ze Starzyna, trzecie Grzegorzowi Konkolowi z Jastarni. W drugiej grupie wiekowej recytatorzy zastanawiali się często, „Czē kaszēbizna zadżinie?”. Tu pierwszą nagrodę przyznano Dorocie Dettlaff z Chłapowa, drugą Bartoszowi Selinowi z Jastarni, trzecią Ewelinie Doering z Karlikowa. Spośród najstarszych uczniów szkół podstawowych najwyżej oceniono Pawła Wittbrodta z Karwi, drugie miejsce przyznano Tomaszowi Dopkemu z Darżlubia, trzecie Justynie Lizau z Połczyna. Wśród uczniów szkół średnich zwyciężył Bartłomiej Wittbrodt z Karwi, drugie miejsce zdobyła Romualda Białk ze Zdrady, trzecie Małgorzata Ossowska, uczennica szkoły zawodowej w Pucku. Diabelskie Skrzypce – główną nagrodę dla szkoły, która najlepiej przygotowała uczniów, przyznano Szkole Podstawowej w Chłapowie, natomiast nagrodę imienia Jana Drzeżdżona za najlepszy tekst własny otrzymał Paweł Wittbrodt z Karwi. Starosta powiatu puckiego, który jednocześnie był jurorem, wręczając nagrody mówił, że przysłuchując się recytacjom przekonuje się, że „kaszēbizna nie zadżinie”. Z uznaniem mówił także o organizatorach konkursu, wśród których wymieniał dyrektor Muzeum Ziemi Puckiej Elżbietę Lewandowską oraz Romana Drzeżdżona z tegoż muzeum. – Szkoda, że nie przewidziano nagrody dla szkoły, która nas gościła – dodał na koniec. Nagrody wręczała wdowa po patronie konkursu Urszula Drzeżdżon.

Roman Kościelniak

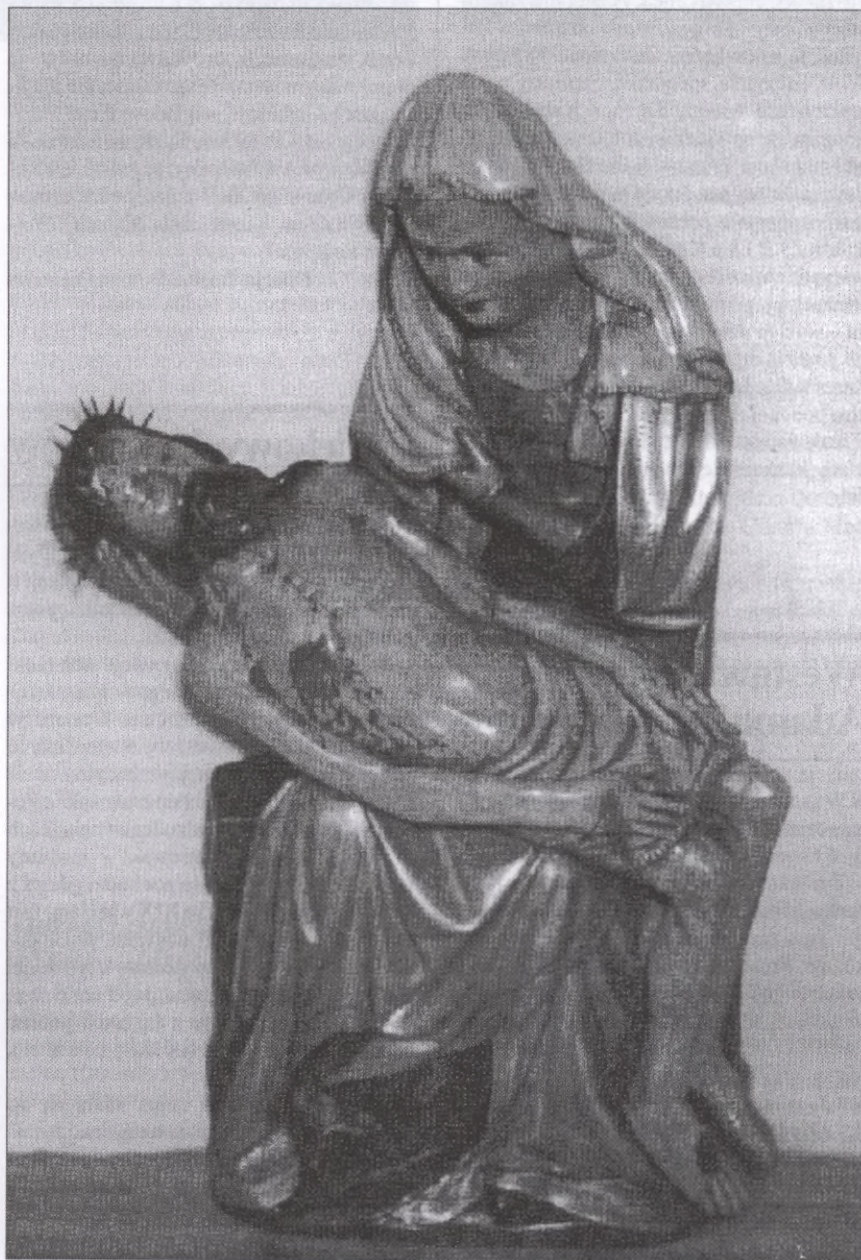
Pieta na ołtarzu

■ Na przełomie XIV i XV wieku w żarnowieckim kościele pojawiła się niewysoka, zaledwie 81-centymetrowa figurka z lipowego drewna, którą nazwano Żarnowiecką Pietą. Maryja o twarzy kaszubskiej kobiety pochyla się nad ciałem Chrystusa leżącym na jej kolanach. Ubrana jest w złocistą suknię z wykończeniami charakterystycznymi dla gotyckiej mody. Kaszubi otoczyli ją kultem. Przychodzili do niej po miłosierdzie i łaski. To przed nią oplakiwano synów, którzy oddawali życie za ojczyznę. Do dziś przetrwało przekonanie, że w zależności od stanu duszy zwracającego się do Żarnowieckiej Matki Bolesnej, zmienia się wyraz jej twarzy. „Przekonasz się, że gdy zrobisz coś dobrego i przyjdiesz do Niej, jej twarz będzie uśmiech miała, gdy zrobisz coś złego,



Fot. Roman Kościelniak

Urszula Drzeżdżon wręcza nagrodę Pawłowi Wittbrodtowi



Żarnowiecka Pieta

będzie smutna” – mówiły matki do swych dzieci. Nic więc dziwnego, że otoczona była kultem. W XVII wieku siostry benedyktynki zmieniając wyposażenie kościoła, ufundowały Matce Bolesnej ołtarz. Nie oparł się on niszczycielskiemu upływowi czasu. W latach osiemdziesiątych konieczna była jego renowacja. Po przeniesieniu Piety do klasztornej skarbcza okazało się, że konieczna jest także renowacja figury. Nieobcena czasowo w żarnowieckiej świątyni, była jednak obecna w sercach parafian, marzących, by jak za dawnych lat ukłęknać przed nią. Aż wreszcie, w uroczystość Zwiastowania, Pieta wraca na odnowione i przygotowane dla niej miejsce w świątyni. W przygotowania do tego święta aktywnie włączyli się członkowie Zrzeszenia w Krokowiej. Na uroczystość przybyło wielu gości, poczty sztandarowe i delegacje najbliższych oddziałów ZKP. Uroczystej mszy św. przewodniczył ks. biskup Zygmunt Pawłowicz. Zgromadzonych w kościele powitał proboszcz ks. Jerzy Kunca. Następnie zakonnice wniosły figurę i ustawiły na ołtarzu. Powitali ją mieszkańcy Żarnowca: Krystyna Wolf odczytała specjalnie napisany na tę uroczystość wiersz, Szymon Kamiński w imieniu żarnowieckiej młodzieży zaśpiewał napisaną przez siostrę Dorotę pieśń. Podczas mszy św. lekcję w języku kaszubskim odczytała prezes krokowskiego oddziału ZKP Ewa Kur. Po mszy zaproszono wszystkich gości na poczęstunek w remizie strażackiej, gdzie czekała ich niespodzianka – występ dziecięcego zespołu tanecznego Jurczy, działającego przy krokowskim Zrzeszeniu. Ich występ bardzo się wszystkim podobał. Prezes ZG ZKP prof. Brunon Synak zauważył z zadowoleniem, że do pracy kaszubskiej garnie się coraz więcej dzieci.

Roman Kościelniak

Wystawa dokôzów Adama Zwolakiewicza

■ W gromiczniku tegô roku minãła pierwszô rocznica śmierci znômnégò kôscerszczégò artystë rzeźbiôrza Adama Zwolakiewicza.

Z ti leżności w Kôscersczim Domu Kultury, z pômocą miejscowégò partu Zrzeszeniô, ôsta zorganizowónô wystawa jegò dokôzów. Prezentowóny zbiérk pôchôdził ôd rodzënë, môlowëch instytucji, znajomëch, chtërnëch rzeźbiôr chãtno ôbdarowiwôł swôjima zaklâtima w drewno wëôbrazenia swiata. Na wystawie nalazłë sã téż diplomë i pódzâkôwaniô, świadczącë ô wiôldzi aktywnoscë ùtwôrcë i jegò bëtnoscë na rozmajitëch plenerach artisticznëch. Nie bëło równak tuwô nôwiâkszych rzezbów, zdobiacëch rozmajiti môle w całi Pòlsce, jak na ten przykład Matka Bòskô w Nowëch Pôlaszkach, Droga Krzyżowô w Garczënie.

Ôsoblëwim dzëlem bëł nôrcëk z môlima płaskôrzezbama: rêbôk, bialka przë czërzence, chłop z firką, jachtôrz z flintą, zrobionyma pòd ôkã mëstra przez jegò młodëch drëchów ze Szkôlczë Rzezbë przë KDK. Jeden z nich, Piotr Szulist, wspôminôł, że chcało sã tam bëc, bô bëł tam Pan Adam, chtëren wiedno na nich czekôł i wiedno dlô kôzddégò miôł dwiërze ôtemklë, nawetka dlô niepełnosprawnych. Piãkno téż wspomina swôjégò szkôlnégò Halina Krajnik, dzys ju znôno artystka rzezbë i malënków na szkle. Dluto w jich rãkach chôdzëło jakos lzi, czëj mëster gôdôł mądre pôwiôsteczë; slëchając jich chcało sã bëc lepsim człowiekã. Tak téż ùwôzãł môji ùczniowie w Kaszëbsczim LO w Brusach, chtërnëch bëł gôscem krôtko przed swôjã śmiercã.

Gwës czësił sã dëch mëstra Adama, że westrzôd pôczestnëch gôscy nie zabrakło nôblëszszech jemù przez całë żëcë: córce Elżbietë i bialczë Bernadëtë, chtërna czãsto bëła pierwszym recenzentã jegò dokôzów; on sôm wiedno bûsił sã ji talentama, ôsoblëwie do wëszwianiô. Króm nëch nôblëszsich, znajomëch, drëchów, ùczniów, w ôtemkniãcym wëstawë ùczestniczëlë téż jiny gôscë – szkôlny i wikładowcë rozpôczinającégò sã Kôscërcznë Studium Edukacëji regionalny i Alternatiwny, przedstôwcë Zarządu Ôgłowégò ZKP z przednikã Brunonem Synakiem, wiceminister edukacëji Wojciech Ksiãżek.

Felicja Baska-Borzyszkowska

Zwiekowych odmetów

■ Archeolodzy z Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku przyjechali do Tucholi celem zbadania i sprawdzenia informacji o znalezieniu dwóch wiekowych łodzi, potocznie zwanych dłubankami.

Jeden obiekt znaleziony w nurtach rzeki Stażki, nieopodal Rudzkiego Młyna, znajduje się w tucholskim muzeum. Wystarczył jeden rzut oka fachowca, aby stwierdzić, że sensacji archeologicznej nie będzie.

– Porównując tę łódź do materiału z Pomorza i Mazur zgromadzonego w muzeach – mówi Waldemar Ossowski – możemy powiedzieć, że czołno to pochodzi gdzieś z okresu pomiędzy XVII a XIX wiekiem. Jest to typowa forma łodzi używana przez dawnych rybaków – typ czołna, czyli łodzi zbudowanej z jednego pnia, popularnie zwanej dłubanką. Musimy z tej łodzi pobrać próbkę drewna i określić datę powstania obiektu.

Po pobraniu próbki ekipa udała się do drugiego znaleziska, które wciąż znajdowało się w wodach jeziora Płocicz w gminie Śliwice. Nad jeziorem czekał znalazca obiektu, Józef Pestka, użytkownik jeziora.

– Podczas połowów zawsze w tym samym miejscu o sieci coś haczyło – mówi. – Myś-

lałem, że to pień i wyciągnąłem go. Ujrzałem kłodę oblepioną mułem i białym osadem. Po oczyszczeniu zobaczyłem, że to łódź i to stara. Dobrze, że ktoś ją zbada, bo wiadomo, że zniszczyć coś można szybko.

Znalezisko okazało się prymitywną łodzią wykonaną z sosnowego pnia.

– Jest to nowożytny obiekt – mówi Waldemar Ossowski. – Pochodzi z ostatnich 400 lat. Jest to także dłubanka z oryginalnie rozwiązana częścią dziobową. Podobne znalezisko znajduje się w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Jest to forma mniej popularna niż ta z muzeum w Tucholi. Wykonana amatorsko, bez finezji – rewelacji raczej nie ma, aczkolwiek próbkę do analizy musimy pobrać.

Po wycięciu klina ze słojami, łódź ponownie zatopiono w mule, aby obiekt nie uległ zniszczeniu. Dowiedziałem się, że praktyka zatapiania znalezisk jest konieczna i często stosowana. Archeolodzy z Gdańska zatapiają znaleziska w jednym z jezior wyłączonym z ruchu turystycznego. Zatopione czekają na „lepsze czasy” i fundusze na ich badania. Znajduje się tam między innymi czołno z Kaszub znalezione niedaleko Wdzydz Kiszewskich, a pochodzące prawdopodobnie z X wieku oraz bardzo stary eksponat z okolic Koszalina – łódź wykonana z drewna olchowego, a licząca sobie około 3 tysiące lat! Warto wspomnieć, że najstarsze znalezisko tego typu można oglądać w muzeum w Bydgoszczy i jest to łódź datowana na 2600 rok p.n.e., czyli licząca 4600 lat.

Adam Paluśkiewicz

Z Lęborka

Gdańscy twórcy w „Schodach”

■ W marcu i kwietniu w Galerii Strome Schody obejrzeć można było prace trójmiejskich artystów: Jana Miśka i Marka Wróbla.

Ekspozycja nosiła tytuł „Wystawa nie na temat”. Wrażeń estetycznych i emocji było mnóstwo. Rozedrgane intensywnymi kolorami obrazy Wróbla sąsiadowały ze stonowanymi (głównie w szarościach i brązach) kolażami Miśka. Pierwsze są nieokielzaną wariacją barwną, drugie – kontemplacją przeszłości i teraźniejszości.

„Obrazy leśne”, „Czarne słońca” oraz cykl prac z motywem zagli są karnawałem światła i wszelkich odcieni barwnej palety. Ogląda się je raczej z daleka.

Inaczej jest u J. Miśka. Jego prace, zawierające wiele drobnych szczegółów, ogląda się z bliska. Cykl „Pamiętki” i „Dowody osobiste” powstał ze strzępów starych fotografii, listów, kopert i gazet. Inne skojarzenia wywołują tempory „Las Ardeński”, „Herkulanum” i „Atlantyda”. To także kontemplacja, ale bardzo odległej przeszłości.



Wernisaż „Wystawy nie na temat”

I nie jej określonych obiektów, lecz ogólnej aury (wilgotna zielen, gorąca czerwień i przymglony błękit).

„Odkrywanie plastycznego, malarskiego sensu wydaje się łączyć obie indywidualności twórcze – pisze w katalogu Elżbieta Kał, dyrektor muzeum. – Takiej syntezy wrażeń wzrokowych i wewnętrznych doznań poszukiwał np. Piotr Potworowski”.

Konkurs wiedzy o historii

■ 10 marca odbył się finał I Konkursu Wiedzy o Historii Lęborka. Wzięło w nim udział 52 chłopców i dziewcząt ze szkół podstawowych i średnich.

Eliminacje szkolne przeprowadzili w pierwszych miesiącach tego roku nauczyciele historii. Wyłoniono z nich czteroosobowe reprezentacje poszczególnych szkół. Uczestnicy rozwiązywali test składający się z 40 pytań. Później, w ratuszowej Sali Rajców, rozpoczął się etap drugi. Finalistów (po dziesięciu w każdej kategorii) przepytawali pomysłodawcy konkursu: Daniel Żegunia i Michał Kubiak z Lęborskiego Bractwa Historycznego.

Szczególnie emocjonująca była rywalizacja uczniów podstawówek (dogrywka w celu wyłonienia finalistów, a później dodatkowa seria pytań w walce o I miejsce). Wyniki w tej kategorii: I miejsce – Artur Orlikowski, II – Natalia Maszota (oboje ze SP nr 4), III – Michał Klata (SP nr 8). Drużynowo najlepszy był zespół z „czwórki”, przed reprezentacjami z „piątki” i „ósemki”.

Zwycięzcy nie kryją, że historia to ich hobby. Artura interesuje zwłaszcza starożytność i średniowiecze. Natalia marzy o studiach historycznych. Gustuje w antycznych

dziejach Grecji i Rzymu (uwielbia mity greckie). Historią Lęborka zainteresowała oboje nauczycielka Jadwiga Nadworska.

Uczniowie szkół ponadpodstawowych pytani byli o daty historyczne, postaci związane z miastem, heraldykę, architekturę i zabytki. Najlepsza była reprezentacja z Liceum Ogólnokształcącego nr 1, przygotowana przez wicedyrektora tej szkoły Bogdana Libicha. I miejsce zdobyła Joanna Kulikowska, a II – Marta Dzienisz (obie z LO nr 1), III Katarzyna Irytowska (z LO nr 2). Drużynowo wygrał „pierwszy” ogólniak przed „drugim” (III miejsce – Zespół Szkół Ekonomicznych).

Zdaniem organizatorów (poza LBH, Urząd Miasta, oddział zamiejscowy kuratorium oświaty), poziom konkursu był bardzo wysoki. „Nie możemy wyjść z podziwu – mówili – jak dużo wysiłku włożyli uczniowie, aby tę wiedzę zdobyć”.

Nagrodami były cenne albumy, książki oraz linoryty, drzeworyty i dyplomy ufundowane przez organizatorów, a także Stefana Fikusa, muzeum, Koło Przewodników PTTK i Biuro Turystyczne Przemex.

Powitają papieża

■ Miejscowy oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego ma w tym roku kilka ciekawych inicjatyw. – Nasz oddział będzie organizował jak najwięcej imprez lokalnych, mówi Kazimierz Naczek wiceprezes, m.in. sobótkę i przegląd kaszubskich zespołów wokalnie-tanecznych podczas Lęborskich Dni Kultury.

Kaszubi w Lęborku liczą na to, że z reformą oświaty uda się wprowadzić do szkół naukę języka kaszubskiego. Nowym pomysłem będzie wprowadzenie osób w strojach



Artur Orlikowski

kaszubskich do ceremonii wręczania nagród podczas Międzynarodowego Maratonu Ekologicznego i być może innych imprez.

– Przygotowujemy się także do przyjazdu Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski – mówi K. Naczek. – Pojedziemy ze sztandarem witać papieża w Sopocie i być może w Pelplinie.

Marzeniem członków ZKP w Lęborku jest, aby patronem przynajmniej jednego z czterech utworzonych od 1 września gimnazjów był znany propagator kaszubszczyzny (wśród kandydatów wymienia się m.in. Izabellę Trojanowską, Hieronima Derdowskiego i Aleksandra Labudę – Guczów Macaka).

– W styczniu w Kamienicy Królewskiej – mówi Brunon Kwidziński – obchodziliśmy uroczystości 55. rocznicę bohaterskiej śmierci żołnierzy Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. W bieżącym roku powstanie przy lęborskim oddziale ZKP klub „Gryfa”, zrzeszający ok. 200 jego żyjących żołnierzy. Statut został już złożony w Gdańsku.

Andrzej Radajewski

Lęborskie biuletyny historyczne

■ Lęborskie Bractwo Historyczne wydało dwa kolejne numery swoich biuletynów historycznych. Numer 8 jest pokłosiem sesji naukowej, jaka odbyła się w lipcu 1998 r. w ramach Jarmarku św. Jakuba w Lęborku. Mówiono na niej o pozycji kościoła św. Jakuba w rozwoju historycznym miasta, o ponad 650-letniej historii parafii.

BIULETYN HISTORYCZNY

WYDANIE SPECJALNE



LĘBORSKIEGO BRACTWA HISTORYCZNEGO
I MUZEUM W LĘBORKU

LISTOPAD 1978

NR 8

Ksiądz prof. Ryszard Kwapiński przedstawił zagadnienie ikonografii św. Jakuba w Polsce, zaś prof. Krzysztof Maciej Kowalski zaprezentował wyposażenie kościoła w świetle dawnych inwentarzy i w zachowywanych do dziś przedmiotach i szatach liturgicznych. Dr Aleksander Piwek przedstawił funkcje kościoła w założeniu miejskim i systemie obronnym miasta. Wykład ten uzupełnił Sebastian Kreft, kreśląc szkic średniowiecznych umocnień fortyfikacyjnych Lęborka, natomiast dr Bogdan Libich przybliżył nie zawsze znane fakty z najnowszej historii parafii.

Numer 9 zawiera kolejne publikacje członków bractwa. Wiele z nich to kontynuacja znanych cyklów tematycznych: dzieje kościołów – parafia w Osiekach, rody lęborskie – część druga o rodzie Weiherów, kącik Janusza Remusa „Czy wiecie, że...” oraz kolejną część kroniki ziemi lęborskiej pióra Artura Dubiela.

Najstarsze dzieje miasta zaprezentował tym razem Andrzej Barański w artykule o zamku krzyżackim.

Wiele miejsca w tym numerze poświęcono najnowszej historii, począwszy od tragicznych wydarzeń końca wojny – zatonięcie niedaleko Leby statku „Wilhelm Gustloff”, przez prezentację sylwetki pierwszego powojennego starosty lęborskiego Jana Piotrowskiego, sportretowanego przez Bogdana Libicha, na historii rozwoju sportu szkolnego po 1945 r. kończąc.

Jak zwykle, zamieszczono także materiał źródłowy. Tym razem jest to list starosty lęborskiego Antoniego Naczmyra do Dionizego Kolbansego z 1628 r.

Numer 10 planowany jest na maj.

Joanna Schodzińska

XV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Mieczysława Stryjewskiego w Lęborku

■ W konkursie mogą wziąć udział poeci i prozaicy, zrzeszeni i nie zrzeszeni w organizacjach twórczych.

Konkurs obejmuje dwie kategorie: poezję i prozę, po polsku i po kaszubsku. Tematyka utworów nie jest ograniczona, niemniej organizatorom zależy na uwzględnieniu tematyki regionalnej. Przewidziana jest też kategoria specjalna: utworów nadesłanych przez mieszkańców ziemi lęborskiej, które należy na kopercie oznaczyć literą „L”.

Prace w kategorii poezji powinny obejmować zestaw 4 wierszy, w kategorii prozy: nowelę, opowiadanie, reportaż lub esej – do 10 stron maszynopisu.

Prace w 4 egzemplarzach, dotychczas nie publikowane i nie nagradzane w innych konkursach, opatrzone godłem (to samo godło winno występować na dołączonej kopercie zawierającej wewnątrz nazwisko autora, adres, numer telefonu), nadsyłać należy pod adres: Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Armii Krajowej 16, 84-300 Lębork, do 30 września br.

Organizatorzy przewidują nagrody w kategorii poezji: I nagroda – 1500 zł, II – 900 zł, III – 700 zł; prozy: I nagroda – 1300 zł, II – 800 zł, III – 600 zł.

Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród. Ponadto przewidziane są nagrody specjalne. Organizatorzy nie przysyłają nagród pocztą oraz nie odsyłają prac. Nadesłane teksty mogą być zamieszczone w publikacjach organizatorów i prasie bez wynagrodzenia. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się pod koniec listopada. Wszelkich informacji dotyczących konkursu udziela Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku (059) 622 307 oraz Oddział Wojewódzki Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Słupsku, (059) 423 769.

Zapraszamy sponsorów do fundowania nagród. Liczymy na partnerstwo tych, którym na sercu leży kultura regionalna i narodowa.

Notatnik plastyczny

Pamiętka z wojska

■ Ekspozycja „Pamiętka z wojska. Opowieść o życiu prawdziwego mężczyzny” w Muzeum Etnograficznym kontynuuje tematykę poprzedzającą ją 2 lata temu we wrześniu wystawy toruńskiej. Poszerzona jednak

została o bogatą kolekcję archiwalnych fotografii i zbiory kilkudziesięciu gdańskich kolekcjonerów. Ekspozycje zaprezentowane zostały chronologicznie. Najpierw mamy okres zaborów, następnie przechodzimy do pamiątek z I wojny światowej, okresu międzywojennego, II wojny światowej, okresu powojennego – aż po współczesność. W zbiorze znalazły się przedmioty użytkowe (fajki, kufle do piwa, talerze), haftowane tkaniny marynarzy rezerwistów, przedmioty wykonywane w czasie wolnym od służby, biżuteria patriotyczna, obrazy i fotografie.

Te ostatnie stanowią najbogatszy zespół obiektów. Najstarsze wywodzą się z końca XIX wieku. Bogaty zasób negatywów pochodzi z Gdańskiej Galerii Fotografii i zbiorów Stefana Figlarowicza, twórcy gdańskiej szkoły fotografii, prywatnie – kolekcjonera archiwisty.

Poza walorami dokumentacyjnymi wartością pamiątek jest ich wymiar estetyczny i emocjonalny.

Ekspozycja jest obrazem żołnierskich obyczajów, zwyczajów, stylu życia na przestrzeni wieków i kultury materialnej różnych epok.

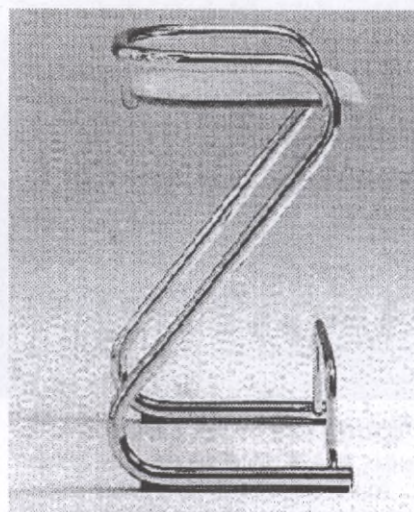
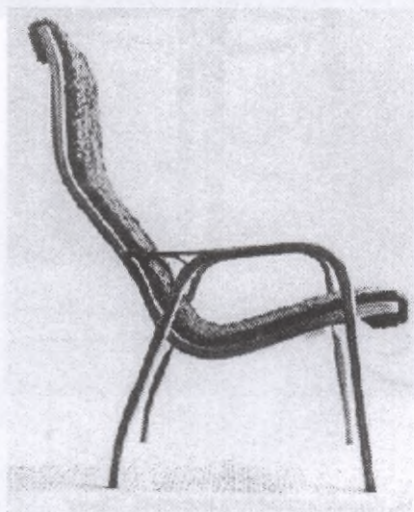
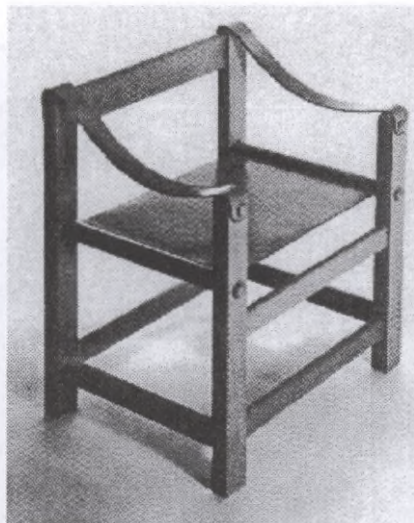
Można wyłonić z niej liczne akcenty pomorskie. Jedną z plansz przedstawia mieszkańców Kaszub w różnych armiach. Bogato przedstawia się rejestr nazwisk i rodów pomorskich: August Klich (mieszkaniec Kluk), Feliks Kierszk (XIX-wieczny kirasjer pruski ze Starogardu), Wincenty Rogala (bard kaszubski z Wiela), Stenclowie, Puzdrowscy, Langowie i inni. W rejestrze faktograficznym pojawiają się mieszkańcy Kartuz, Kluk, Domatowa, Starogardu.

Wystawę można oglądać do 6 czerwca. Autorem scenariusza jest Hubert Czachowski, a aranżacji plastycznej Hanna Blaszkowska-Gregor. Nadzór komisaryczny pełnili Ewa Gilewska i Stefan Figlarowicz. Współpracowały ze sobą muzea gdańskie i toruńskie.

Szwedzkie wzornictwo i fotografia

■ Lampa, rzecz banalna poprzez swoją niezbędność sprawia, że można odmitologizować ten przedmiot, nadać mu – obok funkcjonalności – cechy przedmiotu tuzinkowego – twierdzą twórcy współczesnego designu (wzornictwa). Z drugiej strony wystarczy przytoczyć słowa Miesa van der Rohe, twórcy współczesnej architektury: „Można powiedzieć, że łatwiej jest zaprojektować wieżowiec niż krzesło”.

Oba sądy uzasadniają potrzebę mówienia o przedmiocie użytkowym, który wyznacza poziom kultury materialnej. Pretekstem była wystawa w Pałacu Opatów, obejmująca 50 przedmiotów codziennego użytku. Ekspozycja „Zmysłowa funkcjonalność” inaugurowała w Trójmieście Dni Szwedzkie. Pojawiły się na niej przedmioty klasyczne w formie: lampy, krzesła, zastawy stołowe, tkaniny.



Szwedzkie wzornictwo w Pałacu Opatów
Fotografie z katalogu wystawy

Pierwsze eksponaty wywodzą się z lat 20. i 30. naszego stulecia. Przed półwieczem Skandynawowie pokazali światu ideały funkcjonalizmu i estetyki, które nadały kształt wzornictwu europejskiemu. Stanowią trwały dorobek, który rejestruje m.in. nowojorskie Muzeum of Modern Art. Do dziś są powielane i użytkowane w niezmienionej postaci. Wiele z nich zyskało miano Doskonałej Szwedzkiej Formy. Wystawa gdańska zaprezentowała je od strony historycznej i ich współczesny kształt w aranżacjach przystosowanych do wymogów wnętrza gotyckiego skrzydła pałacu oliwskiego, a więc na niewielkiej przestrzeni. Do ciekawostek wystawienniczych zaliczyć można kilka unikatowych eksponatów: sztucce „Facett” (projekt z 1949 roku, użytkowane przez większość światowych ambasad), zestaw dla niepełnosprawnych „Basic” (sztucce dla rąk z osłabioną zdolnością chwytania, kupowane przez 20 krajów europejskich), mebelki dla dzieci – miniatury mebli dla dorosłych (krzeselka „Robust”), krzesło o silnym wyrazie graficznym, tkaniny (przeważnie białe lub z nadrukami typu „Elefante”), inspiracja wzorami afrykańskimi). Pokazano również nienaganne w formie szkło,

tapety – wszystko w przewadze barw czarno-białych, kojarzące się ze współczesną myślą wzorniczą. Ciekawostką były też książki obrazkowe dla dzieci.

Obszary tematyczne szwedzkiej fotografii artystycznej zaznaczyła w galerii Nadbałtyckiego Centrum Kultury wystawa sześciu autorek z pokolenia lat 50. i ich młodszych koleżanek. Fotografie ukazują potrzeby i marzenia współczesnej kobiety. Tematy wiodące to: płciowość, seksualność, kontakt z naturą, wizerunki szczęścia. Zdjęcia są formą indywidualnej wypowiedzi natury egzystencjalnej i emocjonalnej oraz pokoleniową wypowiedzią artystyczną twórczych Szwedek. Wspólnym atutem autorek jest odwaga mówienia o sobie wprost, bezkompromisowe poruszanie tematów tabu.

Każda z autorek prezentowanych w NCK zajmuje się działalnością pedagogiczną. Tuija Lindström jako pierwsza uzyskała w kraju północnych sąsiadów tytuł profesora w dziedzinie fotografii. Jest wykładowcą i nadzoruje legendarną Fotchögskolan w Göteborgu (Wyższą Szkołę Fotografii i Filmu).

Odmienne w charakterze są zdjęcia z serii „Lycka” („Szczęście”) Denise Grünstein. Stanowią one dowód fascynacji Indiami.

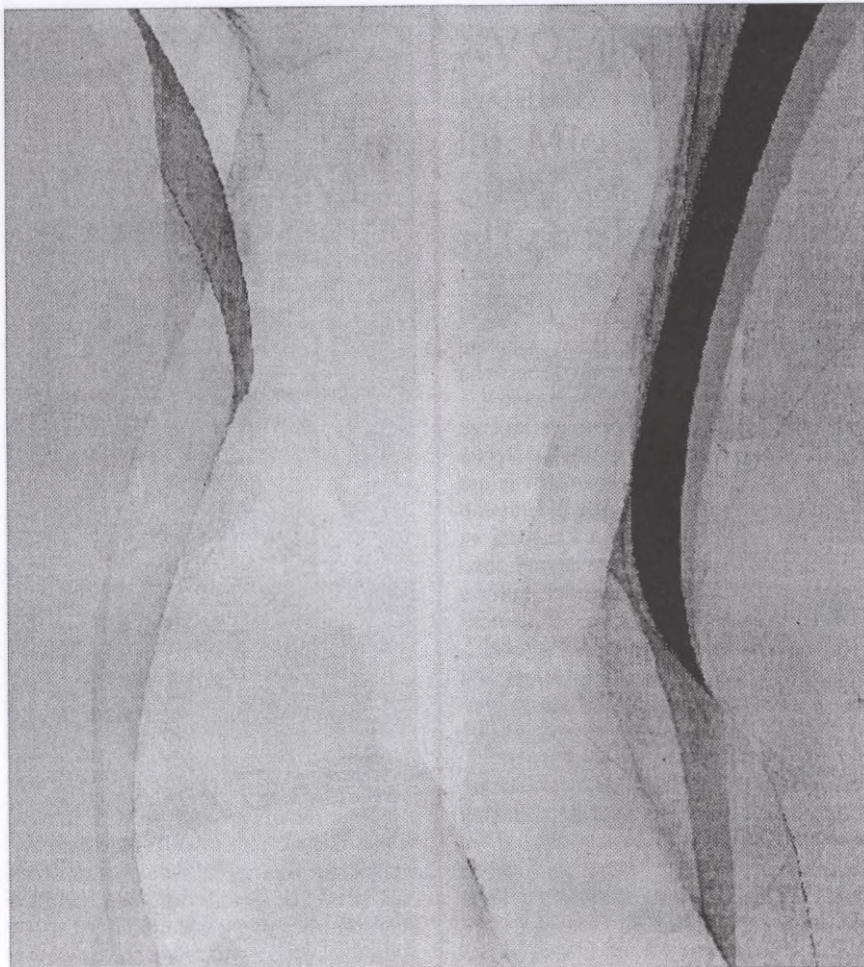
Tematyka jej prac wiąże się z charakterystycznym dla ludzi żyjących w trudnym klimacie motywem ucieczki, przeniesienia się w inną szerokość geograficzną.

Fotogramy Szwedek są interesujące, efektywne i nie wystudzone emocjonalnie.

Piękno wielokrotnie

■ Ponad 40 obrazów i kilkanaście rysunków Władysława Jackiewicza znalazło się na wystawie przeglądowej w Pałacu Opatów. Ekspozycja zbiegła się z 75-rocznicą urodzin malarza. Większość z prezentowanych prac to „akty malowane światłem”. Z głębi rozświetlonej kompozycji wylaniają się kobiece figury. Opisane są pędzlem na płaszczyznach wielkich płócien. Dzielące je różnice ograniczają się do siły zaznaczenia formy, kompozycji i gamy kolorystycznej. Ciało kobiece nie podlega deformacji. Jedynie „Obraz XXI” z 1996 roku ma kształty geometryczne.

Opinie towarzyszące wystawie są zróżnicowane – od zachwytu i zainteresowania, także handlowego, po głosy krytyczne. Dla jednych twórcą poprzez wielokrotność two-



Władysław Jackiewicz, „Akt”

rzy jedno dzieło, dla innych akty stanowią jakby portrety, będące serią „barwionych odbitek fotograficznych”. Jeśli tak się dzieje, to przecież zjawisko powielania znane jest sztuce od wieków. W sztuce współczesnej choćby z twórczości Andy’ego Warhola. Amerykański mistrz banału powieliał wielokrotnie różnorodne przedmioty, nadając im wymiar estetyczny. Ostatnim z pomysłów Amerykanina była fotograficzna produkcja arcydzieła „Ostatnia wieczerza” wielkiego mistrza Leonarda. Wystawę Władysława Jackiewicza warto zobaczyć choćby po to, by zastanowić się nad „pięknem wielorakim”.

Senne pejzaże

■ Gdańska Galeria Fotografii zaprezentowała w marcu interesujący debiut – indywidualną wystawę prac Tomasza Zerka. Artysta fotografuje pejzaże.

Na fotografiach Tomasza Zerka natura jakby zastygła. Obiekty fotograficzne – realistyczne i konkretne, upodabniają się w ujęciu autora do sennych krajobrazów, przestrzeni z fantazji. Ich klimat i sposób obrazowania sprawia wrażenie zawieszenia między jawą a snem. Te subtelne kompozycje formalne, poetyckie impresje są podobne do grafik. Autor uzyskuje ten efekt poprzez ko-

lorystykę czarno-białą, potraktowanie obiektów fotograficznych płasko, niewymiarnie. Rejestruje bezmiernie przestworza, drzewa, morskie brzegi – poezję przestrzeni.

– Fotografie Zerka są syntezą krajobrazu. Zawierają istotę rzeczy, są wspianiem zwężone, wręcz esencjonalne – ocenia prace młodego autora Stefan Figlarowicz, kurator wystawy.

Momentami krajobrazy przedstawiają jakby „historie nie z tej ziemi”. Autor zdaje się mówić: „Popatrzmy dłużej w jedno miejsce, gdy zniechęceni niebezpiecznymi związkami logiki i absurdów próbujemy odnaleźć się w przestrzeni pejzażu”. Zdjęcia pozwalają odbiorcy na wczucie się w kondycję emocjonalną autora – melancholijno-nostalgiczną, nawiązującą do stylistyki symbolizmu.

Tomasz Zerek, twórca „Zasłyszanych obrazów”, jest absolwentem Studium Fotografii Artystycznej przy Gdańskiej Galerii Fotografii i studentem fotografii intermedialnej w Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Fotografuje pejzaże i portrety.

Kwartet twórczych konstelacji

■ Placówki wystawiennicze Trójmiasta najrzadziej prezentują rzeźbę. Tymczasem Galeria Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół

Sztuki Punkt zaprosiła do marcowej prezentacji czterech młodych gdańskich artystów: Krzysztofa Cybulskiego, Jana Szczypkę, Wojciecha Sęczawę i Zbigniewa Wąsiela. Ekspozycja połączyła dwie dziedziny, grafikę i rzeźbę. Stało się to z opowiedzenia się za klasycyzmem działań wizualnych.

Trio artystów rzeźbiarzy to grupa twórców optujących za ascetycznością środków wyrazu: wyważoną proporcją, konkretnością formy i jej wyrafinowaniem, dominacją zastosowania działań czysto rzeźbiarskich, odbieranych wizualnie i dotykowo, zastosowaniem elementów naturalnych (drewna). W każdym przypadku twórczych realizacji widoczne jest jak daleko współczesna rzeźba dowodzi „wsluchiwanie się” w strukturę materiału z jego różnorodnością formalną, odbiegając od tradycyjnej „konaroplastyki”. Dzieje się to nawet w przypadku Zbigniewa Wąsiela, którego rodowód sięga słynnej szkoły Kenarowskiej w Zakopanem. Na wystawie na uwagę zasługują jego małe formy rzeźbiarskie, do których dochodził artysta od dużych realizacji o charakterze archetypicznym (instalacje z początku działalności twórczej). W kameralnych, wyczelonych pracach z brązu widoczna jest dbałość o wyrazistość linii i przywiązanie wagi do możliwości formalnych tworzywa rzeźbiarskiego.

Odmienne podejście do fakturalności reprezentuje Jan Szczypka, który rzadziej podporządkowuje własne wizje formalne naturze materiału. Działa bardziej niezależnie od naturalnych właściwości tworzywa. Obok małych form rzeźbiarskich artysta trudni się też medalierstwem.

Od charakteru propozycji Zbigniewa Wąsiela i Jana Szczypki odbiega twórczość Wojciecha Sęczawy. Ubiegłoroczny laureat złotego medalu za rzeźbę na warszawskim Salonie Wiosennym realizuje artystyczne wizje w ciężkich, niemal kłocowatych formach, nawiązujących do geometrycznych układów przestrzennych.

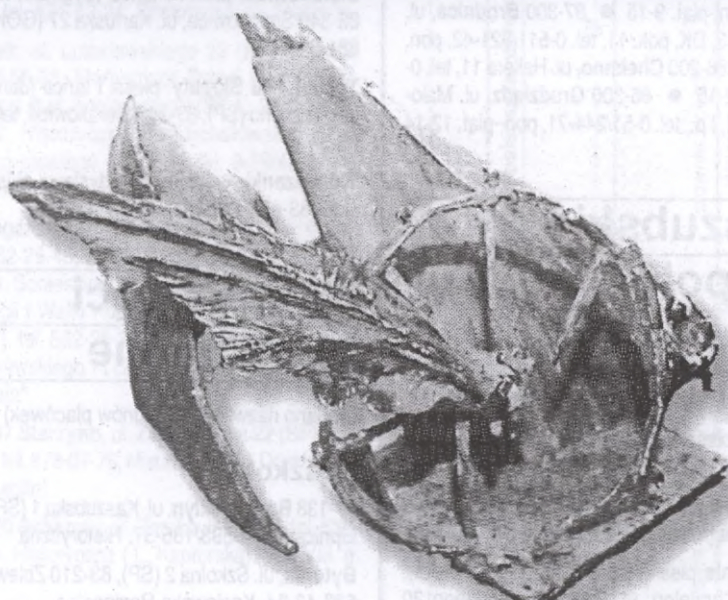
Wizualnym dopełnieniem ekspozycji rzeźby była barwna grafika Krzysztofa Cybulskiego, doskonale prezentująca się w tle prac. W twórczości artysty, opowiadającego się za priorytetem grafiki, wyraziście zarysowują się ekspresyjne cechy malarstwa – radość koloru, subtelna figuratywność, niekiedy agresywność środków wizualnych. Nadają one pracom (grafikom i linorytom) charakter zbliżony do nowoczesnego języka informacji, sygnalizując proces emocjonalnego chwytania sygnałów płynących z otoczenia i subiektywnego ich odczytywania jako przekazów semantycznych.

Twórcy koncepcji wystawy są absolwentami szkoły gdańskiej. Jan Szczypka współpracuje z uczelnią jako adiunkt w pracowni medalierstwa i małych form rzeźbiarskich. Podobnie Wojciech Sęczawa, artysta często nagradzany w kraju i poza granicami prestiżowymi nagrodami (nagrody na warszawskich salonach: Zimowym i Wiosennym). Ekspozycja miała charakter prezentacji środowiskowej.

Anna Mezar



Rzeźby Wojciecha Sęczawy



Rzeźba Zbigniewa Wąsiela



Senny pejzaż Tomasza Zerka

informacje regionalne

Audycje

„Na bôtach ë w borach”

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, niedz., g. 7.05-8.00

Polskie Radio Koszalin, fale: pow. bytowski 67,73 i 103,1 MHz, pow. lęborski 91,10 MHz, pow. słupski 67,73 i 95,30 MHz, co druga niedz., g. 21.30-22.00

Radio Weekend Chojnice, fale 68,24 i 99,30 MHz, niedz., g. 7.05-8.00 i pon., godz. 17.05-18.00

„Małe ojczyzny”

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, drugi i czwarty czwartek miesiąca, g. 21.05-22.00

„Pomorskiej ziemi skarbnica”

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, czwarta niedziela miesiąca, g. 23.05-24.00

„Rodnô zemia”

Telewizja Polska, gdański progr. II i III, niedz., g. 8.55-9.15 i gdański progr. III, pon. 23.10-23.30

„Magazyn kociewski”

Telewizja Polska, gdański progr. II i III; druga niedz. miesiąca, g. 8.30-8.50 i najbliższa środa, tylko gdański progr. III, g. 17.05-17.25

Kaszubskie msze święte

W każdą niedzielę

Gniewino, kościół św. Józefa Robotnika, g. 7.30, ks. Marian Miotk

Raz w miesiącu

Wygoda, kościół św. Józefa, pierwsza niedziela, g. 11.00, ks. Bogdan Drozdowski

Gdynia Ciszowa, ul. Kcyńska 2, kościół Przemienienia Pańskiego, pierwsza niedziela, g. 14.00, ks. Stanisław Megier

Żelistrzewo, kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa, pierwsza niedziela, g. 17.00, ks. Zbigniew Kulwikowski

Gdynia Wielki Kack, ul. Źródło Marii 18, kościół św. Wawrzyńca, druga niedziela, g. 8.00, ks. **Ryszard Kwiatek**

Gdańsk, Zaulek Świętojański 2, kaplica kościoła św. Jana, druga niedziela, g. 12.00, ks. **Waldemar Naczek**; po mszy spotkanie w Domu Kaszubskim, ul. Straganiarska 20-22

Rumia, druga lub trzecia niedziela, kolejno w kościołach: św. Krzyża (ul. Kościelna 30), g. 12.30, św. Józefa (ul. Podgórna 1), g. 14.00, oraz NMP (ul. Świętojańska 1) i św. Jana z Kęt (ul. Stoczniovców 23), g. 14.30, ks. **Stanisław Megier**

Lipusz, kościół św. Michała, trzecia niedziela, g. 15.00, ks. **Władysław Szulist**

Gdynia Babie Doły, ul. Rybaków 2A, kościół MB Licheńskiej i św. Jerzego, ostatnia niedziela, g. 12.15, ks. **Edmund Skierka**

Gdańsk Piecki Migowo, ul. Piecewska 9, kaplica kościoła Bożego Ciała, ostatnia niedziela, g. 14.00, ks. **Wojciech Chistowski** i ks. **Roman Skwiercz**

Kościerzyna, ul. Kościelna 6, kościół Trójcy Świętej, ostatnia niedziela, g. 18.00, ks. prałat **Marian Szczepiński**, ks. **Jacek Dawidowski** i ks. **Andrzej Drows**

Gdańsk Przymorze, ul. Zwycięzców 19, kościół NMP, pierwszy wtorek, g. 19.15, ks. **Waldemar Naczek**; po mszy spotkanie w salce parafialnej

Raz w kwartale

Lębork, ul. Basztowa 8, kościół św. Jakuba, pierwsza niedziela kwartału, g. 15.00, ks. **Alfons Formela**

Bytów, pl. Kardynała Wyszyńskiego, kościół św. Katarzyny, trzecia niedziela kwartału, g. 13.00, ks. **Zenon Dampc**

Słupsk, ul. Dominikańska 9, kościół św. Jacka, druga niedziela drugiego miesiąca kwartału, g. 14.00, ks. **Roman Skwiercz**

Biura parlamentarne członków ZKP

Senatorskie

Kazimierza Kleiny, AWS, 76-200 **Słupsk**, ul. Lutosławskiego 33, tel. 0-59/42-68-98, pon.-piąt. 10-14, dyżury senatora: pon. i piąt. 10-14 ● 84-300 **Lębork**, al. Wolności 22, Oddz. ZR „S”, tel. 0-59/62-03-01, wt. 13-16, piąt. 14-16

Wicemarszałka Senatu **Donald Tuska**, UW, 80-866 **Gdańsk**, ul. Gdyńskich Kosynierów 11, l.p., tel. 341-05-47 i 345-13-06, pon.-piąt. 10-17

Edmunda Wittbrodta, AWS, 80-855 **Gdańsk**, Waly Piastowskie 24, pok. 131, tel./fax 306-34-11, pon.-czw. 11-17, dyżur senatora: pon. 14-17

Poselskie

Jerzego Barzowskiego, AWS, 76-200 **Słupsk**,

ul. Jedności Narodowej 2, l.p., tel. 0-59/42-65-98, pon.-piąt. 8-15.30, dyżur posła: pon. 14-16 ● 77-100 **Bytów**, ul. Sikorskiego 27, l.p., tel. 0-593/22-64, wt. 11-15 i czw. 13-17 ● 84-300 **Lębork**, al. Wolności 22, Oddz. ZR „S”, tel. 0-59/62-36-59, wt. 16-19

Jerzego Budnika, AWS, 84-200 **Wejherowo**, pl. Wejhera 15, l.p., tel. 672-77-00, pon.-czw. 10-15, dyżur posła: pon. 14-16 ● 83-300 **Kartuzy**, ul. Klasztorna 1, tel. 681-18-35 ● 84-100 **Puck**, ul. Bogusława 2, tel. 673-24-65, czw. 10-12 ● 83-200 **Starogard Gdański**, ul. Tczewska 22, tel. 775-44-64, wt. i piąt. 15-17, śr. 15-18

Jana Kulasa, AWS, 83-100 **Tczew**, ul. Podmurna 11, tel. 531-24-44, pon. 13-15, wt. 12-18, śr. 15-17 i piąt. 13-17 ● 83-200 **Starogard Gdański**, al. Wojska Polskiego 34, tel. 562-21-55, pon. 14-18, śr. i piąt. 15.30-18.30

Jana Wyrowińskiego, UW, 87-100 **Toruń**, Piekary 37-39, tel. 0-56/652-14-22, tel./fax 0-56/622-16-65, pon.-piąt. 9-15 ● 87-300 **Brodnica**, ul. Przykop 43, DK, pok. 11, tel. 0-511/821-42, pon. 16-20 ● 86-200 **Chelmno**, ul. Hallera 11, tel. 0-56/686-92-15 ● 86-300 **Grudziądz**, ul. Małomłynska 1, l.p., tel. 0-51/244-71, pon.-piąt. 12-14

Kaszubskie zespoły artystyczne

(podano nazwiska kierowników zespołów)

Bazuny, pieśni i tańca (Robert Regliński), 83-330 **Żukowo**, ul. Gdańska 52 (UG), tel. 681-71-34

Bytów, pieśni i tańca (Jan Stec), 77-100 **Bytów**, ul. Wojska Polskiego 12 (MDK), tel. 0-593/2544

Chmielanie, pieśni i tańca (Maria Leszczyńska), 83-333 **Chmielno**, ul. Gryfa Pomorskiego 20 (GOKSiR), tel. 684-22-05

Gdynia, pieśni i tańca (Stanisław Tempowski), 81-356 **Gdynia**, ul. Starowiejska 30 (muzeum i oddz. ZKP), tel. 621-90-73

Gochē, pieśni i tańca (Agnieszka Cyra), 77-130 **Lipnica**, ul. Strażacka 5 (OSP), tel. 0-593/183-98

Gzube, pieśni i tańca (Lucyna Tryba), 77-133 **Tuchomie** (GOK), tel. 0-593/156-78, w. 23

Hopowanie, pieśni i tańca (Danuta Węsiara), 83-312 **Hopowo** (OSP), tel. 684-10-11

Kaszëbsczi Nótë, pieśni i tańca (Krystyna Freda), Nowy Klińcz (SP), 83-400 **Kościerzyna**, tel. 686-35-14

Kaszuby, pieśni i tańca (Włodzimierz Łangowski), 89-600 **Chojnice**, ul. Igielnicza 8 (Schronisko dla Nieletnich), tel. 0-531/721-61

Kaszyby, pieśni i tańca (Franciszek Kwizdiński), 83-300 **Kartuzy**, ul. Gdańska 15, Kaszubski Dwór, tel. 681-46-47

Koleczkowanie, wokalny (Tadeusz Dargacz), 84-807 **Koleczkowo**, ul. Wejherowska 24 (SP), tel. 676-01-08

Kościerzyna, pieśni i tańca (Roman Szyc), 83-400 **Kościerzyna**, ul. Długa 31 (KDK), tel. 686-23-73

Krëbane, pieśni i tańca (Marek Czarnowski), 89-632 **Brusy**, ul. Dworcowa 18 (MDK), tel. 0-531/824-98

Lewino, wokalny (Jan Formela), 84-300 **Lębork**, ul. Czołgistów 5 (oddz. ZKP), tel. 0-59/62-14-04

Marësczi, pieśni i tańca (Maria Sucharska), 84-312 **Cewice**, ul. Węgrzynowicza 1 (GOK), tel. 0-59/61-14-90

Modraki, pieśni i tańca (Waldemar Kapiszka), 77-124 **Parchowo**, ul. Kartuska 5 (GOK), tel. 0-593/144-58

Niezabótki, pieśni i tańca (Irena Karcz), 83-322 **Stężycza**, ul. Abarhama 2 (SP), tel. 684-33-10

Purtce, pieśni i tańca (Barbara Szroeder), 77-143 **Studzienice**, ul. Brzozowa 7 (SP), tel. 0-593/165-28

Sierakowice, pieśni i tańca (Zygmunt Miotk), 83-340 **Sierakowice**, ul. Kartuska 27 (GOK), tel. 681-62-14

Tuchlińskie Skrzaty, pieśni i tańca (Jan Basaka), Tuchlino (SP), 83-340 **Sierakowice**, tel. 681-65-04

Wdzydzanki, wokalny (Władysława Wiśniewska), 83-408 **Wdzydze Kiszewskie**

Izby pamięci i regionalne

(podano nazwiska opiekunów placówek)

W szkołach

77-138 **Borowy Młyn**, ul. Kaszubska 1 (SP), gm. Lipnica, tel. 0-593/185-37, Historyczna

Bytonia, ul. Szkolna 2 (SP), 83-210 **Zblewo**, tel. 588-43-84, Kocięwska Regionalna

77-116 **Czarna Dąbrówka** (SP), tel. 0-593/124-62, Armii Krajowej (J. Trzebiatowski)

Czersk, ul. Szkolna 3 (LO), tel. 0-531/842-21, Powstania Listopadowego

Gorzędziej, ul. Tczewska 12 (SP), 83-120 **Subkowy**, tel. 536-86-29, H. Stangenberg

83-440 **Karsin**, ul. Długa 167 (SP), tel. 687-31-79, Regionalna Pamiętek

Kartuzy, os. Wybickiego (SP 5), tel. 681-11-54, A. Majkowskiego (B. Zieliński)

Kłaczno (dawna SP), 77-143 **Studzienice**, tel. 0-593/140-22, Regionalna (S. Szroeder)

Kosobudy (SP), 89-632 **Brusy**, tel. 0-531/831-20, Regionalna

Kościerzyna, ul. Skłodowskiej-Curie 19 (SP 6), tel. 686-34-34, Księdza B. Sychty (J. Gdaniec)

83-424 **Lipusz**, ul. Wybickiego 27 (SP), tel. 687-45-11, Pamięci Narodowej

84-216 **Lębno** (dawna SP), gm. Szemud, tel. 676-18-97, Gminna Regionalna; druga i czwarta niedz. miesiąca, g. 14-17 (S. Belgrau)

Kartuzy, ul. Gdańska 15, Kaszubski Dwór, tel. 681-46-47, Pamiątek zespołu Kaszuby

Odcinek dla poczty	Odcinek dla banku	Odcinek dla posiadacza rachunku	Potwierdzenie dla wpłacającego
zł gr	zł gr	zł gr	zł gr
słownie złotych Wplacający	słownie złotych Wplacający	słownie złotych Wplacający	słownie złotych Wplacający
na rachunek: Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 20-22 80-837 Gdańsk BIG BG IV O/Gdańsk nr 11601322-664390-132	na rachunek: Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 20-22 80-837 Gdańsk BIG BG IV O/Gdańsk nr 11601322-664390-132	na rachunek: Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 20-22 80-837 Gdańsk BIG BG IV O/Gdańsk nr 11601322-664390-132	na rachunek: Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 20-22 80-837 Gdańsk BIG BG IV O/Gdańsk nr 11601322-664390-132
datownik opłata	datownik podpis przysjym. opłata	datownik podpis przysjym. opłata	datownik podpis przysjym. opłata
Wypełnić na odwrocie	Wypełnić na odwrocie	Wypełnić na odwrocie	Wypełnić na odwrocie

Oplata za:

prenumeratę „Pomeranii”

od numeru do numeru
Pojedynczy egz. „Pomeranii” w I półroczu
1999 r. – 3,5 zł, w II półroczu – 4 zł



Oplata za:

prenumeratę „Pomeranii”

od numeru do numeru
Pojedynczy egz. „Pomeranii” w I półroczu
1999 r. – 3,5 zł, w II półroczu – 4 zł



Oplata za:

prenumeratę „Pomeranii”

od numeru do numeru
Pojedynczy egz. „Pomeranii” w I półroczu
1999 r. – 3,5 zł, w II półroczu – 4 zł



Oplata za:

prenumeratę „Pomeranii”

od numeru do numeru
Pojedynczy egz. „Pomeranii” w I półroczu
1999 r. – 3,5 zł, w II półroczu – 4 zł



Kartuzy, ul. Kolejowa (dworzec PKP), tel. 681-01-44, Tradycji kolei

84-110 Krokowa, ul. Zamkowa 1, tel. 673-77-06, Pamięci Polaków Pomordowanych i Represjonowanych przez III Rzeszę

Lizaki, 83-406 Wąglikowice, gm. Kościerzyna, Rzeźby stylizowane H. Trzcńskiego i rzeźby ludowe oraz zbiory etnograficzne

83-041 Mierzeszyn, gm. Trąbki Wielkie, Zbiory etnograficzne i rzeźby Z. Bukowskiego

Ostrzyce (Punkt IT), 83-311 Goręczyno, gm. Somonino, tel. 684-16-12, Kaszubska

83-304 Przodkowo, ul. Kartuska 21, tel. 681-96-98, Strażacka (W. i L. Deykowie)

Rumia, ul. Mickiewicza 19 (MDK), tel. 671-07-37, wystawa muzealna „Dzieje Rumi”, pon.-piąt. 9-15

Puck, ul. Morska 13, tel. 673-29-72, Zbiory rybackie J. Budzisa (A. Budzisz i E. Budzisz-Szczepańska)

Sławoszyno, 84-110 Krokowa, tel. 673-71-93, GOK, Regionalna im. F. Ceynowy

Sprzedają „Pomeranię”

Księgarnie

- **Bydgoszcz**, ul. Długa 11, Salon „Ruchu”
- **Bytów**, ul. Wojska Polskiego 12, „Conrad”
- **Chojnice**, ul. Kościuszki 6, „Wiedza”
- **Gdańsk**, ul. Długa 62-63, „Dom Książki”
ul. Długi Targ 31-32, im. B. Prusa
ul. Grobla I 13, „Fantom Press”
ul. Grobla II 12-14D
ul. Grunwaldzka 99-101, „Po schodkach”
ul. Piwna 25-26, „Silva Rerum”
ul. Wita Stwosza 55, „Literka”
- **Gdynia**, ul. Obrońców Wybrzeża 11, „Morska”
ul. Świętojańska 1, „Fantom Press”
- **Kościerzyna**, Rynek 14, „Dom Książki”
- **Lębork**, Handel Przedmiotami Kultury Chrześcijańskiej, G. Miłs, ul. Orzeszkowej 2
- **Łeba**, ul. Kościuszki 69
- **Puck**, pl. Wolności 33, im. A. Abrahama
- **Sopot**, ul. Powst. Warszawy 2-6, „Artystyczna”
- **Wejherowo**, ul. Sobieskiego 260, „Remus”
- **Władysławowo**, ul. Hallera 11, „Amber”

Sklepy i inne placówki

- **Gdańsk**, ul. Długie Pobrzeże 11, „Bówka”
ul. Szewska 1-4, „Kaszubski”
- **Gdynia**, ul. Morska 95, „Venta”, W. Papierz
- **Jastarnia**, ul. ks. Stefańskiego 27, „U Justyna”
- **Kartuzy**, Rynek 2, Agencja Turystyczna
- **Kosakowo**, ul. Żeromskiego, kiosk J. Karszni
- **Krokowa**, ul. Wejherowska 3, „Spożywczy”
- **Lipusz**, ul. Młyńska 12, kiosk w Klubie Rolnika
- **Osie**, Rynek 17, kiosk z prasą
- **Ostrowo**, ul. Zabytkowa 20, „Spożywczy”
- **Puck**, ul. Morskiego Dywizjonu Lotniczego 7, piekarnia I. Brzóska
- **Wiele**, ul. Dąbrowska 32, kiosk w DK
- **Żukowo**, ul. Gdyńska 52, „Supersam” Kow.

REMONTOWA

m/s NUERNBERG EXPRESS

m/s CT SUN

m/t WILMA YUKON

m/s SEAWAY KINGFISHER

m/s MERCEDES

remonty

przebudowy

budowa statków

projekty offshore

Gdańska Stocznia „Remontowa”
im. J. Piłsudskiego Spółka Akcyjna
80-958 Gdańsk, Na Ostrowiu 1
tel. (058) 307 16 00, fax (058) 301 25 32
<http://www.remontowa.com.pl>
e-mail: remontowa@remontowa.com.pl

Na emeryturze nie musisz
udawać życia!



Bezpłatna **egolinia** 0-800 202 202
Internet: **www.ego.pl**

Otwarty Fundusz Emerytalny

Zarządzany przez Powszechne Towarzystwo Emerytalne BIG Banku GDAŃSKIEGO S.A.

{ego}
pozostań sobą